TAKI PEJZAŻ str. 4

MISJA „ALBERTA" str. 6

★ ☆ ★

CZY ZWYCIĘŻY ROZSĄDEK? str. 9

JAK OGLĄDAĆ TELEWIZJĘ I NIE DENERWOWAĆ SIĘ str. 16

MAGAZYN str. 15, 16

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 42 (932) 16 PAŹDZIERNIKA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Przed 32 laty, 12 października 1943 r., I Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, utworzona w ZSRR, stoczyła pod Lenino zwycięski bój z wojskami hitlerowskimi. Dzień ten obchodzony jest jako święto Ludowego Wojska Polskiego. Na ten temat pisze ppłk. dr Jan Powała.

W Piotrkowie odbyło się Forum Teatrów Publicystycznych, które miało na celu konfrontację osiągnięć i kierunków poszukiwań scen amatorskich podejmujących szeroko pojętą tematykę aktualną. O tym ważnym wydarzeniu opowiada red. K. Frejdlich.

W zachodniej części Atlantyku, na wysokościśi wybrzeża USA, znajduje się rejon określany zwykle nazwą „Trójkąt Bermudów". Rejon ten wśród wielu nie wyjaśnionych zagadek Ziemi odgrywa rolę szczególną. Do chwili obecnej ponad sto statków i samolotów zniknęło w nim bez śladu. W ciągu ostatnich 26 lat ponad tysiąc osób straciło tam życie. W bieżącym numerze rozpoczynamy druk materiałów z tego ciekawego cyklu pt. „Zagadka Bermudów".

Na temat oświaty i wychowania wypowiadają się red. red. Jacek Indelak i Wiesław Jażdżyński, a o filmie oświatowym piszą Paweł Jędrzejewski i Andrzej Zalewski.

W bieżącym numerze Czytelnicy, jak zwykle, znajdą ciekawe felietony, wydarzenia na arenie międzynarodowej, informacje oraz dwie kolumny naszego Magazynu, w którym szczególnej uwadze polecamy: „3xStefania Grodzieńska" i „Jak oglądać telewizję i nie denerwować się" Jacka Fedorowicza.

MIASTO W ROZWOJU

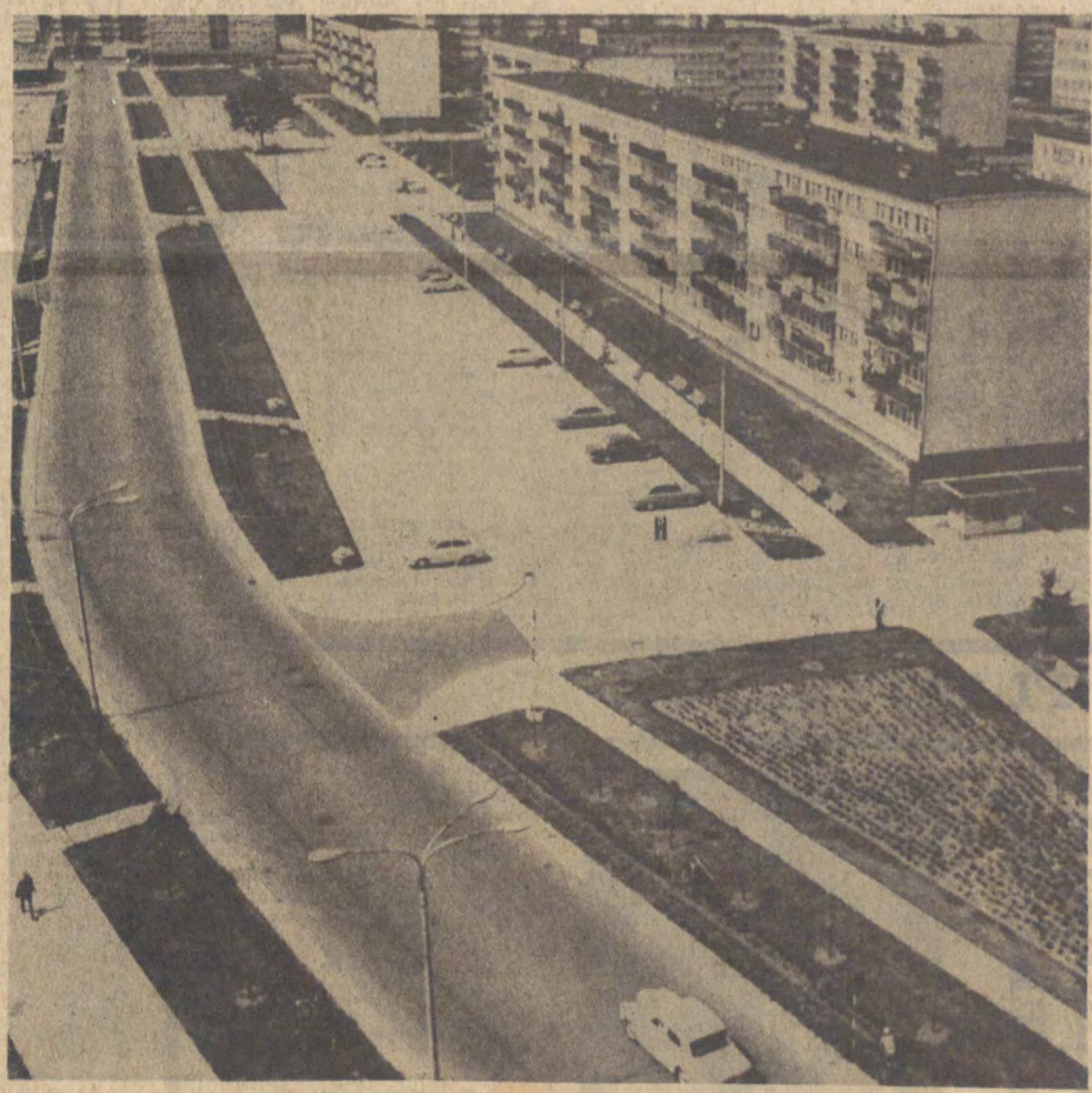

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TYLKO 5 LAT

Przypomnijmy sobie w najkrótszym zarysie dzieje Łodzi.

W drugim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia rozpoczyna się rozwój Łodzi przemysłowej. Jest to rozwój bujny, żywiołowy. Początek XX wieku zastaje Łódź dużym miastem przemysłowym, ośrodkiem włókienniczym. W mieście tym toczy się ostra walka klasowa.

Pierwsza wojna światowa hamuje rozwój miasta i jego przemysłu, ale też zaostrza sprzeczności klasowe. Walka toczy się przez całe międzywojenne dwudziestolecie.

Z drugiej wojny światowej miasto wychodzi nie zniszczone. Wolność przychodzi wraz z wyzwoleniem społecznym. Łódzkie fabryki podejmują pracę na rzecz całego kraju. Robotnicy pracują dla siebie i innych. W łódzkich fabrykach rodzi się „Wyścig Pracy": więcej i lepiej dla odradzającego się kraju. Przez pewien czas Łódź pełni obowiązki stolicy. Tutaj lokują się urzędy, centralne zarządy, redakcje ogólnopolskich czasopism i gazet. Łódź przeżywa okres wielkiego ożywienia.

Odbudowa zniszczonego kraju wymaga gradacji zadań. Najpierw cały naród odbudowuje swoją stolicę, później wspólnym wysiłkiem buduje Nową Hutę, nowe fabryki, huty, kopalnie, osiedla mieszkaniowe, nowe miasta. Łódź solidnie zaspokaja potrzeby kraju. Łódzcy robotnicy pracują w starych murach, pamiętających czasy kapitalistycznego wyzysku i klasowej walki, produkują na maszynach, które pamiętają wojnę rosyjsko-japońską i Rewolucję 1905 roku.

Instaluje się też nowe maszyny, buduje się nowe fabryki, ale jest to nic wobec potrzeb, jest to zaledwie zapowiedź nowoczesności, tego, co dzieje się już gdzie indziej. Łódź czeka cierpliwie na swoją kolejkę, na swój czas, ale ten czas coraz bardziej jest odsuwany w przyszłość, Łódź bowiem produkuje, odpowiada ofiarnością i zwiększoną produkcją na apele i wezwania.

Przypominam te fakty, choć w sposób niezwykle uproszczony, bo w nich tkwi możliwość zrozumienia dnia dzisiejszego Łodzi, bo dzięki temu można spokojnie porozmawiać o koncepcji dalszego rozwoju miasta. Przypominam je również i dlatego, gdyż Łódź w latach Polski Ludowej stała się miejscem coraz bardziej zaostrzających się sprzeczności. Te sprzeczności zostały wreszcie ujawnione, obnażone spod nieustannego kamuflażu: dobrze jest, idziemy do przodu, choć przemysł poza niektórymi tylko dziedzinami stał w miejscu, cofał się, pogarszały się warunki pracy, a i warunki życia nie były najlepsze.

Ujawnienie sprzeczności, jakie powstały i działały w Łodzi, doprowadziło do tego, że władze partyjne i państwowe powołały wspólną komisję, która opracowała **PROGRAM MODERNIZACJI I ROZWOJU ŁODZI na lata 1971—1975 i dalsze.** Program ten znalazł aprobatę Biura Politycznego KC PZPR i stał się uchwałą rządową. Obecnie zbliża się koniec 1975 roku, a więc koniec realizacji tej części programu, która zawarta jest między latami 1971—1975. Pozostają **lata dalsze.** Ale to już inna sprawa.

I.

Kilka dni temu miałem sposobność rozmawiać z byłą łodzianką, obecnie mieszkanką Wrocławia, która rzadko bywa w Łodzi, a ostatnio ziechała na kilka dni. Zwierzyła mi się ona z pewnej wątpliwości.

— Albo przez te kilka lat, przez które mieszkam we Wrocławiu, tak zapomniałam Łódź, że choć pamiętam nazwy ulic, to nie mogę ich odszukać w miejscu, gdzie powinny być, albo miasto tak bardzo zmieniło się. Kiedy jechałam taksówką z dworca, kilka razy pytałam taksówkarza, gdzie jesteśmy.

Wyjaśniłem wątpliwości. Miasto istotnie zmieniło się, ale my, którzy poruszamy się stale po Łodzi, zatraciliśmy wrażliwość na te zmiany. Na rogu ul Andrzeja Struga i al. Tadeusza Kościuszki stał do niedawna dom. Dziś już go nie ma i nawet ci, którzy godzinami kibicowali przy jego rozbiórce, przechodzą obojętni. „Normalka". Dziś rozebrano ten, jutro inny. Tyle jeszcze jest do rozebrania. Dlaczego rozbiera się je tak opieszale?

I tu rodzi się problem pierwszy: **mała wrażliwość na to, co dokonuje się codziennie, bo to uchodzi uwa-**

(Dalszy ciąg na str. 3)

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

IX MIĘDZYNARODOWY KONKURS CHOPINOWSKI

W liczącej pół wieku historii międzynarodowych konkursów chopinowskich w Warszawie przybyła kolejna data — 6 października 1975 r. — dzień inauguracji IX Konkursu. W Polsce Ludowej spotkanie chopinistów odbywa się po raz szósty.

Tegoroczny, Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina wzbudził rekordowe zainteresowanie. Wpłynęło 128 zgłoszeń spośród których zakwalifikowano 120 kandydatów z 29 krajów. Po raz pierwszy o chopinowskie laury ubiegać się będą przedstawiciele Indonezji, Iraku, Kuby, Mongolii i Trynidadu. O palmę pierwszeństwa walczy również 6-osobowa ekipa polska.

Przesłuchanie I etapu kończy się 16 bm., II etap trwać będzie w dniach 18—22, III — 24—25, a finał 27 i 28 października br.

AKADEMIA NAUK ZSRR ODZNACZONA ORDEREM LENINA

Na uroczystym posiedzeniu poświęconym 250-leciu powstania Akademii Nauk Związku Radzieckiego w kremlowskim Pałacu Zjazdów zebrali się uczeni oraz przedstawiciele organizacji partyjnych, społecznych i państwowych stolicy ZSRR. Na uroczystości jubileuszowe przybyli goście z 45 krajów. W posiedzeniu uczestniczyli również Leonid Breżniew, Nikołaj Podgorny i Aleksiej Kosygin.

Sekretarz generalny KC KPZR Leonid Breżniew odczytał dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o odznaczeniu Akademii Nauk Orderem Lenina i wśród burzliwych oklasków udekorował orderem sztandaru Akademii.

KIELECCY RZEŹBIARZE ŻEROMSKIEMU

Kieleccy rzeźbiarze pracują nad kamiennymi rzeźbami, które zostaną ustawione na szlaku Żeromskiego. Na tych „milowych Kamieniach" wyryte będą wyjątki z utworów pisarza, związanych z regionem świętokrzyskim.

ZABYTKI ZIEMI WYDARTE

Ponad 500 znalezisk archeologicznych prezentuje wystawa we wrocławskim Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy. Ekspozycja pt. „Zabytki ziemi wydarte" przygotowana została przez wrocławski Ośrodek Archeologiczno-Konserwatorski z okazji trwającego Międzynarodowego Roku Ochrony Zabytków.

KONKURS „13 MUZ"

Po raz drugi ogłoszony został przez Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych „13 Muz" w Szczecinie otwarty konkurs na małe formy sceniczne. Chodzi tu o utwory, poruszające szeroko pojętą problematykę współczesną, a odpowiadające potrzebom teatrów małych form — a więc sceniczne sztuki kameralne, monodramy, zapisy scenariuszowe...

Ogłoszenie wyników konkursu i rozdanie nagród nastąpi wiosną 1976 r., w czasie Ogólnopolskiego Przeglądu Zawodowych Teatrów Małych Form.

DNI FILMU POLSKIEGO ZA GRANICĄ

Osiem nowych polskich filmów fabularnych obejrzeli widzowie kin stolicy Azerbejdżanu — Baku. Projekcje odbywały się w ramach „Dni filmu polskiego". Największym zainteresowaniem cieszyła się „Ziemia obiecana" Andrzeja Wajdy, która prezentowana była w 30 kinach Baku.

GRAFIKA KULISIEWICZA W MOSKWIE

180 grafik Tadeusza Kulisiewicza eksponowanych jest na wystawie w Moskwie. Pokazane prace wykonane zostały przez artystę w czasie jego podróży po Brazylii, Indiach i Meksyku. Na wystawie zgromadzono również ilustracje do sztuk Bertolta Brechta.

HISTORIA LITERATURY TURKMEŃSKIEJ

Zespół naukowców Instytutu Językoznawstwa i Literatury Akademii Nauk Turkmeńskiej SRR pod kierunkiem prof. S. Karriewa opracował sześciotomowe wydanie „Historii literatury turkmeńskiej". Pomieści ona okres od VIII wieku do czasów współczesnych. Dzięki żmudnym, wieloletnim badaniom w „Historii literatury turkmeńskiej" dokonano wszechstronnej analizy licznych zabytków piśmiennictwa średniowiecznego. Ostatnio ukazał się tom pierwszy „Historii", który przedstawia tysiącletni okres rozwoju piśmiennictwa turkmeńskiego. Pozostałe tomy są już przygotowane do druku.

VISCONTI ZNÓW PRACUJE

Po długotrwałej bezczynności, spowodowanej zawałem serca, znakomity włoski reżyser Luchino Visconti przystąpił do pracy nad nowym filmem. Film, którego scenariusz oparty jest na powieści Gabriela d'Annunzio, nosi tytuł „Niewinny".

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

32 ROCZNICA

NASZE LUDOWE

Wspólny szlak bojowy i braterstwo broni żołnierzy polskich i radzieckich zapoczątkowała bitwa pod Lenino. W bitwie tej 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki wykonała z honorem swe pierwsze bojowe zadanie. Historyczne znaczenie bitwy pod Lenino oceniać należy nie tylko stratami, jakie poniósł nieprzyjaciel. Nie chodziło w tej bitwie o sukces taktyczny. Ze względu na ograniczoną skalę nie mogła ona mieć decydującego znaczenia w wydarzeniach na froncie wschodnim. Udział dywizji kościuszkowskiej w bitwie pod Lenino należy głównie rozpatrywać w szeroko rozumianej płaszczyźnie politycznej, oznaczała ona zwycięstwo koncepcji politycznej polskiej lewicy, komunistów, którzy dla polskich żołnierzy drogę do wyzwolenia Ojczyzny widzieli na wspólnym szlaku z Armią Radziecką. Była to najkrótsza i najbardziej realna droga.

Pomyślny egzamin kościuszkowców pod Lenino zrodził wzajemne zaufanie, podniósł rangę polskiej lewicy rewolucyjnej jako rzetelnego partnera i rzeczywistego reprezentanta interesów całego narodu. Wyrazem tego zaufania ze strony rządu radzieckiego było wyrażenie zgody na sformowanie korpusu, a następnie Armii Polskiej, która latem 1944 r. liczyła ponad 100 tys. żołnierzy. Armia ta stanowiła siłę militarną, a ponadto ważne narzędzie rozstrzygnięć politycznych, co miało dla władzy ludowej w Polsce wyjątkowo ważne znaczenie.

Połącznie Armii Polskiej przybyłej z ZSRR z Armią Ludową i utworzenie ludowego Wojska Polskiego miało doniosłe znaczenie polityczne, narodowe i wojskowe. Po stronie koalicji antyhitlerowskiej, w sojuszu ze Związkiem Radzieckim do dalszej wojny przeciwko Niemcom hitlerowskim stawało ludowe Wojsko Polskie, angażując w niej wszystkie zasoby ludzkie, moralne, materialne i militarne naszego narodu.

Żołnierz polski, walcząc u boku wyborowych jednostek radzieckich, był godnym sojusznikiem i wiernym towarzyszem broni. Potwierdzeniem tego jest cały szlak bojowy jednostek ludowego Wojska Polskiego: Lenino, walki nad Turią i Bugiem, pod Dęblinem i Puławami, na przyczółku warecko-magnuszewskim i w rejonie Warszawy, na Wale Pomorskim i w Kołobrzegu oraz w operacji berlińskiej i praskiej.

Udział ludowego Wojska Polskiego w operacji berlińskiej był największym sukcesem militarnym Polski w II wojnie światowej. Spośród blisko 200 tys. żołnierzy polskich biorących udział w operacji berlińskiej, ponad 12 tys. walczyło na ulicach Berlina. Na gruzach hitlerowskiej stolicy — obok sztandarów radzieckich zatknięty został, jako jedyny aliancki, biało-czerwony sztandar Polski.

Zwycięskie zakończenie wojny i wkroczenie w okres pokojowy stawiało przed narodem polskim i jego władzą nowe zadania związane z umacnianiem ustroju, zdobyczy społecznych, usuwaniem zniszczeń, odbudową kraju, a także zagospodarowywaniem przywróconych ziem nad Odrą, Nysą i Bałtykiem. Dla wojska oznaczało to dominantę wewnętrznych funkcji związanych przede wszystkim z realizacją zadań ogólnopaństwowych, szczególnie zaś w dziedzinie umacniania władzy ludowej przez likwidację zbrojnego podziemia, zapewnienia bezpieczeństwa narodowego przez organizowanie ochrony i obrony kluczowych ośrodków polityczno-administracyjnych i gospodarczych.

Polityczne zaangażowanie żołnierzy w wielkich kampaniach społeczno-politycznych, ich aktywny udział w Referendum Ludowym i w wyborach do Sejmu Ustawodawczego stanowiły ważne ogniwo sił rewolucyjno-demokratycznych. W końcowej fazie kampanii wyborczej brało udział, tylko w grupach ochronno-propagandowych, 42 proc. całego stanu osobowego wojska. Żołnierze Wojska Polskiego odegrali decydującą rolę w rozbiciu reakcyjnego podziemia i band UPA. Żołnierze polscy stanęli w pierwszych szeregach ludzi zasiedlających i zagospodarowujących odzyskane ziemie. Już w pierwszych miesiącach akcji osiedleńczej, rodziny żołnierzy objęły w posiadanie 56.360 gospodarstw, na których osiedliło się 200.400 zdemobilizowanych żołnierzy i członków ich rodzin.

Ogromny był wkład żołnierzy polskich wniesiony w rozminowanie kraju i uruchomienie wielu zakładów przemysłowych, a także wykorzystanie szlaków drogowych i kolejowych. Rozminowanie terenu Polski zakończono w zasadzie dopiero w 1956 roku. Skalę saperskiego czynu najlepiej oddają liczby: wykryto i zniszczono blisko 15 mln min i około 70 mln sztuk amunicji różnego rodzaju. Rozminowano i umożliwiono oddanie do użytku 2044 fabryk, hut, kopalń i innych ważnych dla gospodarki narodowej obiektów.

W swej dotychczasowej 32-letniej historii Ludowe Wojsko Polskie, wierne polityce partii, aktywnie współuczestniczyło w rozwoju społeczno-gospodarczym kraju. Żołnierze nasi zawsze byli tam, gdzie wznoszono wielkie budowle socjalizmu, gdzie toczyła się walka o chleb, gdzie zagrożone było życie i mienie ludzkie. Również i dzisiaj nie brak żołnierzy na najważniejszych budowlach gospodarczych naszego kraju. Wnoszą oni istotny wkład w przyśpieszony i dynamiczny rozwój Polski Ludowej.

Wojsko spełnia olbrzymią rolę społeczną jako instytucja wychowawcza młodego pokolenia Polaków. Podnosi ono kulturę, poziom wiedzy politycznej i ogólnej żołnierzy, uczy zawodu. Istotnym wykładnikiem społecznej i politycznej roli wojska jest fakt, że tylko w latach 1960—1972 nauczaniem ogólnym objęto 106.563 żołnierzy. Żołnierze podczas służby wojskowej uzyskują lub podnoszą kwalifikację w różnych specjalnościach i po pójściu do rezerwy oddają duże usługi gospodarce narodowej. Trudno znaleźć dziedzinę życia politycznego, społecznego, gospodarczego, kulturalnego, w której nie braliby c.. nnego udziału żołnierze.

W wojskowych ośrodkach naukowo-badawczych prowadzi się prace wykonywane dla potrzeb wojska, ale dające się wykorzystać również w gospodarce cywilnej, prowadzone są również prace wyłącznie na zamówienie instytucji cywilnych. Ogólnie znana jest w tym zakresie, kontynuowana od szeregu lat, działalność Wojskowej Akademii Technicznej.

W okresie 32 lat nieustannie rosła gotowość bojowa naszych sił zbrojnych. Naród wyposażył swą armię w najnowocześniejszy sprzęt bojowy, aby można było skutecznie ochraniać granicę państwa i bezpieczeństwo kraju. Siłę bojową wojska wzmacnia fakt, iż stanowi ono poważną część składową socjalistycznej wspólnoty w ramach Układu Warszawskiego.

Partia w okresie 32 lat istnienia polskich ludowych sił zbrojnych wykazywała stałą troskę o ich rozwój i gotowość bojową. Wysoka ocena kierownictwa partyjnego i państwowego zobowiązuje nasze wojsko do ofiarnej służby i rzetelnej pracy na rzecz umacniania bezpieczeństwa socjalistycznej Ojczyzny.

JAN POWAŁA ppłk doktor — pracownik Ośrodka Szkolenia Oficerów Politycznych im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi.

PLASTYKA

I MIĘDZYNARODOWE Triennale Tkaniny

Ingeborg DELOFF (Szwajcaria) „Nocna kompozycja" — gobelin

Według informacji komisarza Triennale, Jerzego Frątczaka, zgłoszonych zostało na wystawę w dziale tkaniny unikatowej 168 prac autorów z kraju i 50 tkanin 30 autorów zagranicznych. Jury zakwalifikowało do wystawy 91 tkanin 81 autorów. Tkaniny artystów zagranicznych nie podlegały selekcji jurorów. W dziale tkaniny przemysłowej zgłoszono 220 tkanin, z czego przyjęte zostało przez jury 101 prac 55 autorów. Nadesłano również 96 projektów tkanin przemysłowych a po ostrej i wnikliwej selekcji jury dopuściło do ekspozycji 35 projektów, 16 artystów plastyków.

W wystawie udział biorą wybitni twórcy z kraju i zagranicy. Najwięcej zgłoszeń napłynęło ze środowiska warszawskiego, krakowskiego i łódzkiego. Z zagranicy nadesłali swoje prace artyści z Anglii, Belgii, Brazylii, Czechosłowacji, Finlandii, Hiszpanii, Japonii, Jugosławii, Kanady, Rumunii, Szwajcarii, Węgier i ZSRR.

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

CZWARTEK — 16.X

PROGRAM I. 20.50 „DOCZEKAĆ ZMROKU" — film kryminalny prod. USA, w reżyserii Terence Younga. W rolach głównych: Audrey Hepburn, Efrem Zimbalist, Alan Arkin i Richard Crenna.

PROGRAM II. 20.40 W cyklu: „Z twórczości kompozytorów rosyjskich i radzieckich" zostanie przedstawiona twórczość Sergiusza Prokofiewa.

PIĄTEK — 17.X

PROGRAM I. 20.20 „5 x 1" — teleturniej wg scenariusza Pawła Kucharskiego i Macieja Kaszyńskiego, w reżyserii Andrzeja Marczewskiego. W programie udział wezmą: pisarze — Joanna Chmielewska, Zofia Chądzyńska, Jerzy Górzański i Eugeniusz Kabate oraz aktorzy: Bożena Dykiel, Barbara Sułkowska, Wanda Lothe-Stanisławska, Tomasz Grochoczyński, Krzysztof Świętochowski, Ryszard Pracz i Marek Lewandowski.

PROGRAM II

17.35 „SZALONA GŁOWA" — sensacyjny film jugosłowiański w reżyserii Vuk Vuco. Bohaterem jest oficer jugosłowiańskiej służby bezpieczeństwa, który z narażeniem życia ściga groźną bandę przestępców.

SOBOTA — 18.X

PROGRAM I. 18.15 CO KTO LUBI — 17 wydanie programu Mieczysława Pawlikowskiego utrzymane będzie w nastroju jesiennym.

20.20 „GALIA" — melodramat prod. francuskiej w reżyserii Georgesa Lautnera. Film dozwolony jest od lat 18. Główną rolę kreuje Mireille Darc, która otrzymała nagrodę za najlepszą kreację kobiecą na VIII MFF w Mar del Plata.

NIEDZIELA — 19.X

PROGRAM I. 14.50 KLUB SZEŚCIU KONTYNENTÓW — kawiarenka „Pod Globusem" gościć będzie żołnierzy, którzy odbywali służbę w błękitnych hełmach polskiej wojskowej Jednostki Specjalnej Doraźnych Sił Zbrojnych ONZ.

20.30 W cyklu adaptacji powieści Józefa Conrada wyświetlony zostanie kolejny film francuski „Szaleństwo Almayera".

22.00 NIEZAPOMNIANE MELODIE — program rozrywkowy, w którym wystąpią: Irena Santor, Jerzy Połomski, Elżbieta Ryl-Górska i inni.

PONIEDZIAŁEK — 20.X

PROGRAM I. 20.20 Teatr TV przedstawi „Pogrążyć się w mroku" adaptację psychologicznej powieści wybitnego współczesnego pisarza amerykańskiego — Williama Styrona, w reżyserii Ireneusza Kapickiego. W rolach głównych wystąpią: Zofia Mrozowska, Jadwiga Jankowska-Cieślak, Wieńczysław Gliński, Zofia Merle.

WTOREK — 21.X

PROGRAM I. 18.40 FAKTY, OPINIE, HIPOTEZY — anonsowany program Wandy Konarzewskiej odpowie na pytanie „Jak dożyć do stu lat".

PROGRAM II. 22.05 SPOTKANIE Z MELPOMENĄ — spektakl zaprezentuje rodowód i tradycje teatru greckiego.

ŚRODA — 22.X

PROGRAM II. 20.20 W „Filmotece Arcydzieł" prezentacja dramatu wojennego prod. francuskiej „Bitwa o szyny" w reżyserii Rene Clementa.

KSIĄŻKA

MICHAŁEK a FILM

Jeśli napiszę, że Bolesław Michałek jest najwybitniejszym polskim krytykiem filmowym to nie będzie to stwierdzenie oryginalne. I nie zaskoczę tym adresata tego komplementu bowiem zdołał się doń — mimo całej swojej osobistej skromności — przyzwyczaić. Z drugiej strony tą najwyższa miara, którą cieszy się pisarstwo tego krytyka nie idzie w parze ze szczególną oryginalnością jego rozumowania, z próbą stworzenia odrębnego sposobu myślenia o kinie. Tu na marginesie zauważmy, że krytyka filmowa jest niejako skazana na myślenie stadne, że sam mechanizm tworzenia się opinii krytycznej utrudnia samodzielność refleksji, bowiem często osąd o filmie, zwłaszcza głośnym i sławnym, poprzedza jego obejrzenie. Ileż to „filmów", o których się mówi", a których na oczy się nie widziało kursuje w świadomości krytycznych kręgów i ich czytelników. Owo heideggerowskie „się" jest trwałym stemplem naszych recenzentów filmowych.

W tym światku Bolesław Michałek zajmuje pozycję odrębną. Jego cechą najważniejszą wydaje mi się intelektualna rzetelność, z jaką podchodzi do komentowanych filmów. Michałek nie stroi grymasów i min, nie popada w mentorskie zadęcie lub wygłup, nie usiłuje udawać kogoś innego. Potrafi natomiast z delikatną prostotą i przenikliwością docierać do istoty utworu odsłaniać bogactwo jego możliwych znaczeń i uwikłań, ujawniać jego strukturalne komplikacje. Pisze się często, że polska krytyka filmowa jest socjologizująca. Michałek wymyka się wszelkim etykietkom i klasyfikacjom. Dzieje się tak dlatego, że krytyk ten podchodzi do filmu z wielu punktów widzenia na raz. Jego systemem norm postępowania jest brak takiego systemu. Ostatnią rzeczą, o jaką można go oskarżyć jest ortodoksja lub konserwatyzm. Pierwszą natomiast, którą należy mu przypisać jest wrażliwość na najdrobniejsze zmiany zachodzące na filmowym kontynencie. Michałek, jak żaden inny polski krytyk piszący o filmie potrafi przewidzieć i zinterpretować pierwiastek nowości kina. Jego ostatnie książki, felietonowe plony, były kolejnymi diagnozami zmieniających się etapów we współczesnej kinematografii. Dziś, po kilku latach widać wyraźnie, że sądy tam zawarte są jak dobre wino — czas wyostrza ich smak i wartość. Ostatnio Michałek napisał nową książkę. Mimo iż rzecz wyszła w nowej, pożytecznej serii popularyzatorskiej Wydawnictw Artystycznych i Filmowych „Panorama sztuki" nie nosi tytułu „Sekrety filmu", „Cuda kina" czy „Z tajemnic X muzy" jak zwykli tytułować swoje książki inni krytycy przekonani zapewne o swoim szczególnym wtajemniczeniu w zjawisko wielce ezoteryczne i dla profanów niedostępne. Swoisty instynkt chwytania w locie zmian kina podyktował zapewne Michałkowi ten tytuł — „Film — sztuka w ewolucji".

Tym razem ambicje krytyka wykraczały poza szeroko pojętą doraźność. Nie jest to bowiem kolejny raport o stanie kina w połowie lat siedemdziesiątych, ale próba ogarnięcia całości zagadnień związanych z funkcjonowaniem filmu na wielu płaszczyznach, czyli kultury filmowej.

Jest to książka, która zbiera i sumuje wszystkie wątki przewijające się przez krytyczną twórczość Michałka. Stąd dla czytelnika znającego poprzednie książki tego krytyka i jego działalność publicystyczną wiele sądów może się wydać wtórnymi i banalnymi, bo czytelnik ten zapomina o tym, że dowiedział się już o tym wcześniej właśnie od Michałka. Pomińmy tu systematyczny wywód, jaki konstruuje tę książkę rozpoczynającą od cywilizacyjnych warunków narodzin filmu, opiniującą anatomię procesu realizacyjnego, role, jakie w nim odgrywa reżyser i producent, kult gwiazd filmowych i tworzenie się języka filmu a kończąc na stanie filmu w dniu dzisiejszym. Spłaca on wiele serwitutów popularyzacji, choć nie jest pozbawiony uwag cennych i godnych szerszego rozwinięcia.

Najciekawszy jest rozdział rozważający związki kina i jego publiczności. Michałek taktownie ocenia i dyskredytuje prymitywny socjologizm ankieterów, którego to pułapu nie może przeskoczyć nasza socjologia filmu. Poszukuje związków istotniejszych i głębszych, kształtujących się nie tylko pomiędzy ekranem a psychiką pojedynczego widza, ale także pomiędzy uczestnikami filmowej widowni. Michałek rozważa również realne możliwości wpływu filmu na zachowanie społeczeństwa i jego spokojne uwagi na ten temat polecam gorąco menażerom naszej kultury filmowej.

Polecam zresztą tę książkę wszystkim, których interesuje sztuka filmowa, mimo iż złośliwcy twierdzą, że ci którzy chodzą do kina nie czytają książek, a ci, którzy czytają książki nie chodzą do kina.

A w ogóle to przyjemnie jest podlizywać się Michałkowi.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Bolesław Michałek, Film — sztuka w ewolucji, Warszawa 1975.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

MIASTO W ROZWOJU

(Dalszy ciąg ze str. 1)

dze, staje się powszechne, a jednocześnie towarzyszy temu rozczarowanie. Tyle miało się w tej Łodzi zmienić, a co się zmieniło?

Dlatego właśnie przypomniałem — choć niebywale skrótowo — zarys łódzkich dzieiów aż do 1971 roku. Oczekiwanie na nowoczesność, na niezbędne przemiany była tak ogromna tak powszechna, że w chwili, kiedy znalazły się środki finansowe na zaspokojenie tych potrzeb, wydawało się nam, że potrafimy dokonać niemal cudów.

Chcieliśmy zmodernizować przemysł, wybudować nowe fabryki, wpłynąć na strukturę przemysłu w Łodzi, poprawić warunki pracy, dojazdu do pracy, zaopatrzenie ludzi pracujących poprzez szybki rozwój sieci handlowej i usługowej, chcieliśmy przebudować centrum, poprawić układ komunikacyjny, nadrobić zaniedbania w gospodarce komunalnej szybciej budować nowe mieszkania, szpitale kina, domy kultury, baseny... Wołanie o realizm w tamtych czasach groziło posądzeniem o brak wyobraźni, niewiarę w ludzkie i łódzkie możliwości. Rosły więc apetyty, rosły postulaty, wymagania Ale nie rosły proporcjonalnie do tego możliwości produkcyjne przedsiębiorstw budowlanych.

II.

Bilansowanie nie jest rzeczą popularną. Jest to powinność buchalterów, ale czasem sięga do bilansów publicysta. Wydaje się, że warto Kto bowiem wie, że program, zawarty w uchwale Rady Ministrów z 1971 roku, był systematycznie przekraczany. **W 1971 roku — o 17,7 proc., w 1972 roku — o 20 proc., w 1973 roku — o 33,2 proc., a w 1974 roku — o 19,6 proc.** Przewiduje się, że w całym pięcioleciu program ten będzie **przekroczony o 34,9 proc.**

Z drugiej jednak strony realizacja nakładów inwestycyjnych w 1974 roku była wprawdzie wyższa od poziomu osiągniętego w poprzednim roku o 2,7 proc., ale plan roku 1974 został wykonany tylko w 92,5 proc. Gdzie tkwi tego przyczyna?

Odpowiedź jest na to bardzo prosta. Przedsiębiorstwa budowlane w latach 1971—1975 przekroczyły zadania postawione im w programie, a dotyczące rozwoju ich bazy produkcyjnej i możliwości technicznych o 15 proc., ale okazało się to niedostateczne. Aby podołać nowym zadaniom, trzeba szybko rozbudować możliwości techniczne 4 przedsiębiorstw budowlanych, wybudować nową fabrykę domów oraz wytwórnię płyt osłonowych przy powstającej Elektrociepłowni „EC-IV". Ta ostatnia sprawa jest szczególnie pilna, gdyż brak takiej wytwórni nie tylko nie przyczyni się do złagodzenia deficytu materiałów budowlanych, ale też narazi energetykę na poważne straty.

Ale tu rzecz charakterystyczna. Mimo tak ogromnych potrzeb, budownictwo wykorzystało w ubiegłym roku przyznane nakłady inwestycyjne w 89 proc., co było wprawdzie wyższe od poziomu osiągniętego w 1973 roku o 5,5 proc., ale mogło i powinno być jeszcze wyższe.

A przy tym wszystkim warto zwrócić uwagę, że niektóre inwestycje były realizowane w terminie krótszym, niż to planowano **Budowę Przędzalni Czesankowej „Polanii" skrócono o 2 miesiące, Wytwórni Wędlin „Teofilów" — o 2 miesiące, podobnie Zakład Przędz Teksturowanych „Bistona". O jeden miesiąc krócej budowano Fabrykę Domów na Dąbrowie, O 3 miesiące krócej — „Dywilan" i drugi etap budowy Kombinatu Tekstylno-Konfekcyjnego „Teofilów". O 6 miesięcy krócej budowano wytwórnię „Pepsi Coli" a o 12 miesięcy krócej — Wodociąg Sulejów — Łódź.**

Proces inwestowania w Łodzi ma więc dwa różne bieguny. Jeden — bogaty program rzeczowy, ambitnie kreślone plany Drugi — ograniczone poziomem techniki i zdolnościami produkcyjnymi możliwości budowlanych. Tej drugiej — ujemnej strony — nie jest w stanie złagodzić ani szybko postępujący rozwój bazy produkcyjnej i technicznej przedsiębiorstw budowlanych, gdy jest on niedostateczny w stosunku do ciągle rosnących potrzeb ani poważne wysiłki, zmierzające do skracania czasu realizowanej inwestycji. Ten proces inwestowania charakteryzuje się również tym, że sporej części zamierzeń na pięciolecie nie wykonano, ale i tym, że zrealizowano sporo zadań inwestycyjnych, które nie były planowane, a które podyktowane zostały przez życie. Tak na przykład powstała **Wytwórnia Elementów Prefabrykowanych,** czyli Fabryka Domów na Dąbrowie.

III.

W ostatnich latach wybudowano w Łodzi fabryki, które reprezentują nowoczesną technikę, technologię i takież warunki pracy. Wystarczy wymienić **„Bistonę", „Polanii"** czy **„Dywilan"**. W sumie wybudowano 30 zakładów produkcyjnych i zmodernizowano blisko 100. A przecież minęło t y l k o 5 l a t. Program zakładał kierunki działania i zamierzenia na tych 5 mijających lat i d a l s z e. Patrząc na przebyty okres, liczymy przede wszystkim tylko tych 5 lat, zapominamy przy tym, że program dotyczy również **lat dalszych i że proces przemian dopiero się zaczął.**

Dlaczego tak się dzieje? Bierze się to prawdopodobnie stąd, że zbyt wiele obiecywaliśmy sobie po mijających 5 latach. Dokonaliśmy wprawdzie wielkiego wysiłku, zrobiliśmy dużo więcej niż w kilkunastu latach poprzednich, ale nie byliśmy w stanie zaspokoić rozbudzonych na początku apetytów. Ludzie obserwujący proces przeobrażeń Łodzi, gotowi są uznać to, co osiągnięto, ale zaraz wytkną dom towarowy, który już dawno miał się budować, wytkną śródmieście, o które toczyły się wielkie boje, a w którym prawie nic się nie dzieje, wytkną układ komunikacyjny, który miał być zrewolucjonizowany, a który jest nieustannie rozkopywany i przerabiany. I trudno im odmówić racji. Ale, czy to źle? Czy powinniśmy się tego obawiać, dążyć do minimalizacji wymagań, hamować rozwój ambicji i pragnienia jak najszybszego ujrzenia Łodzi nowoczesnym miastem?

I tu dochodzimy do problemu drugiego — do sporu o koncepcje. Jaki tu może być spór? Plany opracowuje się bardzo skrupulatnie, mierzy się możliwości i zamiary, nie hamuje inicjatyw, szuka się rezerw Cel jest jasny i wyraźnie określony: **budujemy nowoczesne miasto, w którym będzie się żyło dostatnio, wygodnie i przyjemnie.** Jest to jednakże cel generalny. Cel ten rozpisuje się na konkretne zadania, a ich wielkość określają nie tylko nakłady inwestycyjne, określają je możliwości budowlanych, wyobraźnia i fantazja projektantów oraz nożyce dysponentów, czyli inwestorów, a także ludzie, którzy mają je realizować, a których jakoś ciągle brakuje. I tu właśnie przychodzi czas na koncepcje.

Można na przykład trasy komunikacyjne budować tak, jak się to w Łodzi robi od lat, tak, jak się budowało ulicę B. Limanowskiego i Aleksandrowską, gdzie wąski, przestarzały i nie odpowiadający potrzebom wiadukt — kiedyś chluba miasta — stał się kością w komunikacyjnym gardle. Można tak budować, że do dziś ani jedna trasa komunikacyjna nie jest ukończona, w pełni zrealizowana, a wiele z nich ujrzy światło dzienne w kształcie, który daleki będzie od pierwotnych zamierzeń i wyobrażeń i który już za kilka lat przyjdzie gwałtownie poprawiać. A można też trasy komunikacyjne budować na przykład tak, jak się to robi w Warszawie czy w Gdańsku.

Doskonale rozumiem, że łódzcy bujowlani nie zawsze dysponują odpowiednimi środkami i choćby dlatego budowa drogi wylotowej na Wrocław została odłożona na czas późniejszy. Ale to w niczym nie zmienia zarzutu w sprawie koncepcji. Chodzi mi bowiem o takie traktowanie zadań, aby doraźne zahamowania nie przekreślały widzenia perspektywicznego. Nauczyliśmy się już budować fabryki w dwu i trzech etapach. Nie potrafimy tej metody przenieść do urbanistyki. Fakt, że aktualnie nie jesteśmy w stanie wybudować wielopoziomowego skrzyżowania w miejscu, w którym jest ono niezbędne, nie powinno skłaniać nas do szukania rozwiązania, które również w przyszłości przekreśli taką możliwość. Przeciwnie, powinniśmy szukać takiego rozwiązania, które taką ewentualność brałoby pod uwagę i tworzyło możliwości dalszego rozwoju. Chodzi więc o generalną koncepcję przebudowy miasta, która brałaby za punkt wyjścia nie statyczne podejście, skłaniające do rozwiązań ostatecznych i odpowiadające tylko aktualnym możliwościom, ale o koncepcję d y n a m i c z n ą, która przy realizacji każdego zadania, albo prawie każdego, zakładałaby z góry możliwość i ewentualność dalszego rozwoju, postępu.

Koncepcja perspektywiczna, wybiegająca w projektowaniu w przyszłość, pozwala ogarniać całość rozwiązywanych projektów, a nie tylko ich fragmenty, zostawiając resztę „na lepsze czasy", które mają to do siebie, że nigdy nie wiadomo, kiedy nadchodzą, pozwala ta koncepcja także każde konkretne działanie widzieć w kontekście innych w kontekście potrzeb aktualnych i przyszłych, a nie w idealnym wyizolowaniu z warunków Taka koncepcja zmusza do zastanawiania się nad przyszłymi skutkami obecnego działania, zmusza do stawiania pytań o te skutki. A to może prowadzić do unikania błędów, jakie znacznie łatwiej popełnić, działając doraźnie, tylko na dziś i najbliższe godziny jutra. Pojutrze niech się już o skutki kłopocą inni.

Tego typu perspektywiczne myślenie o przyszłości Łodzi ma również niebagatelny walor wychowawczy. Pozwala bilans osiągnięć pokazywać w kontekście kompleksu zamierzeń, a to zupełnie zmienia wymiary osiągnięć. Powstała np. w Łodzi interesująca, nowoczesna dzielnica przemysłowa — Dąbrowa Interesująca właśnie poprzez swą nowoczesność, śmiałość niektórych rozwiązań architektonicznych, a także dzięki najwyższemu poziomowi techniki i technologii. Zupełnie słusznie **„Bistonę", „Dywilan",** czy **„Polanii"** pokazuje się krajowym i zagranicznym gościom. Ale dla łodzian wielkość tego przedsięwzięcia skutecznie przesłaniają... trudności komunikacyjne.

TYLKO 5 LAT

Modernizuje się dalszy odcinek trasy, biegnącej ulicami Kopcińskiego i Promińskiego do ul. W. Broniewskiego. Bardzo pożyteczna praca, wreszcie jakiś kawałek trasy komunikacyjnej będzie doprowadzony do końca. Ale nowo budowany fragment biegnie pod oknami bloków Dąbrowy. I ludzie pytają: — czy tego nie można było przewidzieć? Czy wcześniej nie można było pomyśleć o rozwoju motoryzacji w kraju i w Łodzi, aby teraz nie skazywać nas na hałas? Oczywiście, że można było, ale przecież Dąbrowę budowano, kiedy nawet dyskutować o koncepcji rozwoju Łodzi nie było nawet można. Teraz jednak już nie tylko można, ale i trzeba, aby było jak najmniej błędów popełnianych w przyszłości. Te błędy potrafią bowiem czasem przesłonić osiągnięcia, wielkość i kierunek przemian. A myśląc perspektywicznie, pokazując ludziom cały kompleks zamierzeń, można spowodować, że błędy wydadzą się mniejsze i można ich uniknąć.

Ludzie boją się jednak wybiegania w przyszłość. Boją się, bo doraźne cele i ograniczenia przekreślają niektóre zamierzenia. **A przecież doraźne zahamowania mogą tylko te cele przesuwać w czasie.**

IV.

Przekraczając wysoko założenia **PROGRAMU MODERNIZACJI I ROZWOJU ŁODZI,** a jednocześnie nie wywiązując się z wszystkich zamierzeń, zebraliśmy chyba sporo materiału, doświadczeń i uwag, które **pozwolą tym lepiej, skuteczniej i bardziej kompleksowo budować program na lata 1976—1980. I twórczo program ten realizować.**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

MYŚLI JANA HEMPLA

„Jan Hempel był człowiekiem niezwykłym. Ta niezwykłość wypływała z żarliwości rewolucyjnej, płonącej w Hemplu w ciągu całego jego świadomego życia, żarliwości wywołanej i podsycanej stale silnie odczuwaną potrzebą wzrostu etycznego człowieka, pragnieniem stwarzania warunków, w których człowiek mógłby żyć w zgodzie z sobą samym, jakbyśmy powiedzieli: w zgodzie z własnym sumieniem, z nakazem wewnętrznym".

Tymi słowy kreślił sylwetkę swego niegdyś nauczyciela jeden z jego ideowych wychowanków — Jan Dominko. Wprawdzie dawno minął dla J. Hempla czas milczenia, przecież nie ulega wątpliwości, że **„w naszym społeczeństwie wiedza o Hemplu jest ciągle niepełna i jednostronna".** Dlaczego tak się dzieje? Myślę, że zgoła z innego powodu niż ten, który sugeruje Jan Szmyd w swej książce o tym wybitnym działaczu i myślicielu. Pisze w niej bowiem, że **„czas nam tej postaci jeszcze zbytnio nie oddalił, że nie przebrzmiały echa głośnej i znaczącej działalności Hempla w ruchu robotniczym, spółdzielczym, oświatowym i literackim okresu międzywojennego i wcześniejszego".** Zdaniem J. Szmyda te względy warunkują... że wciąż o J. Hemplu wiemy zbyt mało, że jego postać i dzieło nie cieszą się takim zainteresowaniem, na jakie zasługują. Sądzę, że jest inaczej. Prawda to, że żyje jeszcze wiele osób, które bezpośrednio zetknęły się z J. Hemplem, prawda jednak i to, że jego życie i działalność niezmiernie trudno zakwalifikować wedle jakichkolwiek schematów: po prostu się w nich nie mieści.

Tak, życie i dzieło J. Hempla nie mieści się w schematach. Człowiek, który w młodym wieku zerwał ze swą rodziną, buntował się przeciwko ustrojowi wyzysku i krzywdy, wędrował po Mandżurii i Brazylii, autor słynnych „Kazań polskich" wydanych w Kurytybie w 1907 r., idealista i niemal mistyk, zaprzyjaźniony z wielu wybitnymi postępowymi pisarzami, studiujący we Francji sanskryt i święte księgi bramińskie, wybitny działacz spółdzielczy, człowiek wywierający ogromny osobisty wpływ na młodzież, w dojrzałym już wieku doszedł do komunizmu. W roku 1921 wstąpił do Komunistycznej Partii Polski i temu swojemu wyborowi został wierny do końca życia. Włączył się do ruchu tak, jak on to potrafił: bez reszty, bezkompromisowo. Pracował w Komitecie Rejonowym na Powiślu z ramienia KPP Okręgu Warszawskiego, później został członkiem Komitetu Centralnego Pracował w wielu jego wydziałach, w 1930 r. został członkiem Krajowego Sekretariatu KC KPP. Wziął udział w II Zjeździe KPP jako przedstawiciel Wydziału Spółdzielczego, uczestniczył w IV Konferencji KPP, w roku 1922 z ramienia partii kandydował w wyborach do Sejmu i Senatu. Kierował lewicowymi pismami: „Kultura Robotnicza", po jej zamknięciu „Dźwignią" oraz „Miesięcznikiem Literackim", za swą działalność był niejednokrotnie więziony przez władze przedwrześniowego państwa.

Książka Jana Szmyda pt.: **„Jan Hempel: idee i wartości"**, wydana właśnie przez „Książkę i Wiedzę" (1975) nie jest pełną, naukową monografią wybitnego działacza i myśliciela. Jest to poważna praca poświęcona poglądom J. Hempla, ściślej jego refleksji w zakresie etyki, religioznawstwa i spółdzielczości. Podejmując te kręgi zagadnień autor wyraził przekonanie, że **„są to wątki reprezentatywne dla światopoglądu Hempla, oddające jego istotne cechy i tendencje, specyfikę i charakter".** Jednocześnie zagadnienia te, jak podkreśla autor, należą **„do tych warstw twórczości Hempla, w których najpełniej i najdojrzalej ujawnił się jego samodzielny dorobek teoretyczny i ideowy".** Dlatego też skupienie uwagi na tych problemach uważa autor tej pracy **„za próbę poznawczego zbliżenia się do centralnych składników myśli filozoficzno-społecznej Hempla".** W rezultacie badaczowi udało się wykazać, jak na teoretycznej refleksji myśliciela odcisnęły się charakterystyczne cechy jego osobowości, zademonstrować czytelnikowi charakter i specyfikę światopoglądu J. Hempla. Światopogląd J. Hempla to taki pogląd na świat, **„którego długa i bardzo skomplikowana ewolucja biegła od bieguna idealistycznej metafizyki i utopijnej myśli społecznej do przeciwnego bieguna — materializmu dialektycznego i realistycznej ideologii marksizmu".** Przemiany światopoglądu myśliciela szybciej, łatwiej i bardziej konsekwentnie dokonywały się w sferze refleksji społecznej, niż w **„płaszczyźnie filozoficznego ujmowania rzeczywistości"**, prowadząc do specyficznego światopoglądowego rozdarcia. Zostało ono w końcu przezwyciężone, **„kiedy to radykalna myśl i postawa społeczna sprzężone zostały z materializmem filozoficznym i ateistycznym wolnomyślicielstwem".**

Ważne to i interesujące sprawy, chociaż niełatwe do dyskutowania. J. Szmyd dokonał wysiłku, aby zgłębić świat myśli J. Hempla, zrozumieć uwarunkowania jego życiowych wyborów, zwłaszcza zaś wyboru ostatniego, kiedy związał się on z ruchem komunistycznym. Sprawy to ze społecznego punktu widzenia nieobojętne, jak nieobojętna jest tradycja polskiej postępowej myśli filozoficznej i społecznej. Nieobojętne także i dlatego, dowodzi tego J. Szmyd, że wiele **„treści światopoglądu Hempla reprezentują także aktualnie znaczne wartości praktyczne i ideowe, obok, rzecz jasna, tych, które mają już tylko historyczne znaczenie".**

LEKTOR

LITERATURA

MIROSŁAW KUŹNIAK

★ ☆ ★

Wiem, ojcze, jesteśmy zapisani
na białym papierze łez, drobnym
pismem bólu.

Wiem, ojcze, jesteśmy skazani
na naszej krwi nieosobność,
pokrewieństwo cieni
na pobladłej ścianie.

Wiem, ojcze, jesteśmy postawieni
przed trybunałem życia.
Albo tak.
Albo nie.

Kiedy siedzę przy tobie
pośrodku nocy
i nasze cienie przycupnęły obok,
wiem że mnie spytasz:
gdzie jesteś, synu?
gdzie jesteś, ojcze?

Jesteśmy
drobnym pismem bólu.

★ ☆ ★

ojcze
któryś jest
kruchym cieniem prześcieradła
ciężkim oddechem poduszki
gdy poprawiam oddech
w domu i na sali
białej sali szpitalnej
białej jak sen biały
z bezsenności
leż spokojnie
mówię
ojcze
widzisz jak pracowicie
zszywam twój cień popękany
widzisz jak wytrwale
oduczam się słowa
amen

JERZY S. FELIKSIAK

NAJKRÓTSZA NOC

To jest już najkrótsza noc,
a w mrokach jej chaszczy i mchu
nie widać paproci.
Na stawie gałęzie olch
kołują z wiankami wróżb.
Wir wodę mąci

To jest już najkrótsza noc,
a sezam z ptasią kapelą
zamknięty na skobel.
I zamiast kwiatu paproci
żarzy się tani papieros.
Mirt idzie pod wodę.

To jest już najkrótsza noc —
ludowa loteria nadziei.
Lecz żalu, jak drżenia rąk
nie stłumią wydziedziczeni.

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

BABIE LATO

Nikt już nie cofnie się w te lata
Gdzie kogoś kochał, kogoś spotkał,
Nie będzie woń akacji słodka,
Bluszcz umrze na rdzą zżartych kratach.

Ręce — pod kranem i przy statkach,
Tych nie od morza — tych na raty,
Przy cerowanych nocą mitach,
Łatka na łatce, do ostatka.

I to spotkanie niepotrzebne...
Ktoś tu był kiedyś — kogoś nie ma,
Ktoś tu powrócił niepodniebnie,
A kogoś pochłonęła ziemia...

I kto nam skłamie bluszczem, kratą...
Na rękach kwitnie babie lato.

★ ☆ ★

Gdy się idzie drogą tyle lat
to się jej początek zapomina.
I gdy myśl — ta jedna — już zbyt długo trwa
to rozwija się — lecz nie poczyna.

Gdy szukamy w ludziach myśli swych
— sieć pajęcza i sieciarz sprzed wieków.
Gdy stajemy na rozdrożu dróg
świeci gwiazda — jak zawsze daleka.

TAMARA ROSZAK

TAKI PEJZAŻ

W sypkim, rozgrzanym piachu drogi kucała ich trójka, ubrana w przybrudzone błękitne majtki rozflaczone na wszystkie strony swego fasonu. Nad majtkami i poniżej było goło i plamisto od kurzu rozmazanego w pocie i soku z wiśni. Dwoje z nich zanurzonych było w koleinie od strony duktu o nazwie: ulica Zamiejska, trzecie w ścieżce ogródka i bawiły się poprzez sztachetowy płot metalowym uchwytem zamka, wydartym z damskiej torby i jedną do przesady modrooką lalką, całkowicie rozebraną i rozczochraną jak nowiuteńka brzozowa miotła.

Po ulicy Zamiejskiej raczej nic nie jeździło i raczej nic nie przesłaniało słońca. W niewzruszonym kurzu kucały trzy pary błękitnych majtek, które dawno wyszły z fasonu za karę, że nikt ich po praniu nie układał: by nadać pierwotny kształt. Te od zamka wyrwanego z torebki były chyba gaciami, bo za nic nie chciały odstąpić możności strzelania tym ciągle jeszcze działającym zatrzaskiem i zupełnie ignorowały lalkę z miotłowatymi włosami.

Pachniało. Rześko — polem. Lasem — głęboko. I bardzo słodko wysmażanymi wiśniami.

Wyszła przed dom na ganek, nieduża, przytłusta, opasana fartuchem zawiązanym na halkę podkasaną nad kolanami i wyciągniętą po bokach. Oblizała drewnianą kopystkę oblepioną lepką mazią, pomlaskała, nakrzyczała coś w głąb ogrodu w kapustę, porzeczki i pomidory: coś, że dziadek nie tak, nie na czas, czy że w ogóle źle robi. Znad krzaków uniósł się bury kaszkiet i na powrót utonął w listowiu. Z głębi odszczeknął się kundel. Niedbale. Jakby sobie nagle przypomniał coś niezbyt ważnego.

— Pamiętam, w polu stał piec do chleba.

Na to ciocia Nina:

— Jak to w polu? Piec w polu?

— Pamiętam w polu stał piec do chleba. Było zielono. Całkiem dokładnie jednolicie zielono, aż po niebo i na tym, w tym, pośród stał piec. Do chleba.

Ciocia Nina:

— Przecież nie na łące. Może to był kopiec na kartofle? Gdzieś ty mogła widzieć piec do chleba w polu?

Ciocia Nina jest u nas na wakacjach. Przyjechała z... no, mniejsza o to skąd. Na dnie oczu ma obraz albo sto dwudziestego siódmego piętra z klimatyzacją zamiast okna, albo „Hudsona", gdzie można dostać wszystko i zawsze. Jeżeli coś sobie teraz stale przypomina, to tamto. I pieca w polu nie odnajduje w pamięci, chociaż tamten czas był naszym czasem wspólnym. I go nie widzi.

Józek, widział taki piec.

Powiedział, że w czasie wojny widział takie piece na Podolu.

Ciocia Nina:

— Ależ Józiu! Ona nie może pamiętać Podola!

— Pamiętam w polu piec.

W prześwicie kłosów prześliznął się z przygwizdem pociąg. Elektrycznie i krótko. Nienachalnie. Rząd okienek nanizanych ruchem. Poza nim stał żółty dźwig. Jakby po nim pozostał. Jakby się tam wkradł za jego kurtyną, w czasie tego zamieszania w pejzażu. Ale przecież tam był, przez cały czas żółciutki jak zboże, więc tak bardzo mnie raził. Cichy był. Stąd. I wydawało się, że nic nie robi, a on od świtu, aż pokąd starczyło dnia brał z zasię i kładł przed sobą wielkie betonowe tafle starając się zewrzeć ze sobą jak najdokładniej. Ale dokładnie nie jest, są chropawe po brzegach, nie przylegają i dylatacje trzepią po oponach, tak, że Józek zjeżdża na ścieżkę obok torów. Szkoda mu roweru. Ma nowy. Ma zawsze nowy rower. Ten jest trzeci. Poprzednie mu ukradli. Także takie zadbane.

Ścieżka jest wąska na parę złączonych stóp. Snuje się jak rosówka. Ma ze sto lat, albo tyle co tory, nie opuszcza ich i ciągnie się tak, bo ja wiem, może do Zduńskiej Woli. Te płyty — zmieszczą na swojej szerokości ze dwa autobusy i nie mogą się wić jak rosówka. Więc przedtem przyjeżdża spychacz i spycha, dokładnie pod linijkę to, co tam wypadło na tej nowej, teraz już na pewno w dobrym miejscu pomyślanej drodze. Jabłoń to jabłoń, płot to płot. Ziemia rozbuchana płodnością ujarzmiona. Wielką betonową płytą. Nagrobna płyta dla ziemi.

Otworzyły się sady. Obnażone z płotów. Rozwarta intymność zagrody. Garść sadzy po niedawnym cieple w kominie. Można wreszcie dokładnie obszczekać.

Suna na przełaj przez to. Przez ten poligon. Ojciec z wiadrem, teściowa z torbą i siatkami, matka z dwoma Józikami ledwie przebierającymi kulfonami z nudów i pośpiechu.

— A popatrzcie no, jakie też to podwórko mieli zarośnięte całe trawą. Kto też to widział, zarośnięte, u mnie by tam —

— Ale samochód to —

— A zarośnięte —

— Takie podwórko —

Mama zobaczy no te papierówki gorsze jakieś niźli nasze, nie?

— Gorsze. Weźnij i obtrzęś —

Obtrząsają. I wynoszą wiadro, torbę i dwie siatki. Józiki jedzą na miejscu, jakby w domu tych lepszych nie było.

Jedni tak przychodzą: z kubłami od razu. Innych przyhamowuje jakby respekt przed tą resztką zagrzebanego w stłuczonych cegłach ogniska, którego nikt już nie strzeże i które niczego już nie określa. Gałęzie połyskują owocami. Więc ci co tu potem — patrzą na tych co już są na drzewach. Niby to bezpańsko-państwowe, ale jak taki nie łamie gałęzi — znaczy, że je kiedyś posadził. Albo, że gdzieś kiedyś sadził inne. Inni potrzebują tylko owoce. Te wszystkie owoce z tych wszystkich drzew. Jutro będą tu bloki.

Stojąc na moim balkonie babcia K. pokazała kiedyś ręką tak jakoś po przekątnej: — Tam, powiedziała, o widzi ten orzech tam był mój dom. — Stawiali go z jejichnym w dwudziestym którymś. Dwa mieszkania i kuchnią. Szkoda w ogóle jest mówić. Ogród. Wtedy jeszcze tu nikt takich drzew. Wszyscy podziwiali. Kto tylko. — O tam, powiedziała, gdzie ten orzech —

Orzech jest jak z filmu: Bitwa o Wał Pomorski. W tym roku piekielny urodzaj na orzechy. Nie doczekał. Nie ma na czym mieć urodzaju. Został. Ale na pewno nic jeszcze nie wiadomo. Na pewno będą na osiedlu tylko stożkowate kupy, uformowane z kamoli obflancowanych tarasowato. Im dalej od biura tym kupa gorsza. Najeleganciejsza pod samymi oknami kierownika. Z fontanną. Mogą też jeszcze być stare opony. Pomalowane.

Niektórzy nie wytrzymali i jak wychodzili ze swoich płotów, to zabrali z sobą jakieś niedorostki modrzewi, zapowiedzi przyszłego srebrnego świerczka, jakiś krzewik, bylinkę i wsadzili to w trawnik na wprost swoich balkonów. Poza planem inżynierii nie od zieleni. Rosną teraz podparte starannie kołkami, podwiązane, opatulone na zimę. Psują tę zaplanowaną kompozycję i jest od nich pomiędzy blokami jakby serdeczniej.

Babcia K. wcześniutko, skoro świt schodzi przed blok i podlewa trawnik. Konewką. Jeśli poranek jasny, czysty i zapowiada dzień jak dzwon. W te gorsze, niżowe wstające w zaduchu i rozbabraniu — leje wodę przez okno. Ma migreny. Nocami moczy gałganek w occie i obwiązuje czoło i skronie i wtedy rankiem podlewa trawnik przez okno. Chlusta z wiadra garnuszkiem z wysokości trzeciego piętra. A potem pozostaje tak jeszcze w tych otwartych drzwiach zagrodzonych metalową balustradą na wypadek gdyby się z tego niedospanego zaspania to nigdzie nie prowadzące wyjście miało pomylić z gankiem. Więc sobie tak staje o poranku i patrzy jak w jej oczach pejzaż coraz bardziej zarasta betonem.

Babcia K. z pozycji wychylu poprzez balustradę zasłaniającą wyjście na pejzaż — do mnie w pozycji wychylu przez oboczne okno:

— Postawili takie wielgastwo jakby słońce nie miało za co zachodzić. Dawniej to słońce zachodziło za kościół. Przynajmniej człowiek wiedział, że potem będzie wieczór. Postawili takie. Ul na to mówią. Brat na to mówił. Mówił, że pewnie jego do niego dadzą. Wiosną jeszcze wszystko jemu pomierzyli. I spisali i już tam teraz zwożą. To niezadługo wszystko przemieli. Brat był u mnie to chciał się udusić. Sąsiad znaczy się ten poprzedni co koło nas. Pół roku tylko mieszkał i koniec. Zawał. Pewnie od windy. Ja też nie chciałam z winda tylko żeby w niskim ale w niskim nie ma takiego z jednym mieszkaniem. Brat mówił żebyśmy się poskładali i wybudowali od nowa. Ale. Siedemdziesiąt dwa lata. Ja. Będę się budowała. Wczoraj byłam i opłaciłam plac. Będę na mężu. Już jest akurat lat. Różę tylko co ją dałam do brata pod altanę zabiorę i posadzę przy krzyżu. Zawsze to róża i mniej jest dbania niż tak. Teraz nikt nie ma czasu na dbanie. Szkoda tego orzecha. Jakby uważać to drzewa by mogły być. Nie byłby taki kurz. Kurz tylko i kurz.

Jak skończą ul skończy się kurz. Nikt przecież nie będzie wywalał taczkami gruzu z wysokości. Kurzu nie będzie. Będzie asfalt, trawnik i kwadracik wymaglowanej czerwonej cegły, a na nim przydział dzieciństwa: huśtawki — dwie sztuki, zjeżdżalnia — jedna sztuka, drabinka — jedna sztuka, obmurówka na piaskownicę — jedna sztuka. Koniec. Poza tym ma być porządek. I ładnie.

— Magdusiu nie tłucz się po chałupie idź na podwórko —

— Nie chcę na podwórko, chcę się bawić —

Jak skończą ul nie będzie kurzu. Robią przecież. Długo, ale prędko. Dźwigowy ma na imię Lolo. Kabina dźwigu jest na wysokości dwunastej kondygnacji. Jedna kondygnacja trzeba liczyć trzy metry. Do kabiny ma sto sześćdziesiąt trzy schodki. Przecież nie będzie z każdym słowem schodził, nie? Więc się przekłada przez pulpit z guzikami, przyciskami i drążkami i wysadzając głowę z lufcika kabiny mówi w dół z wysokości tych trzydziestu sześciu metrów:

— Ja nie będę (...) przychodził (...) w niedzielę (...) do roboty (....) żebyście w poniedziałek (....) wszystko (... :::: :) tak?

— No ale nie ma trójki lewej, nie? — mówi ten z dołu w rękawicach bramkarza hokejowego.

— A w kontenerze ostatnim co jest (.....)? — pyta się pan Lolo.

Ten na dole w tych rękawicach zasuwa do ostatniego kontenera, który jest przy klatce drugiej i objaśnia stamtąd w kierunku miejsca gdzie będzie klatka dziewiąta przy której stoi dźwig:

— Piątki —

— Co? — pyta się pan Lolo

— Piątki — powtarza ten w rękawiczkach — przecież mówię!

— Co mówię, co mówię — odpowiada pan Lolo — to daj (.....) stropy i robim bo (.....) — włącza motor dźwig jedzie do przodu, obraca się w lewo, liny zjeżdżają na dół, warczy wszystko, słów nie słychać.

Ten na dole rozdziela liny, zakłada za haki klamry:

— Góra!

Liny napinają się, ociągają jakby nie bardzo chciały, ale muszą, nie ma siły, to znaczy właśnie: jest siła. W tym dźwigu którego ster ma w ręku pan Lolo. Strop jak opłatek fiut! i góra, obrót, przejazd, wyjazd, allees —

— Mamuchna jak rany boga! gdzie tędy? gdzie? ondulacji szkoda jak coś na łeb zleci —

— Ojejajeja...

Przebiera koturnami po wertepach dryp, dryp przebiera, płyta deska drut pręt klamra piach wiadro smoła drabka sztabka kamoł beczka sztacheta wtyczka zatyczka — dryp, dryp — koturny wysokie, korkowe. Zadek podskakuje. Zadek że nu! Cmokają na wysokościach. Cmokają. Pohukują. Naganka dla zadka. Podryguje. Pohukują na wysokościach i robią. Szybko robią, ale długo. Niecierpliwi ci z numerkami mieszkań na kartkach. Ledwie wykopią fundamenty już tu są. Zadzierają głowy i patrzą. Obliczają które to miejsce w powietrzu wypadnie na ich numer. Na razie liczą razy Pi. A potem już stale przychodzą. Z głębokości miasta przyjeżdżają i patrzą ile już tego powietrza obudowali. Długo jakoś im ten numer zakreślają betonem. O Jezu, robią i robią!

Pan Lolo szarpnął wajchą: majtnęło. Za nisko majtnęło. Podebrało kabel. Kabel: pyk! jak gumka w majtkach. A gruby. Do całego oświetlenia jak przez noc robią. Teraz kabel leci ze słupa. I po płocie. Płot to siatka przedszkola. Już zrobionego. Ześlizguje się po siatce i na maskę Skody 1000 MB. Dźwig staje. I pan Lolo. Aż się wykłada przez pulpit. Aż prawie wypada. Kabel po Skodzie 1000 MB tylko plasnął i w rulonik obok. Obojętnie. Byle jak. Cisza. Ani słowa. Tego też nie. To własna Skoda pana Lolo.

Jak zajeżdża do roboty to z fasonem. Hamulec na duś dopiero pod samym płotem przedszkola, między słup i rury. Stożek z rur od zsypów. Przygotowanych tutaj. Drzwiczkami trzask i podciąga spodzień. Taki gest. Spodzień szyk! jak chabry. I do bagażnika po kombinezon i byle obów. A potem krótko, głośno: co i jak. I do roboty.

Dziś rano z rury wyskoczył kot i przez drogę. Kot. Kicia. Kocia kruszyna. Więc i nieszczęście ma miarę. Kabel bez prądu w biały dzień.

A kociaki są cztery. Dwa podobne do matki, jak czarne krople. A dwa zwyczajne. Urodziły się tu, w rurze. Kocica jest stąd. Z tego miejsca. Od dziada pradziada. Albo jeszcze dawniej. Jak już była na ostatnich nogach to znalazła coś, jakiś kabat i przywlokła do rury i tam. Wyglądało przez jakiś czas, że jej już nie ma całkiem. A potem pokazały się małe. Matka po żer, a one tak, byle nie w rurze, po jednym a potem wszystkie cztery.

Magdusia wstaje rano i chodzi po mleko. Do sklepu. Dla siebie nigdy nie może, bo by nie zdążyła do szkoły. Wlewa mleko do skorupy i wstawia do rury.

Rury windują się po jednej w blok. Kocica kabat w zęby i na niższe piętra. Zostały już tylko dwie.

Kiedy już skończą ze wszystkim, w tym miejscu będzie latarnia.

Jak Magda kiedyś powie: — Pamiętam w rurze był kot —

Będą wydziwiali:

— W rurze? jak to w rurze? Kot w rurze?

Kot.

PORTRETY

Tekst: BOGDA MADEJ
Zdjęcia: WŁODZIMIERZ PARYS

JAKUB WUJEK

1. Architekt. Absolwent Politechniki Gdańskiej. Łodzianin. Po ukończeniu studiów w 1961 roku pracował w Gdańsku i Helsinkach. W 1964 roku powrócił do Łodzi. Pracuje w „Miastoprojekcie".

3. — Na architektów wszyscy narzekają...
— A jest to taki sam zawód jak inne. Ma tylko jeden mankament. Na architekturze znają się wszyscy. Tak się przynajmniej ludziom wydaje.

2. Wraz z zespołem, w którym pracuje jest współtwórcą osiedli: „Teofilów — C" — najładniejszego łódzkiego osiedla, „Dworzec-Chojny", „Inflancka II". Obecnie realizuje projekt osiedli: „Chełmońskiego" i na Kozinach.

4. — Razi nas przede wszystkim monotonia osiedli.
— Przecież tworzymy je z takich samych elementów. I dlatego obecnie próbujemy różnicować je kolorem.

5. — I co na to mieszkańcy?
— Jednym się to podoba, innym nie. Ciągle szukamy lepszych rozwiązań. W moim przekonaniu ciekawym pomysłem jest ten z Inflanckiej.

6. — Gdzie Pan ucieka od architektury?
— Na ryby.

TEATR PUBLICYSTYCZNY

Przez publicystykę rozumie się zazwyczaj taką, adresowaną do szerokiego ogółu wypowiedź, która ma na celu naświetlanie aktualnych problemów społecznych i politycznych, aby, poprzez mobilizowanie opinii publicznej, kształtować określone wobec nich poglądy, a nawet postawy.

Nie jest to definicja i teoretycy znajdą zapewne wiele braków w takim opisaniu przedmiotu publicystyki.

Jako praktyk ucieszyłem się z zaproszenia do Piotrkowa na I Forum Teatrów Publicystycznych.

I oto jestem po raz pierwszy w wojewódzkim już Piotrkowie, przechadzam się pryncypalną ulicą Słowackiego, oglądam szyldy nowych, wojewódzkich instytucji i przypominam sobie tych kilka zdań z Przewodnika Michała Rawity—Witanowskiego, które ukazują to miasto w ogromnym historycznym skrócie:

jako miejsce elekcji królów;
siedzibę sejmów;
siedzibę trybunałów koronnych.

„Po rozbiorach kraju — pisze M. Rawita—Witanowski — Piotrków stał się siedzibą kamery i regencyi pruskiej (1793—98). Za Księstwa Warszawskiego przejścia wojsk zubożyły miasto, do którego Rada Stanu czasowo się przeniosła. Za Królestwa Kongresowego, w r. 1816, stał się Piotrków miastem obwodowym. Przeprowadzenie kolei żelaznej ożywiło przemysł, a utworzenie gubernii (1867) wzmogło ludność. Obecnie, na rzecz Łodzi, pozbawione władz wojewódzkich, w rozwoju przemysłu fabrycznego jedynie widzi przyszłość przed sobą".

Ostatnie zdanie straciło już swoją aktualność, ale trzeba pamiętać, że Przewodnik ukazał się przeszło pięćdziesiąt lat temu i tyleż lat Piotrków musiał czekać na odzyskanie swego dawnego prestiżu.

Nie znaczy to wcale, że zdetronizowany zrezygnował na pół wieku z ambicji ważnego ośrodka kulturalnego.

W okresie międzywojennym kulturalne tradycje miasta podtrzymywały tutaj doskonale pracujące gimnazja, zwłaszcza zaś Seminarium Nauczycielskie.

Po wojnie przejęło na siebie tę rolę Studium Nauczycielskie, w którym działał kabaret „Papuga", o którym głośno było poza granicą powiatu. Miasto znalazło też środki, aby organizować corocznie ogólnopolski konkurs literacki pn. „Rubinowa Hortensja". Wreszcie dziesięć lat temu pod patronatem Klubu Przemysłu Spożywczego grupa amatorów z Michałem Staśkiewiczem na czele zorganizowała się w teatr, który świadomie przybrał miano publicystycznego. Pod tą nazwą funkcjonuje do dziś, a dziesięć lat to wiele jak na ludzi połączonych tylko dobrą wolą i chęcią działania i w całym ruchu artystycznym amatorów rzadko da się wskazać przykłady równej żywotności i konsekwencji rozwoju. Ruch amatorski boryka się przecież z trudnościami, których nie doświadcza teatr profesjonalny.

Przede wszystkim wiele zależy od mecenasa, ale nawet najbardziej szczodry nie skrzyknie entuzjastów, jeśli nie zejdą się sami, nie zaproponuje im repertuaru, jeśli sami nie zdecydują się na profil działania, nie zapewni im powodzenia, jeśli to, co mówią ze sceny, będzie miałkie i nijakie. A przecież to tylko cząstka niebezpieczeństw. Droga, którą podążają teatry zawodowe, jest zabójcza dla amatorów i tym, co zapewnia im rację istnienia, są własne poszukiwania, autentyzm i spontaniczność.

Trzeba stwierdzić, że amatorzy doskonale rozumieją tę rację. Toteż ich ruch cechuje mnogość form wypowiedzi i poszukiwań formalnych, które z trudem tylko można zdefiniować stosując tradycyjne wzorce. Znajdziemy tam bowiem elementy teatru dramatycznego, rapsodycznego, teatru poezji i kabaretu, aż po widowisko typu światło—dźwięk. Osobne miejsce w tym tyglu zajmuje zjawisko nazwane teatrem publicystycznym, o które także warto się pospierać. Można je przecież rozumieć jako ten typ wypowiedzi scenicznej, w której zasadniczym tworzywem jest literatura faktu, a nawet aktualne informacje gazetowe. Możliwe jest wszakże także inne podejście. Publicystycznością byłaby w tym wypadku plakatowa niemal forma ekspresji przemawiająca do widza swą bezpośrednią tendencyjnością, niemal natręctwem.

I już choćby dlatego warto było zorganizować Forum Teatrów Publicystycznych, które miało na celu konfrontację osiągnięć i kierunków poszukiwań scen amatorskich podejmujących szeroko pojętą tematykę aktualną. Konfrontację niejako dwupiętrową, gdyż zmierzającą do porównania podejmowanej przez te teatry problematyki, jak też sposobów wypowiedzi, form scenicznego wyrazu.

Jest to formuła bardzo pojemna, ale jednocześnie ogromnie zobowiązująca, toteż Forum, pamiętajmy wszakże, że dopiero pierwsze, tylko częściowo pozwoliło zorientować się w tych poszukiwaniach. Było po prostu zbyt mało reprezentatywne, uczestniczyło w nim zbyt mało zespołów. Żaden z nich zresztą, oprócz sceny gospodarzy, nie nosił miana teatru publicystycznego, tylko miana zastępcze takie jak „Studio ZET" czy „Teatr Rozmów".

Zacznijmy więc omówienie spektakli od teatru piotrkowskiego, nie tylko dlatego, że był gospodarzem imprezy, ale dlatego, że jego poszukiwania, co wynika z programowej linii repertuarowej, powinny być najbardziej świadome.

Kiedy się czyta kronikę działalności tego zespołu nietrudno wskazać przykłady prób przełożenia na język teatru aktualnej problematyki społecznej czy politycznej. Świadczą o tym choćby tytuły spektakli zrealizowanych w ciągu dziesięciu lat istnienia Teatru Publicystycznego: „My z drugiej połowy XX wieku", „Memento", „No more Hiroshima", „Ich bin Pole", „Czarne słowa", „Strajk", „Listy pisane nadzieją". Niektóre z nich reżyserował jeszcze Michał Staśkiewicz, część zaś Jan Kordowiak, który kieruje tym teatrem od ośmiu lat. Na Forum przedstawili piotrkowianie spektakl „Tamten człowiek" oparty na książce A. Chedid. Opowiada ona o próbie uratowania człowieka zasypanego przez gruzy podczas trzęsienia ziemi i jest pretekstem do ukazania całego szeregu zachowań grupowych, jakie wyzwala

KONRAD FREJDLICH

TEATR JAKO GAZETA

ta akcja. Jan Kordowiak sięgnął do najprostszych form wypowiedzi, zrealizował swój spektakl pomysłowo i sprawnie. I jeśli spektakl zostawił nam niejaki niedosyt, to może dlatego, że zawierał elementy refleksji publicystycznej, nie był wszakże teatrem publicystycznym w pełniejszym znaczeniu tego słowa.

To samo można zresztą powiedzieć o innych zespołach, łącznie z najdoskonalszym warsztatowo teatrem „Forum" z Dąbrowy Górniczej prowadzonym obecnie przez M. Staśkiewicza. Spektakl „Bona fides", sceniczny tryptyk, eksponujący w każdej z części inny element teatru, a więc kolejno muzykę, słowo poetyckie, wreszcie ruch, chociaż mówił o sytuacji w Chile po zabójstwie prezydenta Allende, miał przede wszystkim charakter teatru metafory i odwoływał się do pierwiastków humanistycznych poprzez ten sposób uogólnienia, że gdzieś zagubiły się mechanizmy społeczne, które uruchomili faszyści, aby zdobyć władzę, że alegoria przemocy, która miała zaangażować emocjonalnie widza po stronie pokonanych, nabrała charakteru jasełkowego zaciemniając raczej sprawę niż uwypuklając jej klasowe uwarunkowania.

Tematyka chilijska przeważała zresztą na Forum, podjął ją Teatr Studencki „Krąg" Wyższej Oficerskiej Szkoły Samochodowej w Pile i „Studio ZET" ze Szczecina, które ma w swym przydomku miano Teatru Otwartego.

„Krąg", który nazwał swój spektakl „Wiwisekcją", tylko w części dotrzymał słowa, gdyż i on uciekł w stronę alegorii eksponując silnie łańcuchy i inne atrybuty przemocy. Mimo niezłego jak na amatorów aktorstwa, zespół Bogusława Gortata nie spełnił moich oczekiwań. I tutaj faszyzm był jasełkowy, chociaż usiłowano odwołać się do porównań z przeszłości, do hitlerowskich Niemiec. I tutaj ze sceny rozlegał się bezsilny i nieco naiwny protest humanistów przeciwko przemocy i upodleniu człowieka, i tutaj zabrakło ostrej oceny politycznej zjawisk w dzisiejszym Chile.

Najbliższy formule teatru publicystycznego był chyba spektakl „Studia ZET" ze Szczecina zatytułowany „Ruch uliczny", w którym realizator Ireneusz Krzysztof Szmidt wykorzystał teksty Pabla Nerudy, Zbigniewa Herberta, Ewy Lipskiej i Helmuta Kajzara. I, o paradoksie, Słowo poetyckie przemówiło ze sceny najaktualniejszymi treściami politycznymi. Myślę, że najpełniej wymowę tego spektaklu odda tych kilka zdań Helmuta Kajzara:

„Sztuka drugiej połowy XX wieku, zgodnie z doświadczeniem historycznym, nieufnie przygląda się dyktatorom, wodzom, uczy ostrożnego obchodzenia się z nimi. Niechby nawet byli wielcy, z trudem w to uwierze. Historia radykalnie zmieniła nasze pojęcia tragiczności, pozwala jedynie wyobrazić sobie nas tragicznych. W dyktatorach widzimy ludzi powolnych polityczno-ekonomicznym układom. O ludobójstwie nigdy nie mówimy, że jest tragiczne. Boga wzywać nadaremno. Sztuka też mniema o sobie skromniej".

Jakby polemiką z tą opinią był monodram J. Olczak — Łukasiewicz, aktorki Teatru Ziemi Krakowskiej im. Solskiego w Tarnowie. Jedyna reprezentantka sceny zawodowej przedstawiła program pt. „Eksperyment" oparty na autentycznych listach polskich więźniarek obozu koncentracyjnego w Ravensbrueck, które poddawane były zbrodniczym zabiegom chirurgicznym. Spektaklowi szlachetnemu w intencjach i starannemu w realizacji zabrakło jednak jakby próby zaktualizowania okupacyjnej problematyki, toteż przeszedł bez wrażenia podobnie jak występ teatru „Heliotrop" z Bielska-Białej, który zaprezentował się w programie „Remis".

„Remis", do którego scenariusz napisał Tadeusz Nyczek w oparciu o teksty najbardziej dziś kontrowersyjnych poetów, takich jak Stanisław Barańczak, Julian Kornhauser czy Adam Zagajewski, okazał się w realizacji Haliny Kubisz publicystycznym niewypałem. W barokowej metaforze gdzieś stępiało ostrze tej poezji, gra w dobro i zło, zaprogramowana przez Nyczka jest tu zaledwie zabawą z niewyszukaną pointą.

Trudno obciążać odpowiedzialnością za te niewypały organizatorów z Piotrkowa, którzy starali się zrobić wszystko, aby zaproponowana przez nich konfrontacja teatrów przyniosła możliwie najpełniejszy obraz niepokojów drążących ruch amatorski. Jeśli nawet nie uzyskaliśmy dostatecznie wyraźnej odpowiedzi, to trzeba pamiętać, że teatry amatorskie, obejmujące swym zasięgiem już nie tylko studentów, ale coraz częściej środowisko robotnicze, są formą czynnego uczestnictwa w kulturze i już choćby dlatego zasługują na uwagę. Inicjatywa piotrkowskiego zespołu, a Forum będzie powtarzane, zainspiruje je być może do nowych poszukiwań formalnych, bo propozycja teatru publicystycznego jest wielką szansą dla tego ruchu.

CENTRUM TAJNEGO FRONTU II

ANDRZEJ BLAJER

MISJA „ALBERTA"

Genewa, rok 1939. Pewnego letniego dnia w bramie okazałego, siedmiopiętrowego gmachu przy rue de la Lausanne pod nr 113 pojawiła się tabliczka z informacją, iż w domu tym mieści się siedziba agencji kartograficznej „Geopress". Biuro agencji znajdowało się na V piętrze w mieszkaniu, które wynajął niedawno człowiek nazwiskiem Sandor Rado — dyrektor i właściciel „Geopressu". Rado był już znanym w Europie kartografem, kiedy w owych dniach przeniósł się wraz z rodziną z Paryża do Genewy. Wybór był nieprzypadkowy.

Genewa stanowiła bowiem w tym czasie centrum światowego życia politycznego, była siedzibą Ligi Narodów, miejscem międzynarodowych spotkań i konferencji. Nic więc dziwnego, iż przyciągała również uwagę świata naukowego, zwłaszcza że wielu naukowców czynnie współpracowało z różnymi wyspecjalizowanymi agendami Ligi Narodów. Do nich należał również **Sándor Rado.** Czy był to jednak prawdziwy powód jego przyjazdu do Genewy i decyzji osiedlenia się na stałe w Szwajcarii?

W czasie swego dotychczasowego pobytu w Paryżu często przyjeżdżał do Genewy, aby skorzystać z niezbędnych mu w pracy naukowej bogatych zbiorów biblioteki Ligi Narodów. Nie nosił się jednak z zamiarem opuszczenia Francji. Można więc przypuszczać, iż powód tej nagłej decyzji musiał być innego rodzaju. A zatem co nim było w rzeczywistości i **kim w ogóle był Sándor Rado?** Zanim poznamy odpowiedź na owe pytanie, cofnijmy się nieco w czasie.

Było to w październiku 1935 roku. **Sándor Rado,** emigrant polityczny z Węgier, stale mieszkający w Paryżu i kierujący niezależną agencją prasową **„Inpress",** przyjechał właśnie do Moskwy. Agencja, którą kierował była bardzo niewielka, lecz za to jej współpracownicy byli publicystami o wysokich kwalifikacjach. Założono ją z zamiarem demaskowania agresywnych posunięć rosnącego z każdym dniem w siłę niemieckiego imperializmu, zwłaszcza po dojściu do władzy Hitlera. Agencja wydawała okresowe biuletyny w językach: francuskim, angielskim i niemieckim. W biuletynach tych publikowali swoje artykuły m. in.: **Władimir Posner,** syn rosyjskiego socjalisty-emigranta, niemiecki dziennikarz **Maksymilian Scheer, Arthur Köstler,** węgierski pisarz, publicysta i członek KPD, pisarz **Reno de Jouvenel** i wielu innych. Częstymi gośćmi redakcji „Inpressu" byli tacy pisarze jak: **Arnold Zweig, Louis Aragon, Egon Erwin Kisch** czy niemiecki dramaturg — **Ernst Toller.** Działalność agencji, choć bez wątpienia owocna, była jednak dosyć ograniczona, a decydującą tego przyczyną był brak funduszy na jej utrzymanie. Początkowe poparcie dla antyhitlerowskiego nastawienia agencji ze strony liberalnych kręgów francuskiej burżuazji zaczęło z czasem ulegać zmianie i pociągnęło za sobą również wstrzymanie dotacji finansowych. Sytuacja agencji była więc dość trudna, a przecież działalność, jaką prowadziła, była teraz, w obliczu rosnącego niebezpieczeństwa wojny, bardziej potrzebna niż kiedykolwiek przedtem.

Przyjazd Sándora Rado do Moskwy nie miał jednak wiele wspólnego z działalnością „Inpressu". Głównym celem podróży były sprawy naukowe, związane z jego zawodem kartografa. Nie był to również jego pierwszy pobyt w Związku Radzieckim. Również tym razem, tak jak to czynił poprzednio, odwiedził przede wszystkim redakcję **„Wielkiego Atlasu Radzieckiego",** mieszczącą się w zabytkowym gmachu przy ulicy Razina oraz redakcję **„Wielkiej Radzieckiej Encyklopedii",** z którą także współpracował. Nie zapomniał również o swoich starych przyjaciołach węgierskich i niemieckich, niektórych jeszcze z okresu Węgierskiej Republiki Rad, których odwiedzał ilekroć przyjeżdżał do Moskwy. Zazwyczaj wymieniano poglądy na temat rozwoju sytuacji politycznej Europy, ze szczególnym uwzględnieniem narastającego niebezpieczeństwa, jakie groziło światu ze strony niemieckiego i włoskiego faszyzmu. Rado dzielił się także z nimi swymi doświadczeniami z pracy w „Inpressie" i radził się jak usprawnić działalność agencji. Tak było również tym razem i pobyt ten nie różniłby się właściwie niczym od poprzednich, gdyby nie pewne zdarzenie, które, jak się później okaże, wywarło zasadniczy wpływ na dalsze losy Sándora Rado.

Któregoś dnia w jego hotelowym pokoju, gdzie mieszkał podczas swego pobytu w Moskwie, zadzwonił telefon. Telefonował pewien znajomy dziennikarz węgierski, który poprosił Rado o wyrażenie zgody na pilne spotkanie. Wkrótce też pojawił się w hotelu. Rozmowa, jaka wywiązała się między nimi dotyczyła głównie tematów politycznych oraz trudnej sytuacji agencji „Inpress", przy czym Rado ze zdziwieniem zauważył, że jego rozmówca jest doskonale poinformowany o kłopotach wydawnictwa. Początkowo przypuszczał, że wielu szczegółów dowiedział się on od jego moskiewskich przyjaciół. Toteż zdziwił się jeszcze bardziej, gdy gość poinformował go, że jego osobą interesują się niektórzy pracownicy **sztabu generalnego Armii Radzieckiej.** Okazało się, iż dziennikarz ten rozmawiał z nimi na temat osoby Rado i jego działalności i zapytał, czy nie wyraziłby zgody na spotkanie z kimś ze sztabu generalnego. Propozycja ta zupełnie zaskoczyła Sándora Rado, zaczął się więc zastanawiać, co mogło być powodem tego zainteresowania. Dziennikarz powiedział mu wówczas, iż pracownikom sztabu jest dobrze znane antyfaszystowskie nastawienie agencji, lecz z uwagi na jej niewielkie możliwości działania proponują mu przerwać działalność w „Inpressie" i podjąć współpracę ze sztabem generalnym Armii Radzieckiej. Oferta, jaką złożył ów dziwny gość była zbyt nieoczekiwana, aby odpowiedzieć na nią natychmiast, toteż Rado poprosił o czas do namysłu.

Dlaczego właśnie on, Węgier, od 1919 roku, po upadku Węgierskiej Republiki Rad, stale przebywający za granicą? Ze względu na swoje postępowe przekonania i działalność w Austrii oraz Niemczech na przełomie lat dwudziestych, czy też może ze względu na działalność żony, **Heleny Jansen,** która w okresie owych burzliwych wydarzeń pracowała w radzieckim poselstwie w Berlinie, a później wraz z Rado w KC KPD w Wydziale Propagandy? Trwało to do momentu dojścia Hitlera do władzy, kiedy zapadła decyzja o przejściu do konspiracji. Wówczas Rado wraz z żoną został przerzucony najpierw do Austrii, a stamtąd już na stałe przeniósł się do Francji. Wtedy właśnie, obok pracy w „Inpressie", zajął się także działalnością naukową i wkrótce stał się znanym kartografem, otrzymującym wiele zamówień na mapy od szeregu europejskich towarzystw, a nawet sztabów generalnych niektórych krajów. Teraz był jednak zaskoczony, że właśnie do niego zwrócono się z propozycją współpracy. Nie miał przecież żadnego przygotowania do pracy w wywiadzie, żadnego doświadczenia. Czy zatem podoła nałożonym nań, niełatwym bez wątpienia, obowiązkom? Był świadomy ogromu trudności, lecz mimo tych wahań zdawał sobie doskonale sprawę z niebiezpieczeństwa wojny. Zdecydowany był wszelkimi siłami przeciwdziałać mu. Teraz miał okazję uczynić to jeszcze skuteczniej niż w „Inpressie". Pamiętał również o tym, że jego ojczyzna znajdowała się pod rządami reakcyjnej dyktatury Harhey'ego, nie miał więc do niej powrotu tak długo, jak długo regent będzie sprawował władzę. Droga do kraju mogła być więc tylko jedna — droga walki. Sándor Rado powziął więc ową trudną decyzję, która całkowicie zmieniła dalszy bieg jego życia.

Ów węgierski dzienikarz, z którym Rado rozmawiał w hotelu, wkrótce po uzyskaniu pozytywnej odpowiedzi na przedstawioną propozycję, zaaranżował spotkanie z człowiekiem kompetentnym do dalszych rozmów. Pewnego dnia zaprowadził Sándora Rado do jednego z moskiewskich mieszkań, gdzie poznał go z **Arturem Christoforowiczem Artuzowem,** jednym z czołowych pracowników oddziału wywiadowczego Sztubu Generalnego Armii Radzieckiej. Artuzow poinformował Rado, iż pragnie się z nim zobaczyć sam naczelnik wydziału — **Siemion Piotrowicz Uricki.** Spotkanie odbyło się w tym samym mieszkaniu. W pewnym momencie, jak wspomina Rado, do pokoju wszedł wysoki oficer, jeszcze stosunkowo młody, na którego bluzie mundurowej błyszczały dwa ordery Czerwonego Sztandaru. Po powitaniu zapytał, jak długo Rado zamierza pozostać w Moskwie ze względu na swoje sprawy naukowe, po czym od razu przeszedł do konkretnej rozmowy. Zarysował przed Rado perspektywy służby wywiadowczej, jej trudny charakter i znaczenie dla sztabu generalnego. Polecił zakończyć działalność „Inpressu" i przenieść się z Paryża do takiego miejsca, z którego można by uzyskać w miarę możności najlepsze informacje o ewentualnym przeciwniku.

Po krótkiej analizie Uricki i Rado doszli do wniosku, że w chwili obecnej, mając na uwadze, iż potencjalnym przeciwnikiem są Niemcy hitlerowskie, w grę wchodzą dwa takie miejsca w Europie, które mogłyby stanowić dobre źródło informacji w tym względzie. Uważali, że najlepszymi będą — Belgia lub Szwajcaria, przy czym Uricki był zdania, że łatwiej będzie uzyskać zgodę władz na osiedlenie się na stałe w Szwajcarii niż w Belgii. Na korzyść Szwajcarii przemawiał również fakt, że z jej terytorium można było obserwować jednocześnie poczynania dwóch ewentualnych agresorów — Niemiec i Włoch. Było bowiem wiadome, iż w wypadku wybuchu wojny oba te mocarstwa staną się przeciwnikami Związku Radzieckiego.

Zadanie Rado jako współpracownika wywiadu radzieckiego było więc następujące: uważnie śledzić wszystkie kroki i posunięcia obu tych państw na arenie międzynarodowej i starać się rozszyfrować ich zamiary, docierając do tajemnic ich zaborczych planów. Uricki wyraził przy tym żal, że nie można wykorzystać Rado w charakterze wywiadowcy na terenie samych Niemiec, jako że znał on je doskonale pracując tam przez szereg lat i mając świetnie opanowane języki obce, ale fakt, że zarówno on jak i jego żona byli także świetnie „znani" gestapo, całkowicie wykluczał podobną możliwość. Pracując natomiast w Belgii bądź w Szwajcarii Rado nie był narażony, w wypadku wybuchu wojny, na konieczność zawieszenia działalności, a wprost przeciwnie — właśnie wówczas mógł oddać radzieckiemu sztabowi generalnemu nieocenione usługi. Ostatecznie uzgodniono więc, iż Rado spróbuje napierw osiedlić się w Belgii, a jeśli próba ta zakończy się niepowodzeniem, postara się uzyskać zgodę na pobyt stały w Szwajcarii. Jednocześnie kierownictwo wywiadu postawiło przed nim następujące zadanie: jako specjalista z dziedziny geografii i kartografii Rado powinien się zająć pracą naukową i otworzyć w Belgii swoje przedstawicielstwo, które miałoby charakter przedsiębiorstwa handlowego. Na koniec uzgodniono pseudonimy, jakimi miał odtąd posługiwać się Rado w kontaktach z centralą. W czasie pokoju — **„Albert",** w czasie wojny — **„Dora".**

cdn

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Fot.: W. Parys

JERZY WILMAŃSKI

Jerzy Wilmański, poeta, prozaik i dziennikarz, urodził się 16. IV. 1936 r. w Aleksandrowie koło Łodzi. Studiował filologię polską w Uniwersytecie Łódzkim. Od 1958 r., a więc od chwili ustanowienia pisma, jest najpierw współpracownikiem a potem członkiem redakcji „Odgłosów". Jako felietonista stale współpracuje z „Głosem Robotniczym", „Kr uzelą" i Rozgłośnią Polskiego Radia w Łodzi.

W 1958 r. Wydawnictwo Łódzkie w serii „Biblioteka Poetów" opublikowało pierwszy zbiór wierszy Wilmańskiego „Poemat niedoskonały". Patronem większości debiutanckich wierszy młodego twórcy był Gałczyński. I to nie tylko dlatego, że w jednym z jego ciekawszych utworów, w „Zaproszeniu do podróży", znajdujemy bezpośrednie odwołanie do Farlandii mistrza Ildefonsa, nie tylko dlatego, że napotykamy tu i rekwizyty typowe dla autora „Niobe", owe piękne drobiazgi, klipsy gwiazd, biel akacji w srebrzystym kurzu, zielony grzebień — dar poety dla ukochanej itd. Gałczyńskiemu zawdzięczał debiutant szczególny nastrój swych wierszy. Były one apoteozą spokojnego, pełnego pogody, życia, pochwałą miłości — wolnej od wielkich porywów namiętności — ale miłości ufnej. Lecz w pierwszym tomie poety znajdują się i wiersze drapieżne, będące wyrazem niezgody na świat, z którym przyszło się ich autorowi zmagać. Do nich należą (najlepsze chyba w tomie) „Noce szpitalne", „Dziewczyna z Honoratki" oraz "xxx" (w pudełku własnych słów zamknięty).

Już w „Poemacie niedoskonałym" daje się zauważyć zafascynowanie poety urodą „złego miasta". Łódź i jej dramatyczna historia wielokrotnie były źródłem inspiracji dla poetów, m. in. Tuwima, Broniewskiego czy Szenwalda. Ale w odróżnieniu od nich, nie rok 1905, strajki robotnicze, czy łódzka nędza interesują Wilmańskiego. Wilmański bowiem z sentymentem opisał miasto, które odeszło, zapuszczone łódzkie podwórka, studnie, chylące się ze starości domki Widzewa i Bałut. Odkrył poeta w ich brzydocie piękno.

W wierszu „Chciałbym wejść" pisał:

Chciałbym wejść
w chorobliwą szarość
wyciętego z gazety pejzażu Utrilla
(...)
taki śmieszny obłąkany
Marco Polo łódzkich ulic

O ile czerwona historia naszego miasta nie jest bezpośrednio przedstawiona w tych wierszach, o tyle poeta zawsze zdaje się o niej pamiętać.

Pisał poeta w lirycznym „Spacerze wieczornym":

Uśmiechniemy się do siebie i do latarń
może zgasną jak w pokojach gasną światła
Niech zostanie tylko park i noc skrzydlata
i dudniący głuchy pomruk mego miasta

W 1963 r., również w serii „Biblioteka Poetów", ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego jego drugi zbiór wierszy „Obrona krajobrazu". Nie odnajdziemy tu już młodzieńczej euforii. Są to wiersze o wielkiej człowieczej klęsce, nieuleczalnej chorobie, o tragizmie ludzkiej egzystencji. W „Poemacie niedoskonałym", tytułowym wierszu pierwszego tomiku, pisał:

twój poetycki rekwizyt
i śnieżna kula zimy
to zjawiska przemijające
może temu
należy zawdzięczać fakt
że wskoczysz
w dzwoniący na przystanku dzień.

W „Obronie krajobrazu" nie godził się poeta z nieuchronnością przemijania czasów, ludzi, zdarzeń. W wierszu „Wieczór" pisał:

Na stacji docelowej gwizdek konduktora
Wieczór odjeżdża dzwoniąc. Został zmięty bilet

Wilmański dał nie tylko wyraz swemu zwątpieniu w porządek świata. Podjął również próbę odnalezienia się w jego chaosie. Z braku wiary w Wielką Opatrzność próbował poeta do jej rangi nobilitować Wielką Fermentację, jako tę, która jedyna pozwala na chwilowe pogodzenie się ze światem. Pisał we wstrząsającym wierszu „Kioski z piwem":

Kapliczki nowej wiary
religia jęczmienia
święty Chmiel fermentuje
pod obłoczkiem piany
Wokół kiosków wyrosły
atole wyznawców
kufel w drewno stuka
Pieni się południe
i Łulgoce wieczór
Następuje niezwykła
Wielka Fermentacja

Właśnie ten wiersz, obok „Sanatorium", utworu, w którym odnajdujemy pogłosy wierszy Lieberta, należy bezsprzecznie do najlepszych w zbiorze.

W 1970 r. opublikował Wilmański swój trzeci zbiór poetycki „Odlot". O ile w „Obronie krajobrazu" dał poeta wyraz swemu przeczuciu klęski, o tyle wiersze „Odlotu" pisane są z pozycji człowieka już klęską dotkniętego. Są to wiersze tragiczne Zdaniem poety z klęski można odejść tylko w drugą klęskę. Poeta zdał sobie bowiem sprawę, jak tylu przed nim i tylu na pewno po nim, ze swej śmiertelności. Przemijanie, ów „wieczór, który odjeżdża, dzwoniąc", zagraża nie tylko abstrakcyjnie przecież pojmowanej ludzkości, ale i jemu. Stąd lęk przed śmiercią, nieustanne o niej rozmyślanie i zastanawianie się:

Jak odejść
żeby było pięknie
żeby wiatr świstał w uszach
żeby wiosna była
albo lato
i żeby zgrzyt hamulców
przerażone drzewa
i deszcz

I w „Odlocie" odnajdujemy piękne, liryczne wiersze poświęcone Łodzi („Łódź — styczeń", „Łódź", „Łódź — nocą", „Łódź — świt").

W 1966 roku opublikował Wilmański w Wydawnictwie Łódzkim zbiór opowiadań pt. „Krzywa latarnia". Niektóre z nich (np. „Okno", „Tygiel", „Powrót") oscylują na pograniczu prozy poetyckiej. Nie można tu mu odmówić umiejętności budowania nastroju, konstruowania lirycznych obrazków o zaskakującej pointcie. Nie one jednak świadczą o ważkości tomu. Najciekawszymi w tomie zdają się być te o ostro zarysowanej fabule, mocno osadzone w realiach codziennych spraw i przeżyć („Pliszka", „Wacek — Marynarz"). Bohaterami ich są ludzie słabi, wykolejeni, nieszczęśliwi. Akcja zaś rozgrywa się na dalekich peryferiach naszego miasta. Bohaterowie Wilmańskiego, owi nieudacznicy życiowi, nie nadają się do szkolnych czytanek za dużo w nich kompleksów, zahamowań, porażek. Ale właśnie na tym polega siła jego pisarstwa. Nie bawi się w moralizatora, nie usiłuje rozgrzeszać. Świat dalekich przedmieść opisuje jednak z wyrozumiałą sympatią, ciepłem, ze współczuciem.

Jednym z najciekawszych opowiadań w tomie jest „Nasza brygada". Wrócił w nim autor do czasu wielkiego entuzjazmu, do lat, kiedy jego pokolenie z wielkim oddaniem zaangażowało się w działalność ZMP. Powraca do owych czasów z goryczą, z autoironią, ale i z wielkim sentymentem.

Łodzi i jej historii poświęcił Wilmański wydany w 1970 r. przez Wydawnictwo Łódzkie zbiór felietonów. Na tom złożyły się felietony publikowane w latach 1969—1970 na łamach „Odgłosów". Dał tu wyraz swej pasji zbierackiej. Z rzadkim darem „plotkuje" o „dawnych dobrych czasach", przypomina zapomniane stare czasopisma, ludzi, którzy niesłusznie odeszli w zapomnienie. Teraźniejszość sąsiaduje tu z historią, sytuacje serio z anegdotą, ostre w tonie polemiki osobiste z życzliwymi portretami tych, którzy szczególnie zasłużyli się dla naszego miasta. W swej ocenie zjawisk i ludzi bywa Wilmański dyskusyjny. Np. zbyt surowo ocenił twórczość Bruno-Milczewskiego w felietonie „O jednej pani, co umarła". Okazuje się jednak zawsze świetnym ironistą i gawędziarzem.

Wilmański jest również translatorem. Wraz z innymi poetami łódzkimi przełożył wiersze wybitnego rosyjskiego futurysty, Grigorija Pietnikowa.

Jest Wilmański jednym z najbardziej łódzkich pisarzy. Łódź jest wszechobecna w jego twórczości. Spopularyzowane przez tradycję „złe miasto" staje się na kartach jego książek — mówiąc słowami autora „najgorszym i najpiękniejszym pod słońcem, najpiękniejszym i najbrzydszym".

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

OBYCZAJE

HANNA Z. dobrze pamięta dzień 28 kwietnia. To był poniedziałek. Trzeci rok filologii właśnie poniedziałki miał najbardziej przeładowane wykładami i ćwiczeniami. Zajęcia na uczelni rozpoczynały się o godz. 8 i trwały do czwartej po południu. Przerwa obiadowa w południe była za krótka by zdążyć do studenckiej stołówki. Z domu kanapek nie zabrała bo trochę zaspała i brakło już czasu na przyrządzenie drugiego śniadania. Obiecywała sobie, że jak wróci to „naje się za wszystkie czasy"...

Przede wszystkim jednak Hanna Z. zapamiętała dzień 28 kwietnia, bo wtedy po raz ostatni była w **„Magdzie"** i zdarzyła się historia, jakiej po raz drugi nigdy nie chciałaby przeżywać. W domu handlowym przy ul. Piotrkowskiej 28 zwykła robić zakupy Również tego dnia — **„głodna jak wilk"**, wstąpiła po drodze z Uniwersytetu Łódzkiego do domu. Z lady przy wejściu wzięła metalowy koszyk. Z wolna go napełniała wędrując swobodnie między stoiskami. Obok paczki cukru, sera żychlińskiego i małej kostki masła, położyła owinięty w banderolę chleb mleczny i bułkę delikatesową. Najbardziej była zadowolona ze słoika dżemu malinowego. Pierwszy raz spotkała go w „Magdzie".

W kolejce do kasy stanęła za jakąś panią w brązowym płaszczu. Sklep o tej porze był przepełniony. Do dwóch czynnych kas ustawiały się długie kolejki. Bułka leżała na wierzchu koszyka. Prowokowała podsycany głodem apetyt. Zaczęła ją jeść. Całą zjadła, nim wolno posuwając się do przodu stanęła wreszcie przed kasjerką. Zapłaciła 37,50 zł. Podała dwa banknoty 20-złotowe. Otrzymała 2,50 zł reszty. Już miała przełożyć sprawunki do swojej siatki, gdy ktoś mocno chwycił ją za ramię.

— **Poproszę paragonik** — usłyszała głos równie uprzejmy, co stanowczy.

— **Panie kierowniku!** — zaraz krzyknęła ekspedientka, która ją trzymała.

— O co chodzi? — próbowała się dowiedzieć.

— **Jak to, o co chodzi? A za bułkę kto zapłaci?!** — pałała oburzeniem pracownica „Magdy". — Och! bardzo przepraszam — chciała załagodzić nieprzyjemną sytuację Hanna Z. Podała kasjerce monetę 2-złotową. Bez słowa wydano jej kwitek kasowy i 1,20 zł reszty. Na tym jednak incydent się nie zakończył. Przywołany kierownik zażądał dowodu osobistego. Podała legitymację studencką. Czuła jak pali ją wstyd. Było tam wypisane nazwisko, które dzięki zasługom jej pradziadka zasłynęło w całym świecie, jest wymieniane we wszystkich encyklopediach i leksykonach. Na szczęście uszło uwagi kierownika.

— **Ach, to pani jest studentką?** — nie ukrywał złośliwej satysfakcji wobec licznych gapiów gromadzących się już wokół. — **Zaraz wezwiemy milicję, wyślemy wniosek do kolegium, taką studentkę wyrzucą ze studiów** — kontynuował okrutny monolog.

Nie wiedziała co powiedzieć na swoją obronę. Że po prostu była głodna i zapomniała o zjedzonej bułce za 80 gr? To wydawało się oczywiste. Zaszokowało ją podejrzenie, że mogła umyślnie zjeść bułkę i za nią nie zapłacić. W tłumie nie było nikogo, kto rzekłby słowo w jej obronie. W poczuciu bezsilności łzy same płynęły po twarzy. Z ulgą przyjęła polecenie poparte szturchańcem, by poszła na zaplecze, do pokoju kierownika...

Tu nastąpił nagły zwrot. Zaproponowano jej, że nie będzie ani wniosku do kolegium, ani powiadomienia uczelni, jeśli zgodzi się przepracować społecznie dziesięć godzin w „Magdzie". Natychmiast przyjęła ten warunek, nawet nie zastanawiając się nad jego sensem. Jak najszybciej chciała mieć za sobą tą całą sprawę o kradzież bułki.

Podano jej biały fartuch, kazano pomagać przy układaniu na półkach magazynu worków z cukrem. Po 20 kg każdy... O godz. 21, gdy zamykano na noc dom handlowy przy ul. Piotrkowskiej 28 Hannę Z. zwolniono łaskawie do domu.

— **Jeśli pani nie przyjdzie odpracować jeszcze sześciu godzin** — usłyszała na pożegnanie — **to wyślemy wniosek do kolegium i powiadomimy uczelnię, że okradła pani „Magdę"...**

* + *

DOM HANDLOWY „MAGDA" zajmuje wśród łódzkich sklepów samoobsługowych czołowe miejsce pod względem ilości kradzieży, dokonywanych przez nieuczciwych klientów. Od 10 września 1971 roku, gdy zaprowadzono kolejny rejestr kradzieży, zainaugurowany przez pewną kobietę, która zamiast do koszyka włożyła do swojej torebki puszkę śledzi po gdańsku za 11 zł, do końca września br. zanotowano **686 przypadków złodziejstwa**. Wypada więc więcej niż jedna kradzież na dwa dni.

KONRAD TUROWSKI

SPRAWA O KRADZIEŻ BUŁKI

Oto np. schwytano pijanego, który z lady chłodniczej ukradł kurę. Wezwany patrol MO zabrał złodzieja, ale po pewnym czasie wrócił i ponownie usiłował ukraść mrożoną kurę... Innego dnia pewien młodzieniec wchodząc do sklepu zgłosił kasjerce, że ma przy sobie butelkę „Wipromu" za 107 zł. Przyłapano go, jak przy gondoli z winami wymieniał ją na inną. Po sprawdzeniu okazało się, że w butelce, którą przyniósł była zwykła woda z kranu...

Elegancka starsza pani przychwycona na kradzieży trzech butelek „Pepsi-coli" wyznała z całą szczerością, że ukradła, bo założyła się z koleżanką, która godzinę wcześniej wyniosła niepostrzeżenie z „Magdy" dwie butelki „Pepsi-coli". Chciała dowieść, że nie jest gorsza...

Zdecydowaną większość sprawców kradzieży stanowią kobiety. Reprezentują najrozmaitsze środowiska. Próżno by szukać tu jakiejś prawidłowości. Czystą bzdurą byłoby dopatrywanie się tła dokonywanych kradzieży w ubóstwie sprawców czy sprawczyń. Wartość artykułów, które usiłują wynosić waha się od 30 do 35 zł. Kradzież pieczywa tylko raz odnotowano, właśnie 28 kwietnia br.

— **To chyba są te dobre gospodynie** — konstatuje z ironiczną goryczą kierownictwo „Magdy" — **które idąc po zakupy biorą 100 zł, kupują za dwieście zł i nierzadko jeszcze 100 zł im zostaje...**

Na liście artykułów, które najczęściej padają łupem złodziei, absolutny prym wiedzie masło. Nie raz już bywało, że zatrzymywano złodziei, którzy po kilka kostek usiłowali wynieść. Któregoś dnia przeprowadzono wyrywkowy remanent stoiska z masłem. Na 60 kg brakowało aż 14 paczek ćwierćkilogramowych wartości 75 zł. Zostały skradzione w ciągu trzech godzin od otwarcia sklepu.

Wyjaśnienie przyczyn, dla których właśnie masło najczęściej pada łupem złodziei, wydaje się zadaniem równie niewykonalnym, jak ustalenie powodów, dla których klienci „samów" w ogóle kradną. Gdyby określenie takich prawideł było możliwe, na pewno pracownicy „samów" nie patrzyliby na każdego wchodzącego, jak na potencjalnego przestępcę. Mogliby prowadzić jakąś selekcję. Może by mieli więcej czasu, by służyć radą i pomocą przy zakupach uczciwym klientom?...

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w tej chwili sprzedawczynie w sklepach samoobsługowych przede wszystkim spełniają rolę detektywów. W „Magdzie", podobnie jak w innych „samach", wypracowano — może trącące amatorszczyzną, ale skuteczne — systemy łapania złodziei. Przynajmniej jedna ekspedientka ma za zadanie ocenianie wchodzących klientów. Stoi przy wejściu i niby patrzy, czy każdy bierze koszyk. Od jej intuicji zależy, czy klient będzie swobodnie chodził między półkami i gondolami, czy zaraz przekaże go umówionym gestem koleżance, która dalej będzie bacznie obserwować jego ruchy. Kilka ekspedientek, rozstawionych w różnych punktach sklepu, stara się w miarę dyskretnie stale patrzyć na ręce klientom. Wiadomo — że jeżeli złodziej wie, że jest obserwowany, to nie da się złapać. Wobec tego sprzedawczynie udają, że nic a nic je nie interesuje poza układaniem np. paczek cukru, ustawianiem słoików czy liczeniem cukierków wsypanych luzem do pojemnika. Niektóre tak się wyspecjalizowały, że z powodzeniem mogłyby zakasać rutynowanych wywiadowców służby kryminalnej MO. W „Magdzie" np. jedna ze sprzedawczyń przyłapała już kilkudziesięciu złodziei. Wśród nich — dodajmy gwoli ścisłości — pracownika magazynu z „Magdy". Ukradł puszkę mleka kondensowanego za 15,50 zł. Za karę ma być przeniesiony do innej pracy.

Dawniej za każdego ujawnionego złodzieja pracownica sklepu otrzymywała premię w postaci dwóch godzin wolnych od pracy. Szybko z tego jednak zrezygnowano. Za dużo bowiem było zwolnień. A przecież braki w pełnej obsadzie załóg „samów" wyraźnie sprzyjają kradzieżom. W „Magdzie" po wielekroć dowiedziono na podstawie wyników remanentowych, że po każdym okresie zwiększonej nieobecności sprzedawczyń w pracy, rosną straty tego domu handlowego. Kilka czy nawet kilkanaście ekspedientek nie może bowiem należycie przypilnować mienia wyłożonego na powierzchni ok. 800 metrów kwadratowych sklepu samoobsługowego, jakim jest „Magda". Z tej okazji korzystają złodzieje.

Osoby podejrzane o kradzież zatrzymuje się dopiero poza linią kasy. Tylko wtedy bowiem przestępstwo można uznać za udowodnione. Wszyscy nieuczciwi z reguły tłumaczą się jednakowo, że zapomnieli zapłacić. Nic innego nie wypada mówić. Powoływanie się na roztargnienie ma dostarczyć alibi przekonać o niewinności. Nader często drobna kradzież nie licuje z zajmowanym stanowiskiem, pozycją męża, grozi kompromitacją w miejscu pracy i w środowisku. Nie mogą jednak liczyć na przebaczenie. Pracownicy sklepów samoobsługowych bronią przecież własnego interesu. Wisi nad nimi groźba, że jeżeli najbliższy remanent ujawni niedobory przekraczające dopuszczalne normy na ubytki, będą obciążeni i z własnych kieszeni pokryją straty. Muszą więc łapać złodziei, zamiast handlować. Trudno tu zastanawiać się nad niuansami. Każdy, kto wziął z półki sklepowej jakikolwiek artykuł i nie zapłacił przy kasie, w oczach sprzedawczyń „samów" jest złodziejem, wyraźnie działającym na ich szkodę.

Może trudno się dziwić, że kierownictwo „Magdy" potraktowało Hannę Z. na równi z innymi nieuczciwymi klientami, ale stanowczy sprzeciw musi wzbudzać samowolne wymierzanie kary w postaci nakładania obowiązku pracy społecznej. Wprawdzie kierownictwo „Magdy" upoważniono do sporządzania wniosków do kolegium, ale w żadnym razie nie oznacza to, że może wyręczać kolegium w orzekaniu winy i wymierzaniu kary. Tu stanowczo zagalopowano się za daleko. Słusznie więc postąpiła Hanna Z., że w poczuciu jaskrawego naruszenia jej praw obywatelskich, nie zgłosiła się do przepracowania jeszcze sześciu godzin w „Magdzie". Omija też „Magdę" przy robieniu zakupów.

* + *

29 września br. Kolegium do spraw Wykroczeń przy Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Śródmieście rozpatrzyło wniosek o ukaranie Hanny Z., obwinionej o to, że dokonała kradzieży bułki delikatesowej wartości 80 gr na szkodę „Magdy". Na mocy art. 39 kodeksu wykroczeń, kolegium odstąpiło od wymierzenia kary. Artykuł ten głosi, że **„w wypadkach zasługujących na szczególne uwzględnienie, można, biorąc pod uwagę okoliczności, bądź charakter czynu lub właściwości i warunki osobiste sprawcy, zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary lub odstąpić od wymierzania kary".**

Takie rozstrzygnięcie, oparte na wyraźnych różnicach między wykroczeniem Hanny Z., a pospolitą kradzieżą, jest najzupełniej zgodne z powszechnym poczuciem sprawiedliwości, wykształconym w naszych warunkach społecznych. Słuszne orzeczenie w sprawie o kradzież bułki, za którą studentka rzeczywiście zapomniała zapłacić, nie rozwiązuje jednak nabrzmiałego problemu nagminnych kradzieży w sklepach samoobsługowych. Czas najwyższy, by temu zagadnieniu poświęcono więcej niż dotychczas uwagi. Interes olbrzymiej rzeszy uczciwych klientów wymaga, by sprzedawczynie w „samach" uwolniono od obowiązków detektywów, by zgodnie ze swoimi kwalifikacjami mogły zajmować się handlem.

FILM

„Tylko dokąd się ona toczy i po co?"

— to pytanie o sens życia stawia bohaterka „Nocy i dni" bardzo często. Należy ono zaś do pytań zasadniczych w ogólnej problematyce filozofii człowieka, wyznacza też główny krąg refleksji ujawnionych poprzez te dzieła sztuki, które ludzie z dystansu wieków czy tylko lat uznali za najpełniejszy wyraz swej egzystencji i egzystencjalnych dylematów. To pytanie określa też główną problematykę „Nocy i dni" Marii Dąbrowskiej, powieści, której bogactwo pozwala wprawdzie odnajdywać wiele motywów i wątków, jednakże wszystkie one spotykają się w końcu w tym samym nurcie centralnej jej refleksji.

Tadeusz Drewnowski w ostatnim numerze „Literatury" rozważa owo przedziwne zjawisko literackie, jakim była i jest twórczość Marii Dąbrowskiej. Przypomina fakty dotyczące społecznego odbioru książek tej pisarki. Jest w nich coś bardzo znamiennego. Krytyka literacka przez dziesiątki lat faworyzując twórczość Marii Dąbrowskiej, po raz pierwszy z okazji pośmiertnego wydania „Przygód człowieka myślącego" podjęła o nią spór, będący dość nieoczekiwanym, a co więcej, generalizującym atakiem. Padały wówczas słowa o XIX-wiecznym anachronizmie, prowincjonalności, niemocy epickiej i pospolitej nudzie. Zapomniano wówczas o pewnych sprawach przeczących niezwykle wymownie tym konstatacjom. To Maria Dąbrowska kandydowała do nagrody Nobla, należy też do najczęściej wydawanych poza granicami kraju pisarzy polskich. Po wojnie „Noce i dnie" wznawiane były czternaście razy, statystyki biblioteczne zaś podają, że jej książki cieszą się nadal ogromnym powodzeniem u czytelników. Prezentując prymat czytelniczy Marii Dąbrowskiej we współczesnej literaturze Drewnowski z niepokojem komentuje jednak badania przeprowadzone nad recepcją „Nocy i dni" wśród młodzieży szkolnej. W powierzchowności odbioru upatruje symptomy zarysowywania się granic żywego odbioru twórczości Dąbrowskiej wśród nowych pokoleń czytelników. Ten niepokój, jak sądzę, jest bezpodstawny. Historyczny układ programu szkolnej polonistyki nakazuje włączenie „Nocy i dni" do lektur klasowych. Poloniści pośredniczący pomiędzy dziełem Dąbrowskiej a jego młodymi odbiorcami zgodzą się jednak ze mną, że „Noce i dnie" są książką stanowiącą jeden z najtrudniejszych przedmiotów szkolnej interpretacji. Decyduje o tym określony stan świadomości i dojrzałości młodego czytelnika. Mądrość i piękno tej powieści dostępne jest ludziom dorosłym. Dodać tu zapewne również trzeba, a jest to przecież tajemnica poliszynela, że świat powieści Dąbrowskiej bliższy jest także kobietom.

Użycie tego argumentu po to, by podkreślić sukces twórczy Jerzego Antczaka, autora filmowych „Nocy i dni", byłoby niepoważne. Fakt, że to mężczyzna okazał się znakomitym adaptatorem tej powieści, potwierdza jednak jej uniwersalizm.

Przyzwyczajeni do tych, zwłaszcza na terenie polskiej sztuki, nowych faktów kulturowych, którymi stają się wybitne filmowe adaptacje naszej klasyki i tak „Noce i dnie" Antczaka uznać musimy za wydarzenie artystyczne najwyższej rangi. Pierwszą intelektualną i emocjonalną reakcją na ten film jest niezracjonalizowana jeszcze do końca świadomość absolutnej symbiozy intencji literackiej i intencji filmowej. Wierność dziełu oryginalnemu w jego głównej idei, w najistotniejszych wątkach, w konkretyzacji postaci i całym klimacie jest naczelną cechą twórczego dokonania Jerzego Antczaka i jego współpracowników.

Nieco czasu trzeba, by obraz recepcji owego „anachronicznego, prowincjonalnego i nudnego" dzieła literackiego w jego niezwykle wiernym filmowym przetworzeniu okazał się jasny. Wyrażam swe przekonanie, że film Jerzego Antczaka obroni dzieło Dąbrowskiej przed krytyczno-literackimi rewizjami, wielbicieli czy tylko sympatyków utwierdzi w ich odczuciach, wątpiących przekona i odkryjdzie dla powieści „Noce i dnie" nowych czytelników.

W refleksjach swoich odbiegam od konwencji recenzji, me uznanie dla dzieła Antczaka jest ewidentne. Chodzi mi dziś jedynie o podkreślenie jednego, niezwykle interesującego zjawiska, sytuacji, w której niedawny nuworisz i dłużnik przychodzi w sukurs swej Mistrzyni — Literaturze. Wykładając swe najlepsze karty utwierdza wielkość Tamtej. Jest jej mądrym intepretatorem wtedy, gdy wyzbywa się kompleksów, gdy wykorzystuje wszystkie swe estetyczne możliwości nie po to, by ilustrować, lecz po to, by odczytać na nowo, to znaczy odnaleźć to, co ciągle ważne, co współczesne i uniwersalne. Na te motywy powieści Jerzy Antczak zwrócił uwagę przede wszystkim. Bez bogato zarysowanego tła historycznego i obyczajowego ich prowadzenie nie byłoby możliwe, ten pietyzm był konieczny. Jednakże koncentracja uwagi na psychologicznych, moralnych i filozoficznych aspektach pierwowzoru zadecydowała o sukcesie jego filmowej interpretacji. Jerzy Antczak kontynuuje w swym filmie owo główne pytanie powieści, pytanie o sens życia i o indywidualne w nim miejsce każdego z nas. Przejmując psychologiczne i moralne refleksje oraz filozofię pisarki, a będąc jednym z nas, wyraża w piątaninie wszystkich gorączy i zagubień współczesności możliwość akceptacji postaw w powieści tej wyrażonych.

Wielkość filmu Antczaka tkwi, w mym przekonaniu w jego sile moralnej, w fakcie że za oryginałem proponuje wartości, których negacja jest we współczesnym świecie skrajnym wyrazem rozterek towarzyszących ludziom i ich zagubienia. Akceptacja i wyrażenie tych wartości było może osobistą potrzebą jednego z czytelników „Nocy i dni" — Jerzego Antczaka, możliwość ich przyjęcia bądź odrzucenia była dotąd sprawą wyboru również innych czytelników tej powieści, od dziś jest również sprawą widzów filmu Jerzego Antczaka. W mym najgłębszym przekonaniu faktem nie bez znaczenia jest właśnie to, że możliwość tę stawia przed nami twórca na wskroś współczesny, uczeń pisarki, która historia sytuuje już pomiędzy klasykami literatury. Jedność, ciągłość i kontynuacja, a nie prosta zależność wyznacza dynamiczne tropy rozwoju sztuk, wśród których głównie film oskarża się o wtórność. Filmowe „Noce i dnie" z tym zarzutem chyba się nie spotkają, bowiem również dzięki temu filmowi nasz stosunek do tradycji literackiej bardzo dziś się już zmienił i wzbogacił.

EWA NURCZYŃSKA

LISTY

„BYŁEM KIEROWNIKIEM KOLONII"

Nawiązując do artykułu Edwarda Bryla „Byłem kierownikiem kolonii" („Odgłosy" nr 34), chciałabym dorzucić uwag kilka. Problem ten nie jest ani mi obcy, ani obojętny. Z racji swojego byłego zawodu często jeżdziłam na kolonie: byłam i wychowawczynią i kierowniczką. Czyniłam to do niedawna, do ubiegłego roku.

Sprawy organizacji wypoczynku dla dzieci przedstawiają się bardzo różnie. Z reguły, jeśli zakład ma stały ośrodek kolonijny, co niestety jest zjawiskiem jeszcze rzadkim, ośrodek taki jest lepiej wyposażony niż placówki wynajmowane tylko sezonowo, lecz również pozostawia wiele do życzenia. Bardziej pomysłowe zakłady nawiązują kontakty i wymieniają sezonowo między sobą dzieci. Zakładowe akcje letnie nie zawsze są oczkiem w głowie dyrekcji. Owszem, inwestuje się wiele, ale w placówki wczasowe dla dorosłych. Akcje kolonijne są często traktowane jak przysłowiowe koło u wozu. Kiedyś jeden z dyrektorów znanych zakładów powiedział mi wprost:

— Ani nie mamy doświadczenia w tej mierze, ani łatwo nam znaleźć odpowiednią kadrę. Robimy to, bo musimy.

Pracownicy socjalni, odpowiedzialni za tę akcję, nie zawsze są kompetentni. Często wynajęty ośrodek nie nadaje się na obiekt kolonijny, jest zaniedbany przez właściciela, niedoinwestowany. W trakcie użytkowania go ujawniają się najbardziej nieoczekiwane mankamenty — popsuta instalacja sanitarna, uszkodzona kotłownia. Są to sytuacje nie do przyjęcia. Dodawszy do tych wszystkich kłopotów nieudolną kadrę wychowawczą, która umie prowadzić dzieci tylko do lasu, na plażę — można wyobrazić sobie całokształt życia takiej kolonii.

Kierownicy przed przyjazdem dzieci, przygotowując placówkę rzeczywiście sami noszą łóżka na plecach, ale nie w tym leży największe zło. Zło leży w organizacji życia na kolonii, w kadrze, która często jeździ na wypoczynek, nie do pracy, zmęczona czy to nauką, jak studenci, czy pracą z dziećmi, jak nauczyciele i nie ma w sobie ani krzty fantazji ani ochoty na dobrą zabawę, jaką powinna być kolonijna przygoda.

Sytuacje opisane przez E. Bryla są częste i niestety z życia wyjęte. Niejednokrotnie sama byłam świadkiem ich i na własnej skórze odczułam nieudolność i niesubordynacje kadry. Miałam w swojej placówce instruktorkę wychowania fizycznego, która paliła papierosy z najstarszymi chłopcami i była z nimi na ty i nauczycieli „na wypoczynku" — najlepszych pedagogów, reagujących świętym oburzeniem na wszystkie innowacje, spokojnych, statycznych, bez chęci do aktywnego wypoczynku, torpedujących wiele dobrych inicjatyw i dzieci i kadry, a czasem i kierownictwa.

HALINA U. ADAMIAK
(Łódź)

„BYŁEM KIEROWNIKIEM KOLONII"

Nawet bardzo powierzchowna lektura listu pani J.M. (zamieszczonego w nr 39 „Odgłosów" w związku z moim reportażem „Byłem kierownikiem kolonii", „Odgłosy" nr 34) pozwoli Czytelnikowi znającemu choć trochę problematykę i specyfikę pracy i organizacji sezonowych placówek wczasowych dojść do jednoczesnego wniosku, iż autorka listu takowego rozeznania nie posiada.

Skąd, nie mając zupełnie dostępu do spraw finansowych i gospodarczych mogła J. M. wiedzieć o kłopotach z ceratą. Podanie intendentki do dziś napewno leży w b. Urzędzie Powiatowym, który musiał wydać specjalne zezwolenie na sprzedaż ceraty dla kolonii na rachunek.

Zadając pytanie, co robił kierownik kolonii przez trzy dni, J.M. daje następny dowód, że nie ma pojęcia, ile czasu wymagają czynności gospodarczo-administracyjne, związane z otwarciem i uruchomieniem placówki. Znając fakt, iż miejscowy człowiek, odpowiedzialny za przygotowanie obiektu, ograniczył się tylko do usunięcia ławek i wstawienia gołych łóżek, a sprzątanie i całkowite przygotowanie placówki zostawił właśnie kierownikowi, robiąc jednocześnie śmieszne trudności z wydaniem sprzętu, można było samemu odpowiedzieć na zadanie pytanie.

Normalną jest rzeczą, że wyjeżdżając, kierownik przekazuje sprawy gospodarcze intendentce, a nie zastępcy d/s. pedagogicznych, który nie ma nic wspólnego z finansami.

Czy zabrakło intendentce pieniędzy, o tym dokładnie może poinformować J.M. organizator, który nie dofinansowywał dodatkowo kolonii. To samo się tyczy rezygnacji kierownika, jak było naprawdę wiedzą osoby kompetentne.

Także inne zarzuty, zawarte w liście, są niepoważne. Wszyscy wychowawcy, łącznie z J.M., znali kierownika placówki ze spotkania, które odbyło się jeszcze przed rozpoczęciem kolonii. Każdy przechodził kurs dla wychowawców, podpisywał umowę (w której jest wyszczególniony zakres obowiązków, a dodatkowo jeszcze specjalną deklarację), nie było więc potrzeby robienia zebrania tuż po przyjeździe i rozlokowaniu dzieci. Jak można puścić samopas setkę dzieciaków i siąść przy konferencyjnym stole? Zazwyczaj pierwszą naradę robi się wieczorem, po położeniu dzieci do łóżek, o czym pani J.M. jako kierownik pedagogiczny powinna dobrze wiedzieć.

EDWARD BRYL

Od redakcji:

List Edwarda Bryla drukujemy na zasadzie lojalności w stosunku do krytykowanego autora, któremu przysługuje prawo obrony przed zarzutami. Na tym jednak chcielibyśmy sprawę zakończyć w obawie, że może się ona z polemiki przerodzić w kłótnię.

OŚWIATA–WYCHOWANIE

„...wszędzie pamięciowe tylko opanowanie faktów, wszędzie werbalizm jest czymś niepożądanym, ale w zakresie fonetyki jako nauki na wskroś poglądowej i doświadczalnej jest wręcz barbarzyństwem i męką dla umysłów. A i takie bywały wypadki, że polecono uczniom wyliczać na pamięć spółgłoski wargowe, szczelinowe, dźwięczne itp. lub również na pamięć tylko wymieniać wszystkie właściwości artykulacyjne jakiejś głoski. Zapewne, ostatecznie można się wszystkiego nauczyć na pamięć, a więc i głosowni, i tablic głoskowych, ale nikt myślący a znający przedmiot nie zaprzeczy, że jest to bolesny objaw bezmyślności ucznia, a nadużycie dydaktyczne nauczyciela".

JACEK INDELAK

O POTRZEBIE METODYKI

BARBARZYŃCA W SZKOLE

Fot.: W. Parys

W taki oto sposób **Z. Klemensiewicz** oburzał się w 1926 roku na powszechnie stosowane w polskich szkołach metody nauczania gramatyki. Wprawdzie od sformułowania tej myśli upłynęło pół wieku, niewiele jednak straciła ona na aktualności. Z podobnym dydaktycznym barbarzyństwem mieli do czynienia nasi uczniowie, spotykaliśmy się z nim i my, natrafiają na nie tu i ówdzie — nasze dzieci. Uczniowie anno 1975.

Na łamach prasy — zwłaszcza periodycznej — wybuchają co rusz burzliwe dyskusje na temat systemu oświatowego. Sen z powiek spędza publicystom m. in. projekt wprowadzenia w naszym kraju powszechnej, obowiązkowej dziesięciolatki, zwłaszcza zaś tej dziesięciolatki program. Roztrząsa się głównie to, co w tym programie powinno się znaleźć, a co należy wyrzucić. Mało jednak poświęca się uwagi problemowi: kto ten obdyskutowany i przetrząśnięty, idealny program nowej szkoły będzie wcielał w życie?

Czyżby wprowadzenie karty praw i obowiązków nauczyciela i równoczesne rozpoczęcie masowej akcji douczania pedagogów wpędziły wszystkich zainteresowanych w stan całkowitego samouspokojenia?

Jak pisze minister **Jerzy Kuberski** w książce pt. „Aktualne i perspektywiczne problemy polityki oświatowej" w roku szkolnym 1971/72 we wszystkich szkołach i placówkach opiekuńczo-wychowawczych resortu oświaty zatrudnionych było 336.220 nauczycieli, z których 17,2 proc. miało wykształcenie wyższe, 55,8 proc. — pokończyło studium nauczycielskie, 25.6 proc. — szkoły pedagogiczne, a 1,4 proc. — nie legitymowało się nawet średnim cenzusem pedagogicznym.

Z danych tych wynika, że akcją dokształcania musi być objętych co najmniej 150 tysięcy nauczycieli. Powinni oni — jak pisze minister — w okresie mniej więcej dziesięciu lat zdobyć wykształcenie wyższe. W 1973 roku podjęły studia 24 tysiące pedagogów, w okresie od 1973 do 1983 roku rokrocznie na studia ma być kierowanych dalszych 15 tysięcy osób.

Jako że termin zdobycia przez wszystkich wyższego wykształcenia w momencie przystąpienia do akcji wydawał się dość odległy, wymyślono wiele ulg i formalnych przyśpieszaczy: studia czteroletnie, przyjmowanie wprost na drugi czy trzeci rok studiów, wieczorową szkołę telewizyjną — NURT.

Wielkie przyśpieszenie w oświacie ma w rezultacie przynieść radykalne uzdrowienie i absolutną sielankę kadrową. Dyplom magisterski ma załatwić wszystko. Dyplom pomnożony przez sto pięćdziesiąt tysięcy! I wtedy można mieć nadzieję, że barbarzyństwo, o którym była mowa na wstępie, mimo iż dziś jeszcze nie należy do rzadkości, w roku 1983 stanie się li tylko zamkniętym rozdziałem historii oświaty.

Śmiem niestety wątpić.

Współczesny klasyk polskiej dydaktyki — **W. Okoń** — w swoim „Zarysie dydaktyki szkolnej" wymienia czynniki, od których zależy powodzenie pracy szkolnej, uszeregowując je w następującej kolejności:

— nauczyciel oraz metody i środki jego działalności,

— uczeń,

— warunki społeczne, w jakich przebiega praca.

Nauczyciel — wiadomo. Metoda? Sięgnijmy do K. Lausza „Podstawowych problemów współczesnej metodyki literatury" Metodą nauczania jest każdy sposób złożonego działania nauczyciela w procesie nauczania i wychowania, który stosuje on ze świadomością jako środek zmierzający do osiągnięcia zamierzonego celu, co do którego posiada on również świadomość, że sposób ten da się powtarzać w każdym przypadku.

Metodą będzie zatem także i uczenie się na pamięć artykulacyjnych właściwości każdej głoski. Metodą będzie również odczytywanie po raz setny przez nauczyciela sporządzonych przed ćwierćwieczem notatek, dotyczących tego czy innego tematu lekcyjnego. Metodą wreszcie będzie też zorganizowanie lekcji w kształcie — powiedzmy — sądu literackiego nad Jagusią Borynową z Reymontowskich „Chłopów".

Autorzy wstępu do „Metodyki nauczania języka polskiego w szkole średniej" (pod redakcją W. Szyszkowskiego i Z. Libery) stwierdzają:

„polonista powinien łączyć w sobie to, co reprezentuje **„scientia"**, z tym, co kryje się za słowem **„ars"**.

„Scientia" — to cały program uniwersytecki, jaki przyswoić sobie powinien i potem uzupełniać każdy dyplomowany nauczyciel. To między innymi — metodyka przedmiotu, jaki wykłada on lub będzie wykładać w szkole.

„O rezultatach pracy naukowo-wychowawczej decyduje nie tylko ogólna wiedza pedagogiczna i dydaktyczna nauczycieli, oderwana od konkretnego przedmiotu, ale ich wiedza i umiejętności metodyczne, polegające między innymi na umiejętności zastosowania uogólnionych treści ogólnopedagogicznych i dydaktycznych do własnego przedmiotu" — tak pisze K. Lausz

Metodyka, czyli dydaktyka szczegółowa, jest to, jak wiadomo, odrębny dział wiedzy, zajmujący się zadaniami i organizacją procesu nauczania danego przedmiotu. Tej właśnie metodyki chciałbym pobronić pod hasłem strawestowanym z **K. Wyki.** O potrzebie metodyki! Metodyki — niedocenianej i lekceważonej, o którą jednak jak bańka mydlana rozbija się marzenie o idealnej szkole.

Wśród nauczycieli czynnych zawodowo, jak i między kandydatami na pedagogów, szerzy się od lat — oficjalnie wyklinany i potępiany — d y d a k t y z m d o k t r y n e r s k i, który zakłada, że o powodzeniu w procesie nauczania przesądza nie wiedza metodyczna, ale wrodzony talent pedagogiczny i dobra znajomość przedmiotu. Stąd też jednym z najbardziej niechcianych przedmiotów na uniwersyteckich studiach nauczycielskich jest właśnie metodyka, uznawana przez wielu studentów za przedmiot nudny i niepotrzebny. Stąd też bojaźń dokształcających się nauczycieli, którym przyjdzie uczestniczyć w ćwiczeniach i egzaminie z metodyki. Stąd wreszcie radość studiujących nauczycieli, którzy ze względu na staż zawodowy i inne zasługi zwalniani są z zajęć metodycznych. A tych ostatnio jest, niestety, rzesza ogromna.

Nie owijajmy w bawełnę: kandydat na nauczyciela czy też czynny nauczyciel, który neguje wartość metodyki uznając ją za dyscyplinę nudną, trudną i zbędną, nie osiągnie wielkich sukcesów pedagogicznych. Nauczyciel bowiem widzieć powinien w metodyce królową wszystkich nauczycielskich nauk, swój żywioł i wielką pomoc.

Najlepszy bowiem program na nic się nie zda, jeśli nie zostanie przetłumaczony na system wypróbowanych i sprawdzonych metod i środków przekazu.

Nie osiągnie wiele nauczyciel, który całą swoją działalność dydaktyczną sprowadzi li tylko do sążnistych i nudnych wykładów, „zadawania do domu" materiału do przerobienia i zapamiętania, a wreszcie odpytywania uczniów z wyuczonej na pamięć lekcji. A jeśli jeszcze przypadkiem uczniowie wpadną na trop jakiegokolwiek podręcznika metodyki, z którego dowiedzą się — na przykład — że już przed wieloma laty wypracowano takie metody analizy dzieła literackiego, jak typolektoralna, filologiczna, objaśnieniowa (egzegeza), interpretacyjna, intuicyjna, impresyjna, analizy heurystycznej, dyskusyjna, sądu literackiego, zagadnieniowa, pracy z tekstem i analizy recytacyjnej. Dowiedzą się na przykład, że mogliby uczestniczyć w różnorodnych i ciekawych metodach pracy lekcyjnej, a tymczasem ich polonista ogranicza się — powiedzmy — tylko do analizy recytacyjnej i metody interpretacyjnej.

Niech jeszcze dowiedzą się z **J. Kijasa** „Ćwiczeń w mówieniu i pisaniu", że w ramach tych zajęć powinni wypowiadać się w takich formach, jak opowiadanie, sprawozdanie, streszczenie, opis, dyskusja, rozprawka, referat, esej, felieton, recenzja, reportaż, wywiad notatka, protokół, list, odezwa, ogłoszenie itd. A tu furt ich nauczyciel serwuje im wypracowania i dyktanda, to będą mieli do niego uzasadnione pretensje.

Sześćdziesiąt dziewięć lat temu **J. Korczak** wydał książkę pt. „Dziecko salonu". W jednym z jej rozdziałów — pt. „O gramatyce (Pan Jan ma lekcję z dziećmi na Solcu)" — przeczytać można taki fragment wykładu:

„Bo błąd w mowie — to plama tłusta i brzydka na fotografii matki, którą kochasz, to jak niestarannie przyszyta łata na ubraniu, w którym idziesz w gościnę. Źle mówić lub pisać — to znaczy krzywdzić mową tych wszystkich, którzy ją z taką czcią budowali. Język smuci, choruje, gdy ludzie źle nim mówią".

Banalne? Naiwne? Zgoda, ale trafia przecież do małej uczniowskiej łepetyny i do serca. Nauczyciel bowiem to nie tylko znakomity rzemieślnik, to również twórca, który jak z gliny lepi uczniowskie serca i dusze. Nauczyciel to człowiek, który to, co kryje się pod „scientia" i pod „ars" łączyć ma ze sobą w jednolitą, spójną całość. Ku pożytkowi ucznia, ku własnej dumie i satysfakcji.

A nauczyciel, który broni się przed przyjęciem i używaniem potężnego i precyzyjnego oręża, jakim stać się może w jego rękach metodyka, jest jak statek we mgle: zaszkodzić sobie samemu może, ale innym — zaszkodzi na pewno.

Zastanówmy się zatem, póki jeszcze czas, czy akcja dokształcania nauczycieli sprowadzić się ma niemal tylko i wyłącznie do daleko idącej pomocy w zaopatrywaniu ich w pożądane dokumenty? Czy też ma to być powszechny, nauczycielski rachunek sumienia, weryfikacja zawodowych umiejętności i predyspozycji, uzupełnienie braków i wypełnienie luk? Rzeczywiste uzupełnienie wiedzy metodycznej, podniesienie kwalifikacji dydaktyczno-pedagogicznych?

Nie generalizuję: gdyby jednak na stu dokształcających się nauczycieli, chociaż u jednego istniały metodyczne braki, warto podjąć cały wysiłek tej weryfikacji. Nawet za cenę obarczenia tych pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu dodatkowymi obciążeniami i powinnościami.

I dalej — niechaj wreszcie zostanie metodyka awansowana z niechcianej i lekceważonej na należne jej miejsce. Miejsce pierwszoplanowej dyscypliny naukowej na każdym z nauczycielskich kierunków. Dyscypliny, od której uzależniona jest w sposób bezpośredni przyszłość naszej nowej szkoły.

FILM OŚWIATOWY

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

FILMOWE

Mówiąc o filmie naukowym i dydaktycznym zwykło się wspomnieć o szczególnych możliwościach kamery poszerzającej ludzkie spojrzenie na makro i mikroklimat do — zdawałoby się — granic doskonałości. Nie bez racji przywołuje się wtedy gatunek filmowy, w którym — jak w żadnym innym — przenikliwość patrzenia, jego precyzja — przewaga nad spojrzeniem nieuzbrojonego oka ludzkiego staje się głównym atutem: film zajmujący się tematyką przyrodniczą. Eksploracyjne możliwości kamery decydują tu o wartości filmu na różnych szczeblach rejestracji świata umożliwiając obserwację zarówno „rykowiska" słoni na tle afrykańskiego krajobrazu, jak i podziału komórki w mikrometrowej kropli umieszczonej na szkiełku mikroskopu.

Tajemnice świata, które dostępne były oku ludzkiemu zaopatrzonemu w optyczne przyrządy — oczom wybrańców, mogą stać się własnością powszechną. Ale oczywiste jest, że nie tylko bariery wielkości pokonywane są przez film. Do tych barier należy także bariera czasu. Normalny rozwój zjawisk w przyrodzie rozkładający się często na wiele lat zostaje wtłoczony w ramy czasowe krótkiego metrażu i udostępniony podczas jednego seansu filmowego. I na odwrót: filmowa stop-klatka zatrzymuje na ekranie wybrany moment ewolucji, utrwala w formie migawkowych ujęć migotliwość zjawisk zanurzonych w ciągłym strumieniu przemian. Taka możliwość wyjęcia z kontekstu, uwiecznienia czegoś w trybie szczególnej rejestracji niewątpliwie rozszerza granice naszego poznania. Wynaleziona przez człowieka technika pozwala mu na osiągnięcie punktu widzenia właśnie pozaludzkiego, niedostępnego normalnemu, potocznemu doświadczeniu — punktu wznoszącego na wyższy poziom zmysłowy ogląd świata. Świat przyrody jest jednak zróżnicowany — nie da się ująć w gotowe schematy przedstawień ani odpowiadające im sztywne metody filmowania. Świat przyrody dostępny ludzkiemu poznaniu „optycznemu" zachowuje wobec operatora jeśli nie otwartą niechęć, to z pewnością zdecydowaną wstrzemięźliwość. Dostępność jest więc tu tylko pozorna. Świat mikrozjawisk natomiast stawia przed twórcą przeszkody innego rodzaju — przede wszystkim natury technicznej. Stąd dwie grupy filmowców zmitologizowane już do pewnego stopnia w społecznej świadomości: operator przedzierający się przez busz lub godzinami wyczekujący nadejścia do wodopoju upragnionego obiektu filmowej rejestracji, z drugiej zaś strony filmowiec zbierający materiały w ciszy laboratorium. Jednakże stopień specjalizacji i poziom współczesnej wiedzy stwarza potrzeby zespalania tych dwu metod pracy w całość: zjawiska makro domagają się rozbicia i wyjaśnienia w kategoriach mikro, a te ostatnie najdobitniej uwidaczniają swój sens w wymiarze zjawisk ogólnych.

Łódzka **Wytwórnia Filmów Oświatowych** może się pod tym względem poszczycić pełnią swych dokonań. Filmy podpatrujące życie egzotycznych ptaków sąsiadują tu bowiem z realizacjami uwieczniającymi elementarne funkcje życia. Przykładem tego drugiego rodzaju filmów jest utwór **Bolesława Bączyńskiego „Odwracalność i nieodwracalność procesów przyrody"**, choć w wypadku tego filmu działalność zmierzającą do przedstawienia zjawisk leżących w kompetencjach fachowców trudno uznać za popularyzatorską. Duże nagromadzenie specjalistycznych szczegółów i danych wymagających wyższego wtajemniczenia sprawia, że zwłaszcza w drugiej połowie filmu widzowi niełatwo rozeznać się w niejasnościach przytaczanych mu drobiazgowych wyjaśnień. Jednak, co trzeba stwierdzić, na plus realizatorów filmu, detale te mieszczą się znakomicie w głównym, chciałoby się rzec, filozoficznym nurcie jego myśli. Idzie bowiem o coś ważniejszego: o przeświadczenie uzyskane drogą badań empirycznych, że istnienie oglądane przez nas w zbryleniach i całościowych blokach pewnych zjawisk rozpoczyna się na szczeblu elementarnych, niepodzielnych już dalej napięć i procesów. Taka możliwość odkrycia na ekranie pierwotnych impulsów wydaje się gwarantować fascynację widza tematem.

Innym filmem, którego ambicje wykraczają poza encyklopedyczno-pocztówkowy pokaz zjawisk przyrody, jakkolwiek na odmiennym polu rozważań, jest film **Andrzeja Waltera „Biocenoza lasu"**. Rola komentarza w tym filmie, podobnie jak w poprzednio omawianym, jest decydująca. To właśnie on pozwala na przykładzie zamkniętego obszaru

OŚWIATA—WYCHOWANIE

Fot.: Włodzimierz Parys

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

CZY ZWYCIĘŻY ROZSĄDEK?

W połowie września uczestniczyłem w bardzo miłej uroczystości. Z okazji rocznicy śmierci Stefana Żeromskiego — Technikum Budowlane w Sieradzu otrzymało imię pisarza. Przebieg uroczystości bardzo mi się podobał: wzruszający marsz pocztów sztandarowych, przejęta orkiestra szkolna, która przećwiczyła nieźle hymn państwowy i jakiś wesoły marsz, z wyjątkiem może bębnisty, który z powodzeniem zagłuszał co cichsze instrumenty. Wszyscy mówcy wiedzieli, że życie powinno być długie, a przemówienia krótkie.

Szkoła znakomita pod każdym względem — nowoczesna, śmiało rozwiązana, projektowana przez dobrych chyba architektów, starannie wykończona i przede wszystkim znakomicie wyposażona. Młode województwo sieradzkie z pewnością będzie miało dużą pociechę ze swoich budowlanych, a my starannie wykonane domy. Ten typ szkół, kształcących budowniczych, powinien iść na wagę złota i tak chyba się dzieje, sądząc chociażby po zainteresowaniu ze strony władz.

W pewnym momencie przyszło mi na myśl, że Stefana Żeromskiego — gdyby tylko mógł znaleźć się w prezydium — bardzo by ucieszyła młodzież mająca budować nasze miasta teraźniejszości i przyszłości. Żeromski i nowe domy, szkoły, szpitale, wizjoner i miasta rosnące w oczach — trudno o bardziej trafne i pożądane skojarzenie. Inna sprawa, czy jest to skojarzenie głębokie, sięgające do wielu aktualnych po dzień dzisiejszy przemyśleń pisarza na temat przyszłości kraju, roli pracy, której — jak pisał — „pożąda polski lud", roli literatury. A może to tylko typowo rocznicowy i powierzchowny wybór patrona?

Mam co do tego sporo wątpliwości. Stefana Żeromskiego reprezentował podczas uroczystości pracowity Teatr Ziemi Łódzkiej, który rzeczywiście robił co mógł, aby zainteresować młodzież nie nazbyt udaną adaptacją „Ludzi bezdomnych". Reprezentowała także wcale interesująca wystawa książek autora i o autorze, wypożyczona z Kielc, głównie z macierzystej szkoły pisarza, tej z „Syzyfowych prac". Teatr odjechał po przedstawieniu, wystawa trochę później. Boję się, że w szkole pozostanie tylko potret Stefana Żeromskiego, piękny haft na sztandarze, nazwisko w pieczątce i na wywieszce przy wejściu.

Pisarza próbował także przypomnieć młody człowiek, uczeń, dopuszczony do mikrofonu, przerażony — jak sądzę nie tym przecież wynalazkiem, ale właśnie Stefanem Żeromskim. Dukał, zacinał się, jąkał, gubił wątek, jak przysłowiowy Kowalski wezwany nagle do tablicy, który myśli akurat o niebieskich migdałach, a nie wizji kraju „przemienionego od przyciesi" zdziwiony, że w tym świecie doskonałych maszyn — betoniarek, zagęszczarek, rozrzedzarek, wbijarek gwoźli, polerowaczek lastriku, skrawarek, plącze się jeszcze literatura polska.

Oczywiście, przesadziłem trochę, ufam nawet, że sieradzkim budowlanym wyobraźnia pisarza przyda się, w końcu i dzisiaj nie brak dowodów na to, że młodzież ceni literaturę, szuka w niej ideałów życiowych, wzorów osobowych, szuka — jak wykazują wyniki konkursu przeprowadzonego przez „Życie Literackie" — w sposób rozsądny, a przede wszystkim mocno osadzony w realiach naszego społecznego i moralnego życia. Czy zanosi się na równy szacunek dla literatury ze strony szkoły?

Kiedy o to pytam nie mam na myśli tysięcy naszych znakomitych niekiedy nauczycieli, ceniących wysoko wychowanie poprzez literaturę, ale nowe propozycje, które przedstawił ostatnio Instytut Programów Szkolnych. Zaskakujące to wynalazki. Dadzą się one przyrównać do niesprawiedliwego wyroku, który skazuje literaturę na przypadkową obecność w szkole, na swoistą banicję. Na zdrowy rozsądek sądzić by można, że w miarę zbliżania się młodego człowieka do matury, będzie on mógł obcować częściej ze swoim ojczystym językiem, literaturą i — w szerszym tego słowa znaczeniu — kulturą. Nasi reformatorzy są akurat przeciwnego zdania. Proponują mianowicie dla trzech pierwszych klas — sześć godzin tygodniowo języka polskiego, dla klas ostatnich już tylko dwie godziny. Trzeba przyznać, że tegośmy jeszcze nie mieli, jeżeli nie liczyć lat, które jeszcze tylko nasi dziadowie pamiętają, a wspominać przy takiej okazji nie wypada. Takiego wynalazku darmo szukać w innych krajach socjalistycznych. Język polski miałby więc być potraktowany akurat tak samo, jak języki obce, gimnastyka, czy ręczne robótki.

Szkoła jest, lub powinna być, jednym z najpowszechniejszych czynników naszej polityki kulturalnej, a jej głównym, chociaż nie jedynym narzędziem — język polski. Pełni on, lub pełnić powinien, szereg funkcji wychowawczych, wśród nich dwie — jak sądzę — najważniejsze. Pierwsza — to poznanie narodowej literatury i kultury, pojmowanej historycznie, jako całość, która nie da się poszatkować jak kapusta, czy też przedstawić na wyrywki. Na dzieje literatury trzeba spoglądać tak, jak na dzieje myśli społecznej, przynajmniej jeśli o takie kategorie chodzi, występujące w każdym okresie, jak — troska o pomyślne losy Rzeczypospolitej, jej społeczny porządek, wzory postaw obywatelskich, kojarzenie interesów szerszych z osobistymi, kształtowanie kryteriów moralnych i estetycznych. Poznanie tych wartości literatury musi mieć charakter historyczny, zasady wzajemnego przenikania, oddziaływania przeszłości na przyszłość, lekceważyć nie podobna. Propozycja ograniczająca to poznanie do dwóch godzin to właśnie lekceważenie.

Mówimy od lat o czynnym obcowaniu z językiem i literaturą, podkreślamy, że chodzi tu o umiejętność dokonywania wyboru natury ideowej, odrzucanie plew od zdrowego ziarna, pewnego rodzaju krytycyzm niezbędny przy budowaniu światopoglądu. Jakże inaczej znaleźć się w skomplikowanym świecie sprzecznych idei niekoniecznie tylko literackich? W naszych szkołach można zawiesić portrety wielkich pisarzy, wyryć ich nazwiska na tablicach, ale bogowie poszczególnych szkół, chociażby najprzestronniejszych, nie zmieszczą się, pozostaną za drzwiami, a przysłowiowy Kowalski gotów rzeczywiście pomyśleć, że tak potraktowana literatura niepotrzebnie obciąża zahukane głowy i rzucić hasło, byle do następnej reformy w tym samym duchu.

Język ojczysty jest także niebagatelną kategorią praktyczną, to jego druga wychowawcza funkcja. Wydoskonaliliśmy, co prawda, sztukę mówienia rękami, okiem, gestem, mowa i pismo jednakże ocalały i wciąż stanowią główne środki porozumienia. Słuszną jest tedy rzeczą docenianie języka polskiego, jako rozstrzygającego narzędzia komunikowania się ludzi. Słuszną tym więcej, że materia naszego rodzimego języka, poniosła już i w dalszym ciągu ponosi ciężkie straty. Są u nas mówcy, których zrozumieć nie można, a wypadałoby, trafiają się rozmaite wypowiedzi prasowe, czy też radiowo-telewizyjne, które wymagają długich studiów, nim się cokolwiek z nich pojmie, wykształciły się wewnętrzne, specyficzne języki rozmaitych profesji, niedostępne dla ludzi spoza kręgu, a więc dla większości. Mamy też do czynienia ze swoistymi slangami rozmaitych grup społecznych czy zawodowych, bywa, że otrzymujemy od rozmaitych urzędów pisma i nie wiemy po żmudnej lekturze — chwalą nas czy upominają, jesteśmy winni, czy coś się nam należy, wezwano nas zgodnie z paragrafem jako świadków czy oskarżonych.

Troska o precyzję języka, jego walory estetyczne, wydaje mi się szczególnie cenna, ale nie mogę się oprzeć przekonaniu, że nasi reformatorzy, choć podnoszą wysoko rangę praktycznych znaczeń języka, pomylili skutek z przyczyną. Mamy bowiem do czynienia z propozycją przystosowania młodego człowieka do wymagań współczesnej biurokracji, a powinno być przeciwnie. Z biurokracją należy walczyć, przycinać jej pazurki, a nie ulegać. Odniosłem wrażenie, że nasz Kowalski nie będzie się uczył czystej, logicznej wypowiedzi, przemyślanej budowy kwestii, czy dłuższego wywodu, krytycznego stosunku do nonsensów językowych, a powinien. Nie chodzi bowiem o piękno, przebogatą warstwę wzruszeniową naszego języka, ale o to, żeby Kowalski umiał się odpowiednio znaleźć wobec rozmaitych urzędów, z którymi będzie miał prawdopodobnie do czynienia. Musi umieć pisać nienagannie podania, wypełniać kwestionariusze, odwalać życiorysy. Grzeczny, poprawny, absolutnie do potrzeb administracji przystosowany, daleki od jakiegokolwiek niepokoju, czy chęci zmieniania czegokolwiek na lepsze.

Sprawa Kowalskiego nie jest — na szczęście — przesądzona, można więc ufać, że mimo pomysłowości reformatorów — dojdzie do głosu w wyniku dyskusji zwykły rozsądek.

Fot.: Włodzimierz Parys

FILM OŚWIATOWY

ANDRZEJ ZALEWSKI

SPOTKANIA Z PRZYRODĄ

naturalnego środowiska na zaprezentowanie przyrody jako struktury wyznaczanej wzajemnymi funkcjonalnymi zależnościami. Przekazanie sensu tych zależności, ilustrowane materiałem filmowym, jest tym cenniejsze, że pozwala na przeniesienie pewnych odkrytych prawidłowości na wyższy poziom uogólnienia. Wydaje się zarazem, że poruszanie problemów ochrony środowiska naturalnego należałoby inaugurować w szkole tym właśnie filmem.

Pokazywanie przyrody może wszakże akcentować również ciekawostkową stronę zjawisk. Dla autora filmu nie jest to żadną ujmą. Przyroda sama przez się jest dostatecznie atrakcyjna, by swą egzotyką zainteresować widza, najczęściej nie mającego z nią bezpośredniego kontaktu. Poprzez eksponowanie jej widowiskowości, niezwykłości docieramy jednak do zrozumienia jej mechanizmów. Zasada dwojakiego kryterium: poznawczego i spektakularnego zachowuje moc obowiązującą przy jej prezentacji. Tak właśnie ma się rzecz w dwóch filmach omawiających problemy ptasiego środowiska: **„Egzotyczne ptaki"** i **„Przystosowanie ptaków do środowiska" Włodzimierza Puchalskiego** jak się zdaje, naczelnego filmowego ornitologa WFO. W przypadku drugiego filmu już sam tytuł sugeruje, że nastąpi tu połączenie atrakcyjności filmowych zdjęć z omówieniem pewnego problemu naukowego. Tak właśnie — wydaje się — należy realizować zasadę poglądowości, w wypadku nauki o procesach przyrody szczególnie istotną. Przekazanie wiedzy o ważnych zagadnieniach ewolucji gatunków, ich przystosowaniu do warunków i trybu bytowania, nie w formie suchego wykładu, ale na przykładach, realizuje cele dydaktyczne w sposób najbardziej właściwy.

Poznanie przyrody nie jest jednak bezinteresowne. Szanse praktycznego jej wykorzystania, spożytkowania jej możliwości to jeszcze jeden punkt widzenia na te sprawy. Praktycystyczne ujęcie natury, na którego jednym krańcu znajdują się wprawdzie zjawiska materii ożywionej, ale które drugim swym krańcem mierzy w specyficzne potrzeby człowieka i wymogi jego egzystencji, skłania twórców do odpowiedniego ukształtowania i wyostrzenia swych filmowych narzędzi. Piszemy o tym z uwagi na film **Mieczysława Vogta „Tam, gdzie rosną jabłonie"**, którego tematem są prace polskiego uczonego światowej sławy, specjalisty z zakresu sadownictwa — prof. **Szczepana Pieniążka.** W warunkach klimatycznej autonomii Instytutu Sadownictwa twórcy ukazali proces, który później urasta do rozmiarów fenomenu społecznego.

Film Vogta zapoznając widzów z osiągnięciami skierniewickiej placówki naukowej, przedstawiając główne kierunki prowadzonych tam badań, sygnalizując perspektywiczne plany nie ogranicza się jednakże do ściśle naukowego spojrzenia na jej działalność. Ma ambicje ukazania postaci jej animatorów, a zwłaszcza profesora Pieniążka. Sukcesy polskiego sadownictwa nie byłyby wszak możliwe bez autentycznego zaangażowania ludzi w pracę, której praktyczne konsekwencje, społeczną ważkość trudno doprawdy przecenić. Stąd właśnie naturalne zainteresowanie pracą instytutu, stąd wartość filmu **„Tam, gdzie rosną jabłonie"** przejawiająca się zarówno w funkcji poznawczej, jak i niebagatelnej roli popularyzatorskiej. To także w końcu film, który mimo że o ochronie środowiska bezpośrednio nie traktuje, pozwala jednakże na dostrzeżenie integralnych związków człowieka z rozumnie, w sposób właściwy sterowaną przez niego naturą, która — co brzmi banalnie, ale o czym się nierzadko zapomina — stanowi podstawę ludzkiej egzystencji.

Przedstawiony tu wachlarz spraw związanych z tzw. przyrodoznawstwem filmowym nie stanowi kompletu podjętych problemów. Tematów jest na pewno znacznie więcej, choćby sygnalizowany tu, a nie omówiony szerzej problem ochrony środowiska naturalnego, którego filmową podstawą mógłby stać się głośny film **„Cytat z raportu U'Thanta"**. Nie sposób tu jednak mnożyć spraw godnych poruszenia, raczej zmierzać trzeba w kierunku odwrotnym ich ujęcia — ku jedności.

Przyroda dyktuje nam i dyktować zapewne będzie wiele różnych zagadnień. Są one jednak w ostatecznym swym rachunku zintegrowane, ujęte ludzką miarą rzeczy. Człowiek będący częścią przyrody, w akcie poznawczym wyodrębnia się jako jej świadomy partner. Nawiązuje zatem dialog, ale w oparciu o nierozerwalną łączność z jej istotą, która włączając go w piętrowy, hierarchiczny układ swych stworzeń, umieszcza go tym samym w ogólnej równowadze świata.

LATA JAK PTAKI

Bionika podpatruje nie tylko stworzenia żyjące w wodzie, ale też inne „konstrukcje" przyrody, aby poznawać ich budowę i stosować dla potrzeb współczesnej techniki. **Izot B. Lityński** w książce, tłumaczonej przez **Hannę Dobrowolską** „SPOTKANIE Z BIONIKĄ" podaje kilka przykładów wykorzystywnia umiejętności ptaków:

* * *

Spośród wszystkich mieszkańców Ziemi prawdopodobnie pierwsze wzbiły się w powietrze niektóre formy roślinne. Swoiste skrzydła mają liczne nasiona drzew. Na przykład nasiona klonu mają stosunkowo dużą płaszczyznę lotną w postaci dwóch symetrycznie połączonych skrzydełek, które wysychając nieco się wyginają. Ta forma sprawia, że podczas opadania nasiona szybko obracają się. Siły aerodynamiczne hamują opadanie nasion, wskutek czego mogą one zostać przeniesione przez wiatr na znaczną odległość. Lekkie nasiona topoli, otoczone puchem, w ciepłe, suche dni długo żeglują wysoko nad ziemią, unoszone przez prądy powietrza, ulatując od rodzinnych stron. Nasiona jodły i sosny opatrzone są pojedynczym, przezroczystym skrzydełkiem — żagielkim. Zimą wiatr dmąc w żagielki nasiona gna je po zamarzniętym śniegu jak bojery po lodzie.

W początkach naszego stulecia uczeni zainteresowali się „lotniczymi talentami" dużych nasion tropikalnej rośliny Canonia z rodziny dyniowatych. Nasiona tej rośliny długo żeglują w powietrzu, wznosząc się i opadając w powietrznych prądach. Na ich wzór stworzono pierwsze szybowce i samoloty typu „latające skrzydło". Swego czasu modele te były bardzo popularne, ale później jakoś zapomniano o nich (...)

Historia lotów człowieka zaczęła się nie od naśladowania latających nasion lub ryb, ale od badania lotu ptaków i owadów. W pracach, które pozostawili po sobie myśliciele przeszłości, można znaleźć bardzo wiele rysunków, i schematów latających machin z ruchomymi skrzydłami. Powtarzają się w nich zwykłe skrzydła różnych owadów, ptaków, nietoperzy. Wiele szkiców tego typu było dziełem Leonarda da Vinci. Według zapewnień rosyjskich kronikarzy z XVI w.: „latał z pomocą skrzydeł Nikitka, bojarskiego syna parobek". W 1699 r. na skrzydłach gołębich"... wzbił się w górę na arszynów 7... i upadł na grzbiet, ale nie boleśnie..." riazański strzelec Sierow. Legendy z XVIII w. mówią o skrzydlatych pociskach ekonoma Ostrowkowa i kowala Czarna Burza. Pierwszy sporządził skrzydła z pęcherzy wołowych, drugi z drutu i piór, a do nóg przyczepił ogon. Dokumenty zachowane w archiwum Tiumeńskiej guberni mówią o tym, jak planujący ucieczkę z klasztoru mnich Fiodor Meles w 1762 r. zbudował skrzydła mające służyć do latania i ... praktyka wykazał, jak może człowiek, podobnie ptakowi, po powietrzu gdzie zechce latać... Wspomniany latania sposób uskuteczniwszy, zamierzał z tegoż Tobolska na onych prosto do Małorusi ulecieć... mógłby dolecieć prędko, gdyby wiatr sprzyjający wiał ciągle przez dzień jeden, nie więcej". Po stu latach myśl zbudowania „pływającego w powietrzu przyrządu" podjęta została ponownie. Duże zasługi w tej dziedzinie położył rosyjski kapitan żeglugi A. F. Możajski. Długotrwałe i żmudne badania budowy skrzydeł ptaków i mechaniki ptasiego lotu zakończyły się budową pierwszego na świecie samolotu z nieruchomo rozpiętymi skrzydłami.

Nauczywszy się latać, człowiek szybko prześcignął ptaki: prędkością lotu w 1912, wysokością — w 1916, zasięgiem — 1924 r. Wydajność lotu jednak nie potrafi dorównać skrzydlatym mistrzom stworzonym przez naturę. Nawet najnowocześniejsze w świecie powietrzne liniowce, w ciągu kilku godzin przenoszące ponad oceanem setki pasażerów, ciągle jeszcze, i to znacznie, pozostają w tyle za ptakami.

W najszybszych samolotach na jednostkę mocy ich silnika — 1 KM — przypada ok. 14 kg ciężaru. Odpowiednio w przeliczeniu na moc „żywego silnika" mamy u orła — 70 kg, u bociana — 135 kg. Okazuje się więc, że mechanizm lotu poczciwego bociana jest prawie dziesięciokrotnie oszczędniejszy niż nowoczesnego samolotu.

Ekonomiczność lotu ptaków ujawnia się szczególnie wyraźnie podczas długotrwałych wędrówek. Czajki np. przelatują bez żadnej przerwy z Anglii do Nowej Funlandii ponad Atlantykiem trasę długości 3500 km. Niemal fantastyczny wydaje się przelot siewek, które gnieżdżą się na Alasce, a zimują na Tahiti, na Hawajach i innych wyspach strefy gorącej. Wszystko wskazuje na to, że całą tę ogromną drogę, wynoszącą 9500 km, z czego ponad 3000 km przypada nad morzem, ptaki te przebywają bez odpoczynku. Niektóre albatrosy gnieżdżące się na Wyspach Tristan da Cunha, odległych od najbliższego lądu 2400 km, przelatują trasę długości 10 tys. km. Ptaki lecą bez odpoczynku zarówno ponad rozległymi obszarami wód, jak i nad pustyniami. Podczas długotrwałych nieprzerwanych przelotów mięśnie ich wykonują ogromną pracę. Tak np. przelot niedużych ptaków śpiewających ponad Saharą trwa 30—40 godzin. W tym czasie każdy skrzydlaty wędrowiec wykonując 4—5 uderzeń skrzydeł na sekundę podnosi je i opuszcza ok. 500 tys. razy!

Doskonalone w lotniczych umiejętnościach przez długie miliony lat ewolucji ptaki przewyższają znacznie wszelkie najlepsze nawet latające obiekty stworzone przez człowieka również pod względem zwrotności i zdolności manewrowania (...)

Po betonowej ścieżce mknął, płynnie wymachując giętkimi o 9-metrowej rozpiętości skrzydłami, niezwykły latający mechanizm. Silny strumień powietrza, odczuwany wymachami skrzydeł zginał trawę na poboczu drogi. Osiągnawszy prędkość 25—30 km na godzinę aparat zaczął podskakiwać a w kilka sekund później jego koła zawisły w powietrzu. Lot nie trwał długo

program przewidywał jedynie sprawdzenie siły ciągu i siły nośnej. Ten pierwszy doświadczalny lot wykazał jednak, że nawet przy bardzo małej prędkości — dwukrotnie mniejszej niż szybkość, jakiej wymaga samolot — ornitopter, wyposażony w słaby silniczek (18 KM), łatwo odrywa się od ziemi.

W dwa lata później 19 kwietnia 1964 r. na stadionie „Dynamo" w Moskwie odbyły się zawody latających modeli z ruchomymi skrzydłami. Obecni na tej imprezie mogli naocznie stwierdzić, że lot przy użyciu takiego urządzenia jest całkowicie bezpieczny, gdyż ornitopter potrafi lądować przy zerowej prędkości ruchu postępowego. Jeśli więc zdarzy się w powietrzu, że silnik odmówi posłuszeństwa, to też

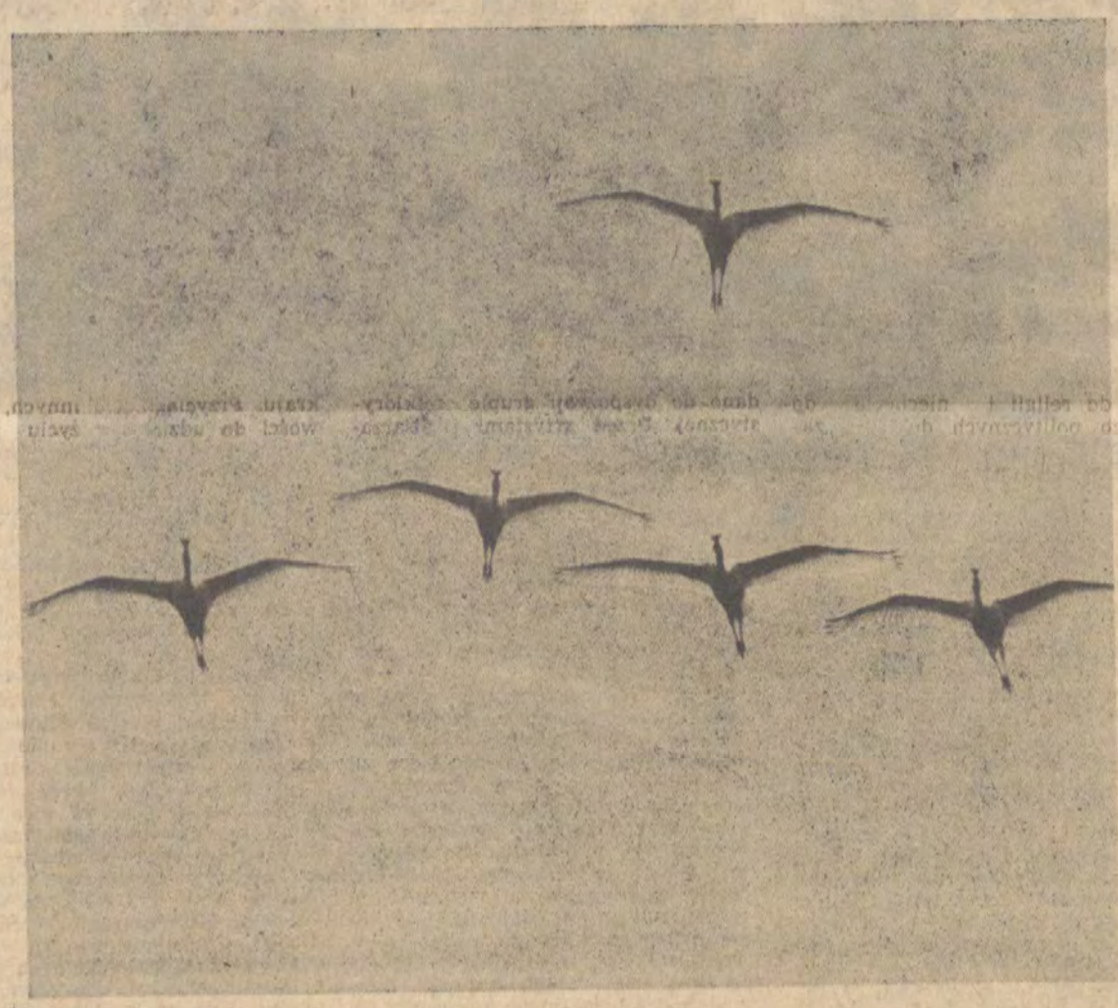

Fot.: Archiwum

nic strasznego, ponieważ ornitopter płynnie poszybuje w dół na rozpostartych skrzydłach.

Można więc odnotować sukcesy w odtwarzaniu ptasiego sposobu lotu. Nie oznacza to jednak, że sprawa jest już załatwiona bez reszty i od jutra można zaczynać budowę ornitopterów, które będą oszczędniejsze w eksploatacji i pod wieloma względami lepsze niż dzisiejsze samoloty. Do tego, by skutecznie naśladować lot ptaków, nie wystarczy wyposażyć latających maszyn w te lub inne właściwe ptakom cechy, ale przede wszystkim trzeba znaleźć metodę opracowania danych technicznych dokonać ich syntezy, wyliczyć odpowiednie wskaźniki. Inaczej mówiąc — niezbędne jest dokładne poznanie zasad tego lotu, niezbędna jest teoria lotu ptaków. A teorii takiej, niestety dotąd jeszcze brak.

Opracowanie teorii lotu tego typu jest bardzo trudnym zadaniem, choćby dlatego, że opiera się on na wielu skomplikowanych zasadach. W odróżnieniu od aerodynamiki zwykłego samolotu z nieruchomymi skrzydłami, spotykamy się tu z całą masą nowych wielkości, z wieloma funkcjonalnymi zależnościami, które trzeba w odpowiedni sposób uwzględnić. Analizując np. aerodynamiczne właściwości ruchomego skrzydła napotykamy nowe wskaźniki, jak prędkość kątowa, liczba uderzeń skrzydłami, amplituda wymachów, przyśpieszenie w różnych fazach ruchu skrzydła; zmienne stają się wartości, które w przypadku nieruchomego skrzydła są stałe, jak np. kąt ustawienia, kąt natarcia, a także same siły aerodynamiczne w różnych fazach ruchu skrzydła itp. Wynikają stąd komplikacje w przeprowadzaniu badań eksperymentalnych i wykorzystywaniu ich wyników do szerszych uogólnień (...)

Starożytna wschodnia legenda opowiada o mędrcu, który zbudował latającą maszynę z ruchomymi skrzydłami, podobną do wielkiego owada. O wynalazku dowiedzieli się wrogowie, którzy chcieli ją porwać. Wtedy mędrzec zniszczył swe dzieło, paląc je. W ten sposób na wieki zagubiona została tajemnica budowy latającego przyrządu — mechanicznej ważki. Podobny temat przewija się i przez inne legendy, a wszystkie one świadczą, że już w odległej starożytności zrodziła się myśl budowy maszyny latającej jak owad i nazwanej entemopterem. Jednak do ostatnich czasów ciekawe właściwości lotu owadów stosunkowo słabo przyciągały uwagę konstruktorów maszyn latających. Można to wytłumaczyć chyba tylko w ten sposób, że lot owadów jest bardzo skomplikowany i kryje setki zagadek, na które nie znaleziono jeszcze odpowiedzi. Tak np. w świetle poglądów współczesnej aerodynamiki chrabąszcz nie powinien móc latać. A tymczasem, na orzekór teorii lotu, zbijając z tropu specjalistów aerodynamiki, owad ten unosi się w powietrzu. Teoretycznie, aby móc latać chrabąszcz majowy powinien by mieć przy średnim ciężarze ciała 0,9 g współczynnik siły nośnej równy 2—3; w rzeczywistości wartość tego współczynnika wynosi mniej niż 1!

Wiadomo, że współczynnik siły nośnej najlepszych skrzydeł zbudowanych przez konstruktorów samolotów waha się od 1 do 1,5. Wynika stąd, że skrzydło chrabąszcza, chociaż nie wydaje się doskonałe, zapewnia bardzo wielką siłę nośną. Faktem tym zainteresowali się uczeni uniwersytetu w Nowym Jorku i podjęli dokładne badania pracy skrzydła i lotu chrabąszcza. Zastosowali różnorodne metody, m. in. technikę przyśpieszonych zdjęć filmowych, skonstruowali też sztuczne skrzydło naturalnej wielkości. Doświadczalna aparatura pozwalała rejestrować przesunięcia skrzydła o 0,000025 cm. Badacze ci oświadczyli: „Jeżeli potrafimy zgłębić aerodynamikę chrabąszcza majowego, to albo wykryjemy jakąś niedoskonałość współczesnej teorii lotu, albo odkryjemy, że chrabąszcz ma jakiś nie znany nam sposób wytwarzania dużej siły nośnej" (...)

W ostatnich latach zaproponowano niemało sposobów zmierzających do zmniejszenia długości rozbiegu samolotów. Próbowano zastosowania rakiet i specjalnych urządzeń, zwanych dopalaczami itp. Dla skrócenia rozbiegu samolotu stosuje się hamulce, odwrócenie kierunku ciągu w napędach, klapy na skrzydłach i kadłubie, spadochrony hamulcowe i urządzenia hamujące umieszczane na pasach służących do lądowania. Środki te wstrzymują nieco tempo powiększania rozmiarów lotnisk, ale pomimo to lotniska, jakich wymagają nowoczesne samoloty, muszą być bardzo rozległe. Aby uwolnić się od betonowych pasów, czasem stosuje się start ze specjalnej platformy ustawionej na ziemi, lądowanie na płozach i inne sposoby.

Ale są to tylko półśrodki i dla samolotów myśliwskich przechwytujących, które powinny startować bez rozbiegu, z bardzo małej powierzchni, nie nadają się. Nie są one również najlepsze dla pasażerskich i transportowych maszyn posiadających dużą szybkość lotu i zdolność unoszenia dużych ciężarów. Dlatego właśnie inżynierowie różnych krajów łamią sobie głowy nad tym, jak rozwiązać to zadanie, które dziś wydaje się nierozwiązalne. Pojawiły się najbardziej nieoczekiwane projekty latających maszyn. Tak np. konstruktorzy jednej z amerykańskich firm wyposażyli swój nowy, pionowo startujący samolot w lekki aluminiowy wirnik trójkątnego kształtu z trzema łopatami na wierzchołkach. Gdy samolot wzbije się już w powietrze, wirnik wyłącza się, jedno z jego ramion układa się wzdłuż kadłuba, przylegając doń całkowicie, dwa pozostałe zaś ramiona przekształcają się w przydatki trójkątnego skrzydła i uczestniczą w wytwarzaniu siły nośnej utrzymującej samolot w powietrzu. Nowy rodzaj samolotośmigłowca rozwija w locie poziomym prędkość do 700 km/godz. Przy lądowaniu wirnik zaczyna się znów obracać i maszyna opuszcza się pionowo na ziemię, nie wymagając lotniska. Wirnik wprawiany jest w ruch za pomocą turbiny gazowej. Ruch poziomy odbywa się dzięki pracy silników odrzutowych umieszczonych na końcu kadłuba. Pomysł obracającego się trójkątnego skrzydła wykorzystali również konstruktorzy innej amerykańskiej firmy. Co więcej, rozwinęli dalej podjętą myśl. W przedstawionym przez nich projekcie samolot („Heliplan") wyposażony był w dwa obracające się trójkątne skrzydła, jednak bez łopat na końcach ramion. Rolę tych ostatnich w wytwarzaniu niezbędnego pionowego ciągu, według zamysłu konstruktora, miałyby pełnić odchylające się końcowe części skrzydeł. Można przypuszczać, że podobne maszyny, posiadając zdolność pionowego startu i lądowania, zdołają rozwinąć prędkość do 950 km/godz. Jeszcze bardziej oryginalny projekt pionowo startującego pasażerskiego samolotu przedstawił niemiecki wynalazca, R. Kalletsch. W czasie postoju maszyna ta powinna przypominać samolot bez skrzydeł, opierający się na teleskopowym podwoziu długości 5 m. Osobliwością tego samolotu jest urządzenie wznoszące w postaci trzech drążków — szprych, obracających się w płaszczyźnie prostopadłej w stosunku do osi kadłuba, na końcach których umocowane są przegubowo skrzydła w kształcie elipsowatych płaszczyzn. Do puszczenia w ruch (przy starcie i podczas lądowania) tej swoistej „śruby" utworzonej ze skrzydeł mają być zastosowane umieszczone u ich nasady odrzutowe dysze, do których dochodzą gazy z silników turboodrzutowych. Analogiczne urządzenie, ale już nieco mniejszych rozmiarów, przewidziane było na ogonie. W czasie obracania się „śrub" specjalne urządzenie ma sterować płaszczyznami skrzydeł w taki sposób, by przez cały czas utrzymywały one odpowiedni kąt natarcia i wytwarzały niezbędną siłę nośną. Po pionowym wystartowaniu samolotu „śruby" zatrzymają się, a skrzydła zaczną spełniać funkcję tradycyjnych skrzydeł (...)

Gdzież więc szukać wyjścia? Oczywiście znów wśród „wynalazków" przyrody, która wypracowała mechanizm lotu wiosłowego. Przede wszystkim należy próbować przenieść do techniki szeroko rozpowszechniony wśród owadów lot „stojący", tj. lot, w czasie którego organizm za pomocą ruchu skrzydeł utrzymywać się może w powietrzu zupełnie nieruchomo. Ten typ lotu jest jedną z odmian lotu wiosłowego.

Każdy z nas niejednokrotnie widział latem niewielkie muchy jakby zawieszone w powietrzu w jednym punkcie (ciało owada zajmuje wówczas zwykle poziome położenie). Od czasu do czasu owad nagle przesuwa się o kilka centymetrów, by znów nieruchomo zawisnąć w powietrzu. Przesunięcie odbywa się tak szybko, że trudno je spostrzec. Zauważamy tylko, że mucha zniknęła z poprzedniego punktu i pojawiła się w nowym miejscu. Muchy te należą do rodziny bzygowatych. Ich stojący lot może trwać godzinami i prawdopodobnie nie męczy owada. Muszki mogą „wyłączać" napęd, wytwarzając tylko siłę nośną, dlatego nie poruszają się do przodu, lecz zawisają nieruchomo, w dowolnym punkcie w powietrzu. Tor, jaki zakreśla ich skrzydło, jest zmienny. Skrzydło opuszcza się bez zamachu do przodu, uderzając w dół całą swoją powierzchnią i daje efekt nośny. Doszedłszy do granicy opuszczania, skrzydło obraca się o 90 stopni dookoła swej osi przednim brzegiem do góry, tak że jego płaszczyzna ustawia się pionowo. W takim położeniu wraca ono po prostej do góry, przednim brzegiem przecinając powietrze. Podczas takiego ruchu podnoszenie skrzydła nie daje napędu i cała praca skrzydła ogranicza się do wznoszących uderzeń. Osiągnąwszy górne położenie, skrzydło obraca się i znów przybiera pozycję poziomą. Przy takim położeniu skrzydeł mucha potrafi w ciągu ułamka sekundy miękko, pionowo wylądować. A więc robi to, co nie każdy śmigłowiec potrafi (...)

Rozmaite zalety owadzich sposobów lotu pobudziły licznych uczonych, inżynierów i wynalazców w różnych krajach do podjęcia prób opracowania modeli entomopterów — maszyn latających według tych samych zasad, co owady. Ostatnio zbudowano kilka takich entomopterów, a niektóre z nich nawet unosiły się w powietrze. Jednakże te doświadczalne maszyny nie stanowią jeszcze konkurencji dla samolotów i śmigłowców z tej prostej przyczyny, że wszelkie konstrukcje entomopterów były tworzone bez uwzględnienia niesłychanie skomplikowanej kinematyki i aerodynamiki owadzego skrzydła, które kryje jeszcze dziesiątki tajemnic.

U PRZYJACIÓŁ

W bieżącym roku przypada setna rocznica urodzin Siergieja — Siergiejewa — Censkiego, wybitnego radzieckiego pisarza (1875—1958). Jeden z najpłodniejszych ludzi pióra zostawił po sobie dziesiątki tomów powieści, opowiadań, esejów. Był mistrzem prozy epickiej, wspaniałych opisów batalistycznych, lirycznych pejzaży i scen obyczajowych; stworzył bogatą galerię barwnych postaci.

Rozgłos w literaturze zdobył powieścią „Babajew", uznaną przez współczesnych krytków za dekadencką. Nieliczni tylko (wśród nich Plechanow) dostrzegli, że nie autor jest dekadentem, lecz bohaterowie jego utworów. Od początku wysoko cenił jego twórczość M. Gorki.

Wśród licznych dzieł Siergiejewa Censkiego najbardziej znanym jest epopeja „Gorące dni Sewastopola". Opublikowana w 1936 roku, jak stwierdza krytyka, nie straciła nic ze swej świeżości i atrakcyjności, pozostając jednym z najdoskonalszych dzieł radzieckiej prozy historycznej.

* * *

W Aszchabadzie ukazał się pierwszy z sześciu tomów „Historii literatury turkmeńskiej", będącej dziełem naukowców z Instytutu Językoznawstwa i Literatury Akademii Nauk Turkmeńskiej SRR. Całość edycji obejmie okres od VIII wieku do współczesności. Jej znaczenie jest tym większe, że przez wiele lat utrzymywał się pogląd, jakoby naród turkmeński do XVIII wieku nie posiadał swego piśmiennictwa. Plemiona turkmeńskie rozsiane były na tak ogromnym terytorium, że zapisy o dziejach ich historii, kultury i literatury rozrzucone były na kartach kronik pisanych w językach: arabskim, perskim i tureckim i do dzisiaj wiele z nich znajduje się nadal w rękopisach. Potrzeba więc było długich lat żmudnych badań na przygotowanie epokowego dzieła.

* * *

Na Wzgórzach Leninowskich w Moskwie stanie niebawem pomnik Aleksandra Hercena i jego przyjaciela Nikołaja Ogariowa. Tutaj bowiem przed stu laty dwaj młodzi rewolucyjni demokraci złożyli przysięgę, że poświęcą swe życie sprawie wolności.

Historia potwierdziła, że dochowali wierności swoim młodzieńczym ideałom.

* * *

Na Litwie odbyły się uroczystości związane z setną rocznicą urodzin Mikołasa Cziurlionisa, wybitnego i wszechstronnego twórcy, malarza i kompozytora. W Kownie, w muzeum im. Cziurlionisa, zgromadzono niemal cały jego dorobek — ok. 400 obrazów i grafik oraz ponad 270 partytur utworów muzycznych.

Ostatnio na rynku księgarskim ukazały się dwie fundamentalne prace, monografie poświęcone artyście. Powstał również film dokumentalny, do którego część zdjęć filmowcy litewscy nakręcili w Warszawie, gdzie M. Cziurlonis mieszkał przez wiele lat, mając wielu przyjaciół w polskim środowisku artystycznym.

Z okazji setnej rocznicy również w Berlinie otwarto wielką wystawę poświęconą życiu i dziełu narodowego twórcy litewskiego.

* * *

Innokientij Smoktunowski od lat jest w ZSRR aktorem uznanym za najwybitniejszą postać radzieckiego teatru. Ostatnio odniósł wielki sukces w roli Gajewa w telewizyjnym przedstawieniu „Wiśniowego sadu" Czechowa. Początki jego kariery nie były jednak łatwe, o czym z humorem wspomina na łamach „Literaturnoj Rossiji":

„Będąc w szkole średniej postanowiłem, że zostanę aktorem. Każdą wolną chwilę poświęcałem zajęciom w naszym kółku dramatycznym. Przypominam sobie pierwszą rolę i pierwszą straszliwą klęskę. Wystawialiśmy „Oświadczyny" Czechowa. Byłem zdenerwowany i przejęty i na skutek tego całkiem odrętwiały. Zamiast — jak to wypadało z roli — płakać, jęczeć i wyrywać sobie włosy z głowy — mój Łomow nieoczekiwanie zaczął histerycznie chichotać... Sala zamarła. Szybko połapano się w sytuacji i wybuchł ogólny śmiech. Kurtyna poszła w dół, a kółko dramatyczne — delikatnie mówiąc — zrezygnowało z moich usług... Dalsze moje poczynania aktorskie były bardziej udane. Grałem chyba wszystkich młodych ludzi występujących we współczesnej dramaturgii, pracując w teatrach Noworyl, Krasnojarska, Machaczkały, Wołgogradu i Groźnego. Ale cóż, w żadnym z tych teatrów nie mogłem odnaleźć ani siebie, ani swoich bohaterów, ani reżysera, który by dostrzegł we mnie jakie kolwiek wartości. Również w Moskwie przeszedłem przez kilka teatrów, nie budząc większego zainteresowania. Niewesołe były moje początki. Aż wreszcie znalazłem się w Teatrze Dramatycznym im. Gorkiego, gdzie przystąpiliśmy do prób nad „Idiotą" Dostojewskiego. Od była się premiera i jak pokazała przyszłość, był to moment zwrotny w mojej aktorskiej karierze, zresztą również w całym moim życiu".

* * *

W Moskiewskim Instytucie Muzyczno-Pedagogicznym uczy się... 11-letnia kompozytorka, Tania Kuindżi. Przed pięcioma laty przyprowadziła ją do Instytutu babcia, nauczycielka muzyki, gdyż stwierdziła u wnuczki absolutny słuch i zdolności komponowania. Obecnie w dorobku kompozytorskim Tani znajduje się 50 piosenek.

ETIOPIA

PIERWSZY ROK PO REWOLUCJI

Niedawno minęła pierwsza rocznica rewolucji w Etiopii, która obaliła zmurszały reżim feudalny. Miniony rok przyniósł sporo zmian w tym kraju: reformę rolną, nacjonalizację zagranicznych kompanii i banków, obcych przedsiębiorstw przemysłowych. Pierwsze kroki Tymczasowego Wojskowego Komitetu Administracyjnego i Tymczasowego Rządu Wojskowego na drodze demokratyzacji kraju nie są łatwe. Przed narodem etiopskim stoją złożone problemy powstałe wskutek ogólnego zacofania, wieloletniej ekonomicznej zależności od obcych kapitałów i wrogiej działalności rodzimej reakcji.

W przeciwieństwie do reżimu Hajle Sellasje, nowy rząd w Etiopii nie ukrywa przed społeczeństwem ani skutków katastrofalnej suszy, ani innych problemów socjalnych. I tak, na przykład, podano do wiadomości, że w Etiopii 125 tys. ludzi choruje na trąd, że 95 proc. ludności nie umie czytać i pisać. „Etiopia zajmuje przedostatnie miejsce na afrykańskim kontynencie pod względem analfabetyzmu" — pisał w grudniu ub. roku rządowy dziennik poranny, wydawany w języku angielskim, „Ethiopian Herald". Zaledwie 20 proc. dzieci pobiera naukę początkową, a 5,3 proc. uczęszcza do szkół średnich. Dążąc do rozwiązania tych problemów, nowy rząd w programowym oświadczeniu kładzie nacisk na pięć podstawowych zasad „etiopskiego sacjalizmu": równość, wiarę we własne siły, szacunek dla pracy, priorytet dla interesów ogółu i jedność Etiopii. Prasa i radio systematycznie i szczegółowo informują o pomocy, którą ludności rejonów zagrożonych głodem okazują w pieniądzach, odzieży, produktach żywnościowych i in. zakłady naukowe, instytucje i osoby prywatne.

Ludność Etiopii wyróżnia się ogromnym konserwatyzmem, przywiązaniem do religii i niechęcią do wszelkich politycznych doktryn „zapożyczonych" z zagranicy. Pragnąc ułatwić społeczeństwu „bezbolesne" przejście od zacofanej wiekowej monarchii do nowego, postępowego ustroju władze przedstawiają socjalizm jako własną narodową doktrynę. Dziennik „Addis Zemen" pisał w związku z tym: „Chociaż socjalizm nosi ogólny, uniwersalny charakter, to przy jego zastosowaniu w praktyce należy uwzględniać potrzeby, tradycje, religijne obyczaje narodu każdego kraju. Nasza doktryna etiopskiego socjalizmu opiera się na etiopskiej rzeczywistości i przy pomocy tej doktryny zdołamy znaleźć rozwiązanie naszych problemów". Dla uzasadnienia tego twierdzenia jego autorzy wskazują na trzy główne składowe części etiopskiej cywilizacji: religię, historię i tradycje.

W jednym z oświadczeń Tymczasowego Wojskowego Komitetu Administracyjnego mówi się, iż władze „nie zamierzają likwidować religii. Religia jest osobistą sprawą każdego obywatela, a tylko państwo jest sprawą wszystkich obywateli". Jednakże Kościołowi zaproponowano reformę niektórych postulatów, jak np. wyrzeczenie się fanatyzmu i hipokryzji, zbliżenie do narodu i inne. Pierwszym krokiem w tym kierunku była propozycja zastąpienia martwego języka obrzędów religijnych — geez językiem amharskim, tigrinia i oromo. W religijnych programach radiowych, których czas trwania znacznie skrócono po zdetronizowaniu cesarza, obecnie używa się wyłącznie języka amharskiego.

Historia Etiopii — niewyczerpane źródło dumy narodowej — została predestynowana do odgrywania głównej roli w aprobowaniu nowych koncepcji, stała się fundamentem umacniania jedności narodowej. Z kolei tradycje narodowe służą za podstawę duchowej i moralnej odnowy narodu, pozostającego w przeszłości pod zgubnym wpływem obcych idei. Tradycje są także stymulatorem odrodzenia ducha współpracy i wzajemnej pomocy.

Nawrót do praźródeł przejawia się także bardzo wyraźnie w życiu kulturalnym. Po raz pierwszy w historii kraju sceny teatru narodowego oddano do dyspozycji grupie folklorystycznej. Przed artystami i pisarzami postawiono zadanie tworzenia dzieł odpowiadających duchowi nowych czasów. Sztuka „ABC sześciu miesięcy" przedstawia cierpienia narodu w okresie cesarstwa. Wystawiono ją z okazji pierwszej rocznicy rewolucji. Na premierze był obecny przewodniczący Tymczasowego Wojskowego Komitetu Administracyjnego gen. brygady Teferi Benti. Autorowi sztuki i aktorom zgotowała publiczność gorące owacje.

„Nawet burżuazyjni ekonomiści uważają — pisze publicysta „Ethiopian Herald" w artykule wstępnym zamieszczonym niedawno na łamach tego pisma — że socjalizm jest jedynym rozwiązaniem problemów krajów rozwijających się". W Etiopii wybrano drogę socjalistycznego rozwoju żeby skończyć z trzema największymi klęskami kraju: nędzą, chorobami i ciemnotą.

85—90 proc. ludności Etiopii stanowią chłopi. Rząd ma nadzieje rozwiązania problemów nędzy, dzięki ustawie o reformie rolnej, która zezwala chłopom na samodzielne dysponowanie produktami ich pracy. W przeszłości większa część chłopskich plonów dostawała się w ręce właścicieli ziemskich. Ale nawet przy pomyślnym przeprowadzeniu reformy nie można wykluczać groźby głodu, tym bardziej iż przedłuża się susza. Nawet w tych rejonach kraju, w których opady deszczu są wystarczające, nie wszędzie urodzaj jest dobry. Warto przy tym wspomnieć, że w 1973 roku w prowincji Vollo głód przybrał tak katastrofalne rozmiary, ponieważ sabotażyści zniszczyli 60 proc. zasiewów ziarna. Rząd w miarę swych możliwości okazuje maksymalną pomoc rejonom najbardziej dotkniętym klęską suszy i nieurodzaju.

Równość proklamowana przez nowy rząd obejmuje całe społeczeństwo etiopskie zarówno w płaszczyźnie stosunków między narodowościami, jak i w płaszczyźnie stosunków między grupami religijnymi i socjalnymi. Etiopię zamieszkują dziesiątki przeróżnych grup etnicznych. Amharowie, nie stanowiąc większości i nie będąc podstawową grupą etniczną, zawsze zajmowali dominujące miejsce w kraju. Przyciągnięcie innych, narodowości do udziału w życiu politycznym było bezpośrednio zależne od ich przynależności do religii państwowej — chrześcijaństwa, albo znajomości języka amharskiego. Nowe władze państwowe zlikwidowały tę dyskryminację.

Członkowie Tymczasowego Wojskowego Komitetu Administracyjnego podczas swych podróży po kraju wyjaśniają ludności w miejscowych językach, za pośrednictwem tłumaczy, że w Etiopii wszystkie grupy etniczne mają dziś równe prawa. Po obaleniu starego reżimu radio codziennie nadaje informacje w języku oromo oraz w języku arabskim przeznaczone dla muzułmanów, których liczba w kraju jest równa liczbie chrześcijan, a może nawet nieco większa. Tymczasowym Rząd Wojskowy czyni duże wysiłki w celu przeciągnięcia na swoją stronę muzułmanów, których przekonuje się teraz, że z polityką starego reżimu, opartą na zasadzie „dziel i rządź", skończono raz na zawsze i że w nowej Etiopii nie ma różnic między muzułmanami i chrześcijanami. Z tego powodu zamieszczono nawet w jednej z gazet informację o następującym wydarzeniu. Mieszkańcy pewnej wsi, do której przyjechała grupa młodzieży uniwersyteckiej, podarowali wysłannikom stolicy barana. Ponieważ w skład grupy wchodzili chrześcijanie i muzułmanie, wynikł spór: według jakiego obrządku należy go uśmiercić. Podczas gdy studenci wiedli w tej kwestii gorący dyskurs, ich wykładowca najspokojniej w świecie zakłuł zwierzę. Kto panu na to pozwolił? — pytali oburzeni studenci. Wykładowca uśmiechnął się i odparł: To bardzo proste. Zwróciłem oczy na niebo i powiedziałem — „Przede wszystkim Etiopia".

Rząd, wprowadzając w kraju socjalizm, postawił sobie za cel, między innymi, zbliżenie przeróżnych prądów religijnych. Równocześnie z decyzjami ekonomicznymi ukierunkowanymi na zmniejszenie przepaści między biednymi a bogatymi warstwami społeczeństwa, czemu służą takie posunięcia jak reforma rolna, nacjonalizacja i inne, rząd czyni także duże wysiłki w sferze przemian w psychice ludzi.

Przed etiopską rewolucją stoi jeszcze jedno nieproste zadanie — pisze korespondent „Le Monde Diplomatique" — a mianowicie wyrobienie w ludziach szacunku dla pracy. A sprawa nie polega wyłącznie na propagowaniu pracy, którą powinien podjąć każdy obywatel kraju w imię ogólnospołecznego dobra. Władze są zaniepokojone jeszcze dwoma czysto etiopskimi problemami: zakorzenioną pogardą dla jakiejkolwiek innej pracy poza pracą na roli oraz marnowaniem czasu na niezliczone święta i posty nakazane przez Kościół. W Etiopii ludność, w swojej większości, jest uprzedzona do takich zajęć jak handel i rzemiosło. Szczególnie pogardzana jest praca rzemieślników, a rzemieślnicy ponieśli duże materialne i moralne straty wskutek tej społecznej dyskryminacji. Nowe władze wzywają ludność do przedkładania interesów kraju ponad własne. W ślad za tym idą odpowiednie decyzje rządu.

Niezliczona ilość świąt religijnych i nie kończące się posty, a warto mimochodem wspomnieć, że Kościół etiopski każe pościć swym wiernym 280 dni w roku, powodują ogromne straty w produkcji rolnej, szczególnie w okresie prac w polu. Nowy rząd, zatwierdzając tylko 13 oficjalnych świąt w roku i wolny dzień w tygodniu, upatruje w tej decyzji jedną z dróg do zwiększenia produkcji. Tymczasowy Wojskowy Komitet Administracyjny zwraca baczną uwagę na ochronę jedności kraju i zdecydowanie zwalcza każdą próbę separatyzmu. Jeśli chodzi o Erytreję to — jak sądzą władze wojskowe — główną przyczyną powstania skomplikowanej sytuacji w tej etiopskiej prowincji była dyskryminacja i niegodziwości byłego cesarskiego aparatu administracyjnego. Po obaleniu monarchii oba te czynniki przestały istnieć, a trwające do dziś zaburzenia należy tłumaczyć obcym mieszaniem się w wewnętrzne sprawy kraju.

W Etiopii współżyją dziś dwa światy, stary — broniący się rozpaczliwie i nowy — współczesny, krzepnący z dnia na dzień.

JERZY CZECH

■ Spotkania i wizyty
■ Ważne porozumienia
■ Wciąż daleko do stabilizacji

Tydzień minął pod znakiem ważnych spotkań i wizyt. **W Moskwie** odbyło się spotkanie sekretarzy komitetów centralnych partii oraz wicepremierów rządów krajów członkowskich RWPG, na którym omawiano aktualne problemy gospodarczej i naukowo-technicznej współpracy. **W Berlinie** obradowała — z udziałem delegacji 27 partii komunistycznych i robotniczych Europy — grupa robocza komisji redakcyjnej, przygotowująca dokumenty na europejską konferencję. **W Warszawie** gościła oficjalna delegacja Rady Najwyższej ZSRR z przewodniczącym Rady Związku — A. P. Szitikowem. Każde z tych wydarzeń ma wysoką rangę i świadczy, że we współczesnym świecie zarówno w sprawach polityki, jak i gospodarki niezbędne są bezpośrednie konsultacje i rozmowy.

Właśnie wtedy, kiedy w Moskwie przedstawiciele krajów członkowskich RWPG dyskutowali nad sposobami dalszego pogłębienia i doskonalenia współpracy — **w Genewie Europejska komisja Gospodarcza ONZ opublikowała sprawozdanie, z którego raz jeszcze wynika, jak odmienne tendencje występują w gospodarce krajów kapitalistycznych i socjalistycznych.** W pierwszych w ub. roku dochód narodowy wzrósł średnio o 3—4 proc., w drugich — powyżej 6 proc. W krajach Europy zachodniej ceny artykułów konsumpcyjnych wzrosły o 14 proc. — na Wschodzie natomiast bądź wcale bądź tylko o kilka procent, co przy wyprzedzającym wzroście zarobków powiększyło znacznie siłę nabywczą ludności.

Wróćmy jednak do wizyt i rozmów.

W Warszawie złożył wizytę minister Spraw Zagranicznych RFN — H. D. Genscher. W czasie jej trwania **podpisano porozumienia między obu państwami, które wynegocjowane zostały w Helsinkach w czasie spotkania Edwarda Gierka i Helmuta Schmidta.** Są to: umowa o zaopatrzeniu emerytalnym i wypadkowym wraz ze związanym z nim porozumieniem, umowa o kredycie finansowym oraz zapis protokolarny o wyjazdach. Podpisano także wieloletni program rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej i technicznej.

W komunikacie o wizycie czytamy na temat wagi tego faktu:

„Obie strony oceniają te porozumienia jako wynik wspólnego dążenia do przezwyciężenia przeszkód w stosunkach wzajemnych, wynikających z obciążeń przeszłości i podkreśliły znaczenie realizacji tych porozumień dla dalszego rozwoju wzajemnych stosunków w przyszłości".

Punktem wyjścia dla porozumień jest oczywiście układ z grudnia 1970 roku. Jak już wielokrotnie pisaliśmy, na drodze normalizacji stosunków występowały pewne zahamowania, co sprawiało, że postęp w różnych dziedzinach stosunków bilateralnych nie był tak duży, jak można było oczekiwać. Długa rozmowa I sekretarza KC PZPR i kanclerza RFN w Helsinkach przyniosła uzgodnienie stanowisk w kilku ważnych sprawach omawianych na tym miejscu. Tak doszło do porozumień teraz zawartych, które **znamionują się duchem aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Helsinkach.** Stanowią one jak gdyby pomost, ułatwiający przejście od przeszłości do przyszłości. Ich wykonanie przyśpieszy całkowitą normalizację stosunków.

W toku wizyty min. Genschera omawiano również problemy międzynarodowe. M. in. podkreślono istotną wagę toczących się w Wiedniu rokowań na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie oraz rolę ONZ w umacnianiu pokojowej współpracy we współczesnym świecie.

Jak można było przewidywać — **reakcje w RFN na podpisane w Warszawie porozumienia nie są jednolite.** Cieszą się one poparciem SPD i FDP, natomiast krytyczne stanowisko zajmują przywódcy CDU. Najostrzej wypowiedział się Franz Josef Strauss, który zakomunikował, że jego frakcja w Bundestagu głosować będzie przeciwko porozumieniom z Polską.

Ostatni temat naszego przeglądu wydarzeń nie wiąże się już ze spotkaniami i wizytami. Po prostu chcemy zwrócić uwagę czytelników na **nowe rozgorączkowanie sytuacji w Portugalii.** Bezpośrednią jego przyczyną są starcia w mieście Porto między zwolennikami Partii Ludowo-Demokratycznej i skrajnej lewicy. Rada Rewolucyjna zebrała się w pilnym trybie, aby rozpatrzyć sytuację, a także rozładować napięcie w siłach zbrojnych. Zdaniem niektórych członków Rady nie powinny się one włączać w walkę między partiami, a spełniać rolę arbitra i siły nadrzędnej.

Obrazu wciąż trudnej sytuacji Portugalii dopełniają kłopoty gospodarcze. Składają się na nie: nierytmiczność produkcji, niezrównoważenie bilansu płatniczego, emigracja wykwalifikowanych kadr, inflacja... Aby wyjść z tych trudności potrzebna jest przede wszystkim stabilizacja polityczna. Niestety — mimo usilnych o to starań władz nowej Portugalii raz po raz dochodzi do zaostrzeń wewnętrznych.

W. SŁAWSKI

ZAGADKA BERMUDÓW (I)

W zachodniej części Atlantyku, na wysokości południowo-wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych znajduje się rejon określany zwykle nazwą „Trójkąt Bermudów". Rejon ten wśród wielu nie wyjaśnionych zagadek Ziemi odgrywa rolę szczególną. Do chwili obecnej ponad sto statków i samolotów (w większości po 1945 roku) zniknęło w nim bez śladu. W ciągu ostatnich 26 lat ponad 1.000 osób straciło tam życie. Wraz z wciąż rosnącą liczbą tych tajemniczych wypadków rodzą się i mnożą coraz to nowe hipotezy ich powstania, od kidnappingu ze strony NOL-i (niezidentyfikowanych obiektów latających) do „teorii pola elektromagnetycznego".

BOHDAN FELT

TAJEMNICZE KATASTROFY

CMENTARZYSKO SAMOLOTÓW

5 grudnia 1945: Pięć bombowców TBM — „Avenger" z 14 ludźmi załogi które zaginęły w odległości około 225 mil na północ od Fort Lauderdale (Floryda).

5 grudnia 1945: Samolot „Martin-Mariner" z 13 ludźmi. Zaginął w 20 minut po starcie do akcji ratowania „Avengerów".

29 stycznia 1948: „Star Tiger", 4-silnikowy samolot typu „Tudor IV" z 31 pasażerami i członkami załogi. Ostatnia informacja — 380 mil na północny wschód od Bermudów.

28 grudnia 1948: Prywatny samolot czarterowy DC-3, 32 pasażerów i członków załogi.

17 stycznia 1949: „Star Ariel" — bliźniacza jednostka „Star Tiger". Ostatni meldunek: 380 mil na południowy zachód od Bermudów.

2 lutego 1952: Samolot pasażerski typu „York" (brytyjski); 33 osoby.

30 października 1954: „Super Constellation" (US Navy); północny rejon „Trójkąta"; 42 osoby.

9 listopada 1956: „P5M", samolot patrolowy US Navy; zginęło 10 osób załogi.

8 stycznia 1962: Samolot — tankowiec „KB-15" w locie z Langley Field w Virginii na Azory.

28 sierpnia 1963: Dwa nowe, 4-silnikowe samoloty — tankowce typu „KC-13"; 300 mil na południowy zachód od Bermudów.

22 września 1963: „C-132 Cargomaster" w drodze na Azory.

5 czerwca 1965: „C-119 Flying Boxcar", zaginął w południowo-wschodnim rejonie Wysp Bahama: 10 osób załogi.

5 kwietnia 1966: Samolot „B-25"; południowo-wschodni rejon Tongue of Ocean; 3 członków załogi.

11 stycznia 1967: „Chase YC-22", 4 osoby załogi.

REJESTR ZAGINIONYCH STATKÓW

Sierpień 1800: Tajemnicze zniknięcie w rejonie Bermudów okrętu USS „Insurgent" z 340 ludźmi na pokładzie.

Sierpień 1800: USS „Pickering" z 90 ludźmi załogi.

Październik 1814: USS „Wasp" zaginął na Morzu Karaibskim ze 140-osobową załogą.

Październik 1824: USS „Wildcat" z 14 ludźmi na pokładzie.

Rok 1840: Francuski statek „Rosalie", odnaleziony w rejonie „Trójkąta Bermudów" ze złamanym masztem, bez załogi.

Styczeń 1880: Brytyjska fregata „Atlanta" z 290 ludźmi.

Październik 1902: Niemiecki bark „Freya", odnaleziony w rejonie Bermudów z częściowymi ubytkami w omasztowaniu.

Marzec 1918: Statek zaopatrzeniowy amerykańskiej marynarki wojennej USS „Cyclops", 152 metry długości 19 tysięcy DWT z 309 ludźmi na pokładzie. Wraku nie znaleziono.

Rok 1924: „Raifuku Maru", japoński frachtowiec, zniknął bez śladu.

Rok 1925: s/s „Cotopaxi". Zaginął w drodze do Hawany.

Rok 1931: Frachtowiec „Stavanger" z 43 ludźmi załogi, ostatni meldunek w pobliżu Cat Island (Wyspy Bahama).

Kwiecień 1932: „John and Mary", odnaleziony bez załogi 50 mil na południe od Bermudów.

Marzec 1938: Frachtowiec „Anglo-Australian" z 39-osobową załogą.

Luty 1940: Jacht „Gloria Colite", odnaleziony bez załogi.

Październik 1944: Kubański frachtowiec „Rubicon" odnaleziony bez załogi w pobliżu Florydy.

Czerwiec 1950: s/s „Sandra", 108-metrowy frachtowiec; zniknął bez śladu.

Wrzesień 1955: Jacht „Connemara IV" odnaleziony 400 mil na południowy zachód od Bermudów.

Luty 1963: Frachtowiec „Marine Sulphur Queen" — zniknął bez śladu. Ostatni meldunek w pobliżu Dry Tortugas.

Lipiec 1963: Kuter „Sno'Boy"; 40 ludzi załogi. Zaginął wraz z całą załogą.

Grudzień 1967: „Revonco", 14-metrowy szybki jacht zniknął bez śladu.

Grudzień 1967: Statek „Witchcraft", pasażerowie i załoga zniknęli, podczas gdy statek odnaleziono o jedną milę przed Miami.

Maj 1968: Amerykański okręt podwodny „Scorpion" z 99 ludźmi załogi. Zaginął 460 mil na południowy wschód od Azorów.

Kwiecień 1970: „Milton Iatrides", frachtowiec płynący z Nowego Orleanu do Kapsztadu.

Marzec 1973: Frachtowiec „Anita" o wyporności 20 tys ton, z 32 ludźmi załogi w drodze z Newport News do Niemiec.

Zagadki te od dawna były obiektem szerokiego zainteresowania tak ze strony naukowców, amatorów powieści fantastycznych o niesamowitościach morza, marynarzy i lotników, a także wielu innych zainteresowanych tymi niezwykłymi historiami. Ukazało się szereg książek, artykułów, w których w różnym świetle przedstawiono owe tajemnicze katastrofy morskie i lotnicze, jakie wydarzyły się m.in. w strefie **„Trójkąta Bermudów"**, wytyczonej od północy **przez archipelag Wysp Bermudzkich, środkową Florydę — od zachodu, Puerto Rico — od południa.**

Jedną z ostatnio wydanych prac poświęconych tej tematyce jest książka amerykańskiego pisarza, **Charlesa Berlitza, „The Bermuda Triangle"**, w której autor próbuje wyjaśnić legendę „diabelskich mórz", poprzez zestawienie i analizę dotychczas ogłoszonych hipotez, dodając do nich własne wyjaśnienie — teorię „zaginionej cywilizacji". Zgodnie z nią u podstawy **„Trójkąta Bermudów"** ma rzekomo spoczywać gigantycznych rozmiarów kryształ, który miał jakoby służyć zatopionemu kontynentowi — Atlantydzie jako źródło energii, a zwarte w nim moce, które się reaktywują, powodują wciąganie w odmęty morskie samolotów i statków. Książka Berlitza, która cieszy się olbrzymią poczytnością zarówno w USA jak i w Europie, jest jak widać bardzo kontrowersyjna, teorie głoszone przez autora napawają niektórych czytelników przerażeniem, innych zaś po prostu śmieszą. Zwolenników jej jest tyle co i przeciwników, zwłaszcza że prawie wszystkie hipotezy można bądź zaakceptować, bądź odrzucić, jako że nauka nie jest jeszcze w stanie w sposób przekonywający wyjaśnić większości z tych zagadek.

Dlatego też w pierwszych dwóch odcinkach niniejszego cyklu zapoznamy się z hipotezami stawianymi przez Charlesa Berlitza w związku z tajemniczymi katastrofami, w trzecim zaś spróbujemy przedstawić, co zdołali ustalić odnośnie tych zagadek inni badacze.

* * *

Lista zawierająca spis statków i samolotów, które zaginęły bez wieści, liczy, jak już wspomniano, ponad 100 jednostek. Niżej podajemy tylko bardziej znane przypadki tych zagadkowych katastrof. Nigdy nie znaleziono **żadnych zwłok, bądź szczątków zatopionych samolotów i statków.** A przecież wiele z nich było do ostatniej chwili przed tajemniczym zniknięciem w normalnym kontakcie radiowym ze swoją bazą, portem, bądź lotniskiem docelowym. Z pokładu niektórych samolotów otrzymywano dziwne meldunki, że aparatura pokładowa nie funkcjonuje, że tarcze kompasów nie wskazują właściwego kierunku, że żyroskopy nie pracują prawidłowo, a niebo (przy doskonałych warunkach atmosferycznych i słonecznej pogodzie) staje się nagle żółte i zamglone, zaś morze (które winno być zupełnie spokojne) **„zaczyna się dziwnie zachowywać"**. Brakowało zarazem dalszych wyjaśnień, które pozwoliłyby określić, co się właściwie wydarzyło w owym rejonie w chwili wysłania meldunku.

Wiele samolotów, w tym również pasażerskich, zaginęło w chwili, gdy otrzymywały instrukcje lądowania, przy czym w sposób, w jaki to nastąpiło, według opinii komisji dochodzeniowej marynarki USA, stwarzał wrażenie, jak gdyby **„wchłonął ich jakiś ogromny lej w atmosferze"**. Również statki, bez względu na tonaż, znikały bez śladu tak, jakby jednostki te wraz z załogami **„zostały wciągnięte w inny wymiar"**. Nigdy nie ustalono na przykład, co stało z tak dużym statkiem, jak liczący 120 m długości frachtowiec **„Marine Sulphur Queen"**, bądź z 19-tysięcznikiem USS **„Cyclops"**, który zaginął bez wieści wraz z 309 ludźmi na pokładzie. Zdarzało się również, że znajdowano dryfujące szczątki jednostek, które uległy katastrofie, czasami same statki-widma, mające na pokładzie kota bądź psa, co jednak nie pozwalało wyciągnąć jakichkolwiek sensownych wniosków odnośnie tragedii, jaka się wydarzyła. Przyczyną tego był także fakt, iż nigdy nie odnaleziono żadnego żywego człowieka, ani nawet ciała ludzkiego, co z kolei powodowało pojawianie się najróżnorodniejszych hipotez, często tak dalece fantastycznych, że aż nie do przyjęcia. Wymienia się m.in. jako przyczyny tajemniczych zniknięć statków i samolotów np.: występowanie silnej fali wywołanej wstrząsami skorupy ziemskiej, uderzenia meteorytów, nagły atak morskich potworów, dewiację czasoprzestrzenną, prowadzącą rzekomo do przejścia w inny wymiar, a także zaburzenia wywołane przez siły grawitacyjne, bądź elektromagnetyczne, które powodowały zatopienia statków i katastrofy samolotów. Niektóre hipotezy głosiły możliwość porywania statków i samolotów przez NOL-e, którymi miały jakoby kierować pozaziemskie istoty. Natomiast, zdaniem zmarłego w 1944 roku słynnego spirytysty i cudotwórcy, **Edgara Cayce'a**, na głębokości 1.500 m w rejonie **„Trójkąta Bermudów"** (opodal wyspy Biminii) spoczywają na dnie tajemnicze kryształy, które stanowiły źródła energii wykorzystywane przez mieszkańców zatopionego kontynentu — Atlantydy. Również dziś mają one mieć rzekomo duży wpływ na pracę kompasów oraz aparatury elektronicznej nowoczesnych samolotów i statków. Obecnie przedstawimy kilka spośród tych tajemniczych katastrof, które Charles Berlitz opisał w swej książce.

5 grudnia 1945 roku w bazie lotniczej Fort Lauderdale do lotu nr 19 przygotowywano pięć samolotów. Miał być to lot ćwiczebny. Samolotami były bombowce torpedowe amerykańskiej marynarki wojennej typu TBM3 „Avenger". W zbiornikach każdej maszyny znajdował się zapas paliwa, który wystarczyłby na tysiąc mil. Warunki meteorologiczne były bardzo dobre. Świeciło słońce, na niebie widać było tylko pojedyncze chmury. Termometr wskazywał 29 stopni Fahrenheita. Wiał lekki północno-wschodni wiatr. Czas trwania lotu, zgodnie z wydanym rozkazem, miał wynieść dwie godziny. Około 14.00 samoloty wytoczono na pas startowy. Start nastąpił o 14.10. Dowódca, doświadczony pilot, porucznik **Charles Taylor** poprowadził eskadrę w kierunku **Chicken Shoals**, na północny-wschód od wyspy **Bimini**, gdzie miał ich oczekiwać cel do wykonania ataku torpedowego. Lot przebiegał bez zakłóceń i nic nie zapowiadało niezwykłego wydarzenia, które miało niebawem nastąpić. Około godziny 15.15, gdy samoloty po zakończeniu ćwiczenia miały obrać kurs powrotny do bazy **Fort Lauderdale**, radiotelegrafista na wieży kontrolnej otrzymał dziwną wiadomość od dowódcy eskadry. Oto zarejestrowany fragment rozmowy pilota z wieżą kontrolną:

Dowódca: Wzywam wieżę kontrolną... Krytyczna sytuacja. Zgubiliśmy kurs. Nie widzimy lądu... Powtarzam... Nigdzie nie widzimy lądu.

Wieża: Jaką macie pozycję?

Dowódca: Nie umiem jej dokładnie określić. Nie wiemy, gdzie jesteśmy... Wydaje mi się, że zagubiliśmy się.

Wieża: Dokonajcie zwrotu w kierunku zachodnim.

Dowódca: Nie wiemy, który kierunek jest zachodni. Wszystkie przyrządy wskazują fałszywe dane... Niezwykłe... Nie możemy ustalić żadnego kierunku — nawet morza nie widać tak, jak przedtem..."

W chwilę później w słuchawkach zabrzmiał ponownie głos pilota dowodzącego: **„Moje oba kompasy wysiadły. Próbuję odnaleźć Fort Lauderdale..."**

Kierownik lotu poradził, aby poleciał na północ — ze słońcem na bocznej części kadłuba, wówczas bowiem będzie mógł ujrzeć Fort Lauderdale. Kilka minut później radiotelegrafista usłyszał: **„Teraz lecimy nad małą wyspą. Poza tym nie widzę na horyzoncie żadnego lądu..."**

Oznaczało to, że cała eskadra oddala się od bazy lotniczej. Ze względu na nasilające się zakłócenia atmosferyczne łączność uległa pogorszeniu. Kontakt radiowy z wieżą został zerwany. Mimo to na wieży słychać było rozmowy prowadzone pomiędzy poszczególnymi samolotami. Zdołano się zorientować, że piloci mają zapasy paliwa jeszcze tylko na 114 kilometrów. Pogoda w tym rejonie lotu pogarszała się z każdą chwilą. Siła wiatru wynosiła około 100 km/godz. Tarcze kompasów wciąż nie pokazywały właściwego kierunku. Mimo wysiłków obsługi stacji nadawczej nie udało się nawiązać łączności z maszynami, jednak wzajemne rozmowy ich załóg wciąż były dobrze słyszalne. Dowództwo postanowiło podjąć w tej sytuacji akcję ratowniczą. Na poszukiwanie zaginionych samolotów wysłano szybko kilka innych maszyn, wśród nich znalazła się dwumotorowa latająca łódź typu **„Martin-Mariner"** z trzynastoma ludźmi załogi, która wystartowała z lotniska bazy marynarki wojennej **Banana River.**

Nagle, około godz. 16.00, wieża przechwyciła informację, że porucznik **Taylor** zdał dowództwo eskadry innemu pilotowi, kapitanowi **Stiverowi**. Meldunek był zniekształcony przez zakłócenia atmosferyczne, brzmiał mniej więcej tak: **Nie wiemy dokładnie, gdzie się znajdujemy. Być może jesteśmy 225 mil na północny-wschód od Azy... Musimy przelecieć nad Florydą i znajdziemy się wówczas w Zatoce Meksykańskiej..."** Aby to wykonać, maszyny musiały zawrócić o 180 stopni. Podczas tego manewru łączność jeszcze bardziej się pogorszyła. Kilka następnych meldunków było właściwie ostatnimi słowami pilotów lotu nr 19; brzmiały one: **„...wygląda na to jak byśmy..."** i dalej: **„...znaleźliśmy się w białej wodzie... zupełnie zagubiliśmy się..."**

W międzyczasie wieża kontrolna otrzymywała meldunki porucznika **Come** z pokładu samolotu **„Martin-Mariner"**, który wystartował na poszukiwanie zagubionej **„piątki"**. Come donosił, iż lecą na wysokości 1.800 metrów i wieje silny wiatr. Był to ostatni meldunek, jaki uzyskano z pokładu tego samolotu. W bazie ogłoszono stan alarmu, teraz miano poszukiwać nie pięciu, ale sześciu maszyn. Radiotelegrafiści bazy nie wychwycili już jednak żadnych sygnałów przez nie wysłanych. Tymczasem po godzinie 19.00 w bazie lotniczej marynarki **Opa-Locka** pod **Miami** odebrano bardzo słabo słyszalne sygnały składające się z liter **„...FT...FT"**. Były to litery rozpoznawcze eskadry (jej znak rozpoznawczy: FT-28). A zatem czy był to meldunek z zaginionych samolotów, przecież paliwo skończyło się im już dwie godziny wcześniej?

Pomimo intensywnych poszukiwań z pomocą ponad 300 samolotów oraz kilkudziesięciu statków i okrętów niczego nie znaleziono. Rozpoczęto szczegółowe dochodzenie. Załoga jednego z samolotów transportowych twierdziła, iż w dniu zniknięcia samolotów **widziała czerwony, świecący punkt nad wybrzeżami Florydy.** Początkowo przypuszczano, że chodziło tu o eksplozję **„Martin-Marinera"**, meldunek ten został jednakże później zdementowany. Do komisji dochodzeniowej marynarki badającej tę sprawę zgłosili się członkowie załogi statku handlowego, którzy krytycznego dnia, około 19.30 zaobserwowali na niebie wybuch. Czas, w jakim miał on miejsce, znowu zdawał się wykluczać możliwość eksplozji **„Avengerów"**, a także samolotu, który wyruszył na ich poszukiwanie. Zaskakujące w tym wszystkim było również to, że **żaden z samolotów nie nadał sygnałów SOS. Zaskakujący był także fakt, iż w czasie dokładnej penetracji rejonu ewentualnej katastrofy nie zauważono żadnych śladów, które by na nią wskazywały.** Jest to o tyle ciekawe, że w wypadku przymusowego lądowania na morzu, samolot typu **„Avenger"** utrzymuje się na jego powierzchni przez około 90 sekund, załogi zaś są tak szkolone, aby zdążyły opuścić maszyny w ciągu 60 sekund i odpłynąć na tratwach ratunkowych przymocowanych do bocznej części kadłuba samolotu.

Charles Berlitz zwraca uwagę na kilka szczegółów towarzyszących temu niezwykłemu wydarzeniu, takich jak owa tajemnicza biała mgła, zakłócenia w działaniu kompasów i żyroskopów. Komisja dochodzeniowa stwierdziła jednak, iż wszystkie przyrządy nawigacyjne samolotów były sprawdzone przed ich startem i okazały się w pełni sprawne. Ciekawy szczegół zawiera z kolei relacja **komandora porucznika R.H. Wirshinga**, który odpowiadał za szkolenie lotników w bazie **Fort Lauderdale.** Powiedział on mianowicie, iż krytycznego dnia w godzinach rannych przeprowadzono lot treningowy, który też omal nie zakończył się katastrofą. Pilot maszyny stwierdził, że w czasie lotu kompasy prawie nie działały, a samolot, **zamiast w bazie, wylądował 76 km na północ od niej (!).** Okazało się również, iż dwóch członków załogi eskadry **„Avengerów"**, która zaginęła, prosiło o wyłączenie ich z planowanego lotu, nie potrafili jednak przedstawić sensownych powodów, dla których nie chcieli lecieć. Wreszcie najdziwniejszy szczegół, który został odkryty dopiero w ubiegłym roku. **Art Ford**, reporter i pisarz, ujawnił przed kamerami amerykańskiej telewizji nie znany fragment meldunku **porucznika Taylora** zarejestrowany przez amatorską radiostację i nie figurujący w protokóle rozmowy Taylora z wieżą kontrolną. Miał on wówczas wypowiedzieć następujące słowa: **„Nie podążają za mną... Wyglądają jak gdyby przybyli z przestrzeni kosmicznej..."** Co to było, tego już Taylor niestety nie przekazał...

* * *

Jak to unaocznia rejestr katastrof w strefie **„Trójkąta Bermudów"**, nie tylko w powietrzu działy się jakieś dziwne rzeczy. Także **Morze Sargassowe**, zwłaszcza w rejonie wyspy **Andros (Wyspy Bahama)** pochłonęło w równie tajemniczych okolicznościach cały szereg statków — dużych i małych, w większości przypadków całkowicie bez śladu. Położenie geograficzne tego tajemniczego morza nie jest dokładnie określone. Wyznacza je w zasadzie obszar między 37 a 27 stopniem szerokości geograficznej północnej oraz między 75 a 40 stopniem długości geograficznej zachodniej. Zawdzięcza ono swą dziwną sławę również temu, iż zwane jest **„morzem ciszy"** lub **„morzem strachu"**. Pierwsze legendy o tym osobliwym morzu pojawiają się już w relacjach Fenicjan i Kartagińczyków. Oto fragment takiej relacji **Kartagińczyka Himilkona**, napisanej 500 lat przed naszą erą podczas podróży przez ten akwen Oceanu Atlantyckiego.

„Całkowity brak najsłabszego nawet powiewu wiatru, który by poruszył statek, jest zupełnie cicho, powietrze zaś wydaje się jakieś ciężkie (...) Wiele gronorostów (alg) jak zarośla unosi się na falach, wciąż zatrzymując statek (...) Morze nie jest tutaj głębokie, powierzchnia Ziemi jest tylko trochę zanurzona w wodzie (...). Wokół pływają morskie potwory, a inne potężne monstra wolno poruszają się między nimi popychając i unosząc dryfujący statek..."

Te i późniejsze **„mrożące krew w żyłach"** relacje, a przede wszystkim częste, tajemnicze katastrofy złożyły się na dzisiejszą, złą sławę **Morza Sargassowego.** Wiele z tych katastrof już wcześniej było przedmiotem artykułów, książek, mimo to warto przypomnieć niektóre z nich.

28 lutego 1855 roku parowiec **„Maraton"** napotkał na północnym Atlantyku żaglowiec **„James Chester"**. Jakież było zdziwienie marynarzy parowca, gdy okazało się, że żaglowiec płynie bez załogi. Co dziwniejsze, statek ten był zupełnie nie uszkodzony, zapasy żywności i ładunek były nienaruszone, nietknięte były również łodzie ratunkowe. Nic nie wskazywało, pomimo pewnego chaosu wśród sprzętów porozrzucanych na pokładzie na to, iż na żaglowcu wybuchł bunt, bądź stał się on celem napaści piratów.

Podobny przypadek wydarzył się również kilkanaście lat później z brygantyną **„Mary Celeste"** (historia jej była już szeroko opisywana w literaturze marynistycznej, na przykład Fank O. Braynard podaje ją w swej książce „Famous American Ships" (**4 grudnia 1872 roku** załoga brytyjskiego brygu **„Dei Gratia"** ujrzała żaglowiec płynący kontrkursem. Miało to miejsce prawie w połowie drogi między **Azorami a Hiszpanią.** Żaglowiec ów płynął pod dwoma sztaksłami i marslem i dziwnie myszkował, toteż jego osobliwe zachowanie się zwróciło uwagę załogi **„Dei Gratia"**. Gdy podpłynięto bliżej, okazało się, że na **„Mary Celeste"** nie ma żywej duszy, przy czym bałagan panujący na jej pokładzie wskazywał, iż załoga opuściła statek w dużym pośpiechu. Co jednak się z nią stało, dlaczego zniknęła? Stawiano tu najróżnorodniejsze hipotezy, żadna z nich nie była jednak dostatecznie przekonywająca. Nie wiadomo więc dotychczas, co naprawdę wydarzyło się na **„Mary Celeste"**, bunt, porwanie, pożar, a może zupełnie coś innego?

Niektóre ze statków-widm pływały długie lata, zanim je zidentyfikowano, jak np. odnaleziony po 23 latach w 1913 roku — brytyjski żaglowiec **„Marlborough"**. Przepadł on bez wieści w 1890 roku, zaraz po wyjściu z **Auckland**, skąd wypłynął z ładunkiem skór i 23-osobową załogą na pokładzie. Ostatni raz widziano go u wybrzeży **Ziemi Ognistej** — i tam też go odnaleziono. Statek ten również nie miał żadnych uszkodzeń poza zniszczeniami spowodowanymi przez czas. Na pokładzie i w jego wnętrzu odnaleziono szczątki tylko części załogi, reszta marynarzy prawdopodobnie zaginęła bez wieści, jednak wszystkie łodzie i sprzęt ratunkowy znajdowały się na swoim miejscu.

Zdarzały się też inne wypadki, chociażby ów z roku 1775. W lecie tegoż roku angielski statek wielorybniczy **„Greenland"** natknął się na wmarznięty w lody Arktyki żaglowiec z martwą załogą. Ostatni zapis w dzienniku okrętowym był dokonany pod datą **14 listopada 1762 roku.** Ciała marynarzy i oficerów znajdowały się w niezwykłych pozach, nie sugerujących bynajmniej, że próbowano statek opuścić w obliczu jakiegoś niebezpieczeństwa.

Równie dziwny wypadek, jaki miał miejsce w **roku 1948.** Z pokładu holenderskiego parowca **„Orang Medan"** radiostacja w Singapurze odebrała sygnały SOS, gdy statek przepływał przez **Cieśninę Malakka.** Poza sygnałami odebrano również fragmenty tekstu: **„...zginęli oficerowie i kapitan... chyba jeszcze ja jeden zostałem przy życiu..."** Wśród bezładnych, nic nie oznaczających kropek i kresek można było jeszcze tylko wychwycić jedno słowo: **„...umieram"**. W chwilę później w eterze nastąpiła cisza. Natychmiast podjęto akcję ratowniczą. Z Singapuru i z portów Sumatry wypłynęły na poszukiwanie tajemniczego statku jednostki ratownicze. Warunki atmosferyczne były dobre, a morze było spokojne. Statek został odnaleziony o 50 mil od podanej pozycji. I on również nie wykazywał żadnych uszkodzeń. Jednakże po wejściu na jego pokład oczom marynarzy z jednostek niosących pomoc przedstawił się niesamowity widok: **cała załoga była martwa.** Ciała marynarzy i oficerów leżały na pokładzie, w kabinie nawigacyjnej, na mostku kapitańskim. W maszynowni, mesie i kabinach, wszędzie znajdowano trupy załogi. Twarze ich były wykrzywione jak gdyby pod wpływem przerażenia i potwornego bólu, lecz badania lekarskie nie wykazały żadnych obrażeń zewnętrznych ani też śladów jakiejś zaraźliwej choroby, niczego, co mogłoby w sensowny sposób wyjaśnić tę straszliwą zagadkę. Co było zatem przyczyną śmierci tych ludzi, czy to samo, co powodowało znikanie całych załóg ze statków?

Jaką tajemnicę kryje w sobie **„Trójkąt Bermudów"**, **Morze Sargassa** oraz kilka innych osobliwych stref na kuli ziemskiej?

Czy pytania te pozostaną jeszcze długo bez odpowiedzi?

CELTOWIE

W epoce brązu Celtowie zajmowali południową część Europy Środkowej. Później zaczęli wędrować na zachód, ku Atlantykowi, na wschód aż do Azji Mniejszej, przedostali się też na Wyspy Brytyjskie. W IV w. p.n.e. byli najliczniejszym ludem w Europie. W owych czasach zamieszkiwali największy obszar. Historii Celtów oraz historii ich kultury poświęcona jest kolejna publikacja serii „ceramowskiej". „Świat Celtów", to książka pary wybitnych uczonych angielskich, Nory K. Chadwick i niedawno zmarłego Mylesa Dillona. „Celem niniejszej książki — piszą autorzy — było przekazanie tego, co wiemy o Celtach w epoce przedhistorycznej, o dalszych dziejach plemion celtyckich w ich wyodrębnionych „państwach", o powstaniu celtyckich królestw, o instytucjach Celtów, o ich językach, piśmiennictwie i sztuce, a wreszcie o roli, jaka odegrali w dziejach Europy". Ze szczególną starannością omówiona jest w „Świecie Celtów" religia i mitologia oraz literatura zwłaszcza walijska i irlandzka, która wywarła silny wpływ na literaturę europejską. W książce angielskich historyków znajdziemy nie znane do tej pory czytelnikowi polskiemu, utwory literackie, szczegółowo streszczone, a obok tego fragmenty poematów przytoczone w oryginalnym brzmieniu i w przekładzie.

Trudno w krótkim omówieniu wyliczyć wszystkie poznawcze walory „Świata Celtów". Jest to bowiem publikacja wydatnie poszerzająca nasze, czasem więcej niż skromne, pojęcie o kulturze i życiu Celtów.

Myles Dillon, Nora K. Chadwick — „Ze Świata Celtów", przełożył Z. Kubiak, PIW, Warszawa 1975, str. 352, cena: zł 85.

„ŚMIERĆ SOKRATESA"

„Z początkiem jest tak samo jak z końcem. Zawsze nam brakuje maleńkiego kawałka do celu, akurat tak jak Achillesowi, kiedy gonił żółwia. Gdy dobiegamy do miejsca, w którym znajdowało się poprzednio to, o co chodziło nam w momencie startu, stwierdzamy, że pożądany przez nas cel posunął się już trochę naprzód. Początek i kres historii są poza naszym zasięgiem, nie możemy się do nich zbliżyć, możemy jedynie wskazać je palcem i podjąć wysiłek ich przywołania, a to w naszych sagach i opowiadaniach" — pisze w przedmowie do swojej książki „Śmierć Sokratesa" Lars Gyllensten.

Przenosząc akcję swojej powieści w odległe czasy, pisarz nie tylko przeciwstawia wielkość Sokratesa zwyczajnym ludziom, stara się również odpowiedzieć na pytanie, czy starożytny mędrzec miał rację przyjmując kielich z trucizną, czy to nie przypadkiem samo życie ludzkie jest największą wartością. Lars Gyllensten z wykształcenia lekarz, naukowiec — histolog, pracuje w Instytucie Karolińskim w Sztokholmie. Jest również członkiem Szwedzkiej Akademii Nauk. Jako literat zadebiutował tomem wierszy w 1946 roku. W tej chwili ma na swoim kącie 12 książek i wiele artykułów publicystycznych. „Śmierć Sokratesa" ukazała się w 1960 roku. Jej polski przekład wydano w Serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich.

Lars Gyllensten — „Śmierć Sokratesa", przełożył: Z. Wawrzyniak, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1975, str. 228, cena: zł 32.

„WYDARZENIA W CHINACH"

Wypadki rozgrywające się na politycznej scenie współczesnych Chin interesują nas wszystkich. Nie zawsze potrafimy je zrozumieć, nie zawsze potrafimy wytłumaczyć. Dzieje się tak nie tylko ze względu na odrębność geograficzną, wynika to również z ogromnych różnic między kulturą i cywilizacją chińską a europejską. W poznawaniu współczesnego życia chińskiego przeszkadza również izolacja tego kraju. Nic też dziwnego, że każda publikacja poświęcona wyjaśnieniu tego, co dzieje się w Chinach, ukazywaniu mechanizmów i źródeł procesów, jakie zachodzą w Chinach Mao, spotyka się z zainteresowaniem czytelników. Tak było np. z książką Stanisława Głąbińskiego „Mao i inni", a podobne chyba zainteresowanie można wróżyć publikacji zatytułowanej „Wydarzenia w Chinach".

Jest to zbiór opracowań autorów polskich i radzieckich. Zostały one wybrane i przygotowane przez doc. dr Walerego Namiotkiewicza. „Maoistowska rewolucja kulturalna", „Antysocjalistyczna gra maoistów w ONZ", „Walka z Konfucjuszem — tło i charakter", „Bezdroża polityki maoizmu" — to tylko część problemów omówionych w książce.

Ostatnie doniesienia z Chin przyniosły wiadomość, że Mao wyznaczył swego następcę. Jest nim wicepremier Teng Siaoping, przedstawiciel ugrupowania „administratorów". Wydarzenia roku 1975 wskazują, że stosunek sił w pekińskim kierownictwie nadal nie jest ostatecznie ukształtowany, w związku z czym można się spodziewać dalszych istotnych zmian. Z tego też powodu wydawca zapowiada kolejną pozycję — „Chiny 1975". Ma ona się ukazać w najbliższych miesiącach.

„Wydarzenia w Chinach", Wydawnictwo MON, Warszawa 1975, str. 312, cena: zł 22.

„SZTUKA MEZOPOTAMII"

Ponad 130 lat poszukiwań archeologicznych dało dziś możliwość przedstawienia kultury Mezopotamii, inaczej Międzyrzecza, czyli obszaru leżącego w dolinie Eufratu i Tygrysu wraz z ich dopływami — dzisiejszy Irak i północno-wschodnia Syria.

Krystyna Gawlikowska, w swojej „Sztuce Mezopotamii", przedstawia dzieje sztuki starożytnej tego obszaru, aż do czasu upadku niepodległych państw Mezopotamii w VI w. p.n.e. Jak do tej pory w Polsce nie mieliśmy zbyt wielu okazji do spotkań ze sztuką starożytnego Międzyrzecza. Co prawda w roku 1973 zorganizowano u nas wystawę zbiorów Muzeum Irackiego z Bagdadu, ale mogła ona tylko w niewielkim stopniu wypełnić lukę w naszej wiedzy o kulturze ludów zamieszkujących Mezopotamię. Z pewnością więc książka Krystyny Gawlikowskiej ucieszy wszystkich czytelników zainteresowanych archeologią i minionymi kulturami. Tym bardziej że autorka nie tylko przedstawia co najwybitniejsze i najbardziej charakterystyczne dzieła sztuki, ale pisze także o historii państw znajdujących się na obszarze Międzyrzecza, o religii, obyczajach i codziennym życiu ludzi, które je zamieszkiwali.

Krystyna Gawlikowska — „Sztuka Mezopotamii", Wiedza Powszechna, Warszawa 1975, str. 290, cena: zł 50.

FANTASTYKA Z MYSZKĄ

Powodzenie, jakim cieszy się u nas niedawno wydany „Mnich" M. G. Lewisa, może świadczyć, że „retro" zapanowało również w literackich gustach czytelników, którzy znudzeni już „kryminałami" Jerzego Edigeya oraz może trochę zagubieni we współczesnej powieści typu „Science fiction", z ulgą rzucili się do tracącej myszką literatury „grozy", pióra starych i wypróbowanych mistrzów tego gatunku. Oczywiście grozę trzeba dać w tym wypadku koniecznie w cudzysłowie, bo cóż tam znaczą wampiry i demony uganiające się za śmiertelnikami powiedzmy w wieku XVIII, wobec bezwzględnego okrucieństwa, które w obfitym wydaniu możemy oglądać dzisiaj na ekranach kin.

Toteż dla tych, którzy przed snem będą chcieli trochę odpocząć i odprężyć się, śmiało można polecić starannie wydany przez PIW, tom nowel francuskich zatytułowany „Historie osobliwe i fantastyczne". Znajdziemy w nim opowiadanie Jacquesa Cazotte'a „Diabeł zakochany", który to utwór opublikowany w roku 1772 zapoczątkował nowy typ fantastyki w prozie francuskiej. Znajdziemy też między innymi nowele Prospera Mérimée, Balzaca, Gautiera, Guy de Maupassanta, Anatola France'a czy wreszcie Apollinaire'a. Różnorodność nazwisk, różnorodność potraktowania tematu, różnorodność wreszcie owych spraw osobliwych i tajemniczych, gwarantuje na pewno świetną lekturę.

B. M.

„Historie osobliwe i fantastyczne", wybór, wstęp i noty: Jerzy Parvi, PIW, Warszawa 1975, str. 481 cena: zł 70:.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

ŁÓDZKI TEMAT

Łódzki temat jest dość bogato reprezentowany w literaturze. Oczywiście można to proste stwierdzenie powtarzać do znudzenia, a i tak są ludzie, którzy twierdzą, że „nie ma książek o Łodzi". Dlatego też tak często wracam do tego motywu w moich felietonach.

Wracam zresztą nie tylko ja. Przed paroma laty na łamach „Osnowy" opublikowano bibliografię książek o Łodzi. Mimo to nadal się twierdzi, że takich książek nie ma.

Przed rokiem Miejska Biblioteka Publiczna im. Ludwika Waryńskiego wydała poradnik bibliograficzny „Książki o Łodzi dla wszystkich", zawierający spis blisko pięciuset pozycji. Ponieważ poradnik wyszedł w nakładzie tysiąca egzemplarzy — opisałem go dość dokładnie w „Odgłosach" i mówiłem o nim w radiu. Mimo to nadal się twierdzi, że książek o Łodzi nie ma.

Rozumiem, że przekonywanie kogo trzeba, iż jest inaczej to czcza rozmowa, ze ślepym o kolorach. Jak ktoś w ogóle nie czyta, a zajmuje się wyłącznie wypowiadaniem opinii, efekt może być tylko taki, jaki jest. To znaczy żaden.

Ale ja jestem uparty. Tak więc po raz dziesiąty wracam do tego tematu.

Tym razem chcę mówić o łódzkim temacie w literaturze na przykładzie dwu lat działania Wydawnictwa Łódzkiego. Będzie to zatem tematyczna prezentacja książek WŁ, wydanych w roku bieżącym oraz zaplanowanych na rok przyszły. Czyli — to co jest i to co będzie.

Zacznijmy od literatury pięknej. W tegorocznym planie WŁ znajduje się powieść Ryszarda Binkowskiego, „Tak szybko zapada zmrok", mówiąca o losie ludzi starych przebywających w jednym z łódzkich domów opieki. Podobna w tonie, lecz bardziej „historyczna" jest opowieść Mariana Zdrojewskiego „Dom pod Czarną Latarnią". Jest to ciekawa panorama losów mieszkańców typowej łódzkiej kamienicy — przed wojną, w czasie okupacji i po wyzwoleniu. Podobnie sugestywnie opisuje losy łódzkich robotników Władysław Huzik w tomie opowiadań „Notatki do dni pierwszych". Do współczesności Łodzi nawiązują natomiast Wojciech Fiwek i Konrad Frejdlich w powieści dla młodzieży „Siedem stron świata".

Dodajmy do tego zestawu poezję i eseistykę — Mariana Piechala („Ogień i popiół" — poemat o Łodzi), Moniki Warneńskiej i Jerzego Waleńczyka, który jest właściwie współczesnym klasykiem, jeśli chodzi o poetycki obraz naszego miasta.

W sumie jeden tylko rok 1975 zamyka się w dziale literatury pięknej Wydawnictwa Łódzkiego dziewięcioma pozycjami o temacie łódzkim. W roku przyszłym będzie takich pozycji (też w literaturze pięknej) również dziewięć.

M. in. trylogia łódzka Bernarda Sztajnerta „Przygody Brunona Bundera", reportaże A. Makowieckiego, wznowienie powieści Tadeusza Chróścielewskiego „Szkoła dwóch dziewcząt", debiut prozatorski Andrzeja Sroczyńskiego, wspomnienia Hanny Małkowskiej.

W dziale literatury społeczno-politycznej odnotowaliśmy w tym roku ważne dzieła Gryzeldy Missalowej (ostatni tom monografii łódzkiego okręgu przemysłowego), W. L. Karwackiego (o Łodzi w latach rewolucji 1905 — 1907), prace zbiorowe o wyścigu pracy, o sytuacji kobiet łódzkich, o ruchu robotniczym w Łodzi i okręgu.

W przyszłym roku w tym dziale będziemy mieli sześć pozycji. Na czoło wysuwa się tu praca prof. Bohdana Baranowskiego o dawnej Łodzi z okresu przedprzemysłowego (XV — XVIII wiek) oraz „Ziemia obiecana czy złe miasto" Heleny Karwackiej — obraz początków życia literackiego i oświatowego w Łodzi na przełomie XIX i XX wieku. Fragmenty tej książki drukowały „Odgłosy" latem bieżącego roku.

Policzmy więc. Tylko w bieżącym roku temat łódzki obrodził w łódzkiej oficynie piętnastoma pozycjami. W roku przyszłym będzie ich więcej, bo dwadzieścia. Jeśli natomiast Urząd Miasta nie poskąpi skromnej dotacji, liczba ta urośnie do dwudziestu czterech. Dodam, że wśród pozycji, których wydanie uzależnione jest od dotacji Urzędu Miasta, są takie potrzebne i ważkie pozycje jak antologia „Łódź w poezji" (jesteśmy ostatnim z miast posiadających tradycje i środowisko literackie, które nie ma tematycznej antologii) oraz dokumentacyjny tom „Melpomena łódzka", mówiący o dokonaniach teatralnych w trzydziestoleciu.

A zatem — są książki o Łodzi czy ich nie ma? Jak widać — są i będą następne. Ale na wszelki wypadek do tego tematu wrócę jeszcze nie raz.

WIDOK

LEWYM OKIEM

IONESCO DLA LUDNOŚCI

W Łodzi tak jak we wszystkich naszych wielkich miastach spotyka się sklepy, w których nigdy nie widać żywego ducha, a za to w oknie przeczytać można wywieszkę: sprzedaż wyłącznie dla instytucji. Są to sklepy bardzo różnych branż, od mebli, konfekcji, materiałów piśmiennych, po wiadra, tasiemki i guziki włącznie. Uruchomienie ich miało na celu zapobiec w wykupywaniu towarów rynkowych przez uspołecznione zakłady przemysłowe handlowe i usługowe; guzik! na przykład zostałyby natychmiast en bloc wykupione przez spółdzielnie krawieckie i pojedynczy obywatel guzik by dostał, zamiast guzika. A tak, to proszę: zamawiasz w spółdzielni garnitur i sam szukasz do tego garnituru drobnych a niezbędnych akcesoriów, jako że usługowa instytucja skazana jest na ów jeden jedyny sklep i na obrotność jego kierownika. „Nie dają nam innych" — takie oświadczenie z ust punktu świadczącego usługi dla ludności oznacza, że w sklepie „tylko dla instytucji" nie ma dużego wyboru guzików. Niczego więcej nie oznacza.

Nieliczne sklepy detaliczne, prowadzące sprzedaż dla instytucji, oznaczono więc specjalnymi tabliczkami, a nie oznaczono nimi sklepów, prowadzących sprzedaż zwyczajną, czyli „dla ludności". Nie wiadomo dlaczego — postąpiono odwrotnie z punktami usługowymi, zarówno spółdzielczymi, jak prywatnymi. Tu oznaczono właśnie te, które prowadzą normalne usługi, dla wszystkich, to znaczy „dla ludności", nie oznaczono zaś takich, które usługują wyłącznie instytucjom. Wyróżniono więc ogromną większość placówek zwyczajnych, nie określając nijak wyjątkowych. Bardzo logiczne to nie jest i ciągle słyszymy zdenerwowane pytanie: co to znaczy — zakład szyje dla ludności? A dla kogóż miałby szyć — dla pszczół? Z tego pytania zrobiono nawet puentę w scenicznym dziele sztuki, na które walą ludziska i cieszą się, że ktoś zdenerwował się tym samym fakcikiem, co oni; oni — czyli ludność...

Oczywiście należałoby niezwłocznie zdjąć nieudane napisy „usługi dla ludności" z kilkudziesięciu tysięcy drzwi i okien w kraju, a zamiast tego powiesić na kilkuset innych drzwiach napisy „usługi tylko dla istytucji". Sztuka „Kochany panie Ionesco" zeszłaby wtedy z afisza Teatru im. S. Jaracza, chociaż nie — ostałyby się jeszcze w tej sztuce bardzo śmieszne sprzedawczynie — księżniczki, urzędnicy — próżniaki i część artystyczna akademii, którą to część artystyczną identycznie — tylko o wiele zabawniej — wyśmianą widziałem ćwierć wieku temu w „Syrenie" i potem około stu razy w różnych składankach.

Tytuł scenicznej humoreski Stanisława Tyma świadczy, że jest ona adresowana do intelektualistów, którzy wiedzą, że Inesco był twórcą teatru absurdu. Ręczę, że dziewięćdziesiąt procent widzów tego nie wie, długo skapować nie może, dlaczego sympatyczny pan Różycki co parę słów, uparcie i do znudzenia pokrzykuje: „Kochany panie Ionesco", „widzi pan, panie Ionesco", „czy pan to przewidział, panie Ionesco". Ostatecznie to się jakoś klaruje — ten Ionesco to jakiś facet, co wymyślił i wypisywał głupstwa, a u nas wcale czegoś takiego wymyślać nie trzeba, bo proszę: usługi dla ludności...

Pomysł, chwyt estradowy, mimo natrętnych powtarzań niewątpliwie dobry, szkoda tylko, że posłużył do tak łatwiutkiej satyry na te same zjawiska, na których kilka pokoleń satyryków i tekściarzy opierało swe konta w Zaiksie. Pomysł na tyle dobry, że zaczynam się przyłapywać na owym retorycznym okrzyku: „Czy pan by coś takiego wymyślił, panie Ionesco?" — przy lekturze wielu poważnych artykułów w poważnych naszych periodykach. Na przykład przy lekturze artykułu o tym, że przedsiębiorstwo budowlane nie wykonało planu, bo wykonało plan. Jak, jak? No tak: zamiast kupować żwir daleko i płacić drogo za transport, przedsiębiorstwo zbudowało kawałek drogi do Wisły, kupowało żwir blisko i transport był tani. Czyli koszty budowy były niższe. A plan przedsiębiorstwa polega na „przerobie" określonej liczby milionów złotych, i jak się „przerobi" mniej to budowa stoi jak trzeba, a plan nie wykonany... No i co, panie Ionesco?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ZMIENNOŚĆ TEMPERATURY

Przeprowadziłem niewielką ankietę. Kilku osobom odczytałem ogłoszenie, jakie znalazłem w „Życiu Warszawy". Tekst ogłoszenia był następujący:

„Nagroda 500 zł za zwrot paska skórzanego, granatowo-szarego od płaszcza..."

— Może w ten pasek coś było wszyte — powiedział jeden z uczestników ankiety.

— To zapewne był pasek od ukochanego — powiedziała bardzo romansowa panienka.

— Za taką cenę można sobie zafundować dwa nowe paski — powiedział racjonalista.

— Może ona była do niego bardzo przywiązana — powiedziała doświadczona kobieta.

Wszyscy zgodnie podejrzewali, że to ogłoszenie dała... kobieta. Nie wiem, jak było naprawdę, ale wiem, że jest to ogłoszenie nietypowe. Inne ogłoszenia są normalne: zginął pies, zamienię mieszkanie, potrzebny uczeń w warsztacie... Lektura ogłoszeń jest niezwykle interesująca. Zawiera się w niej jakiś fragment naszego życia, obyczajowości, spraw, które są powszednie i nietypowe.

Zrobiłem inną ankietę. Przeczytałem kilku znajomym fragment z innego ogłoszenia również opublikowanego na łamach „Życia Warszawy".

„Zmienność temperatury wnętrz domów towarowych w funkcji układu przestrzennego przegród i budynku (dla okresu letniego)".

I zadałem pytanie: z czego może pochodzić to zdanie?

— Jest to źle po polsku zbudowane zdanie, które może pochodzić z jakiegoś referatu naukowego — powiedziała młoda nauczycielka.

— Daj mi spokój, mam poważniejsze zmartwienia — powiedział kolega.

— Tytuł referatu na sympozjum naukowe — powiedział znajomy inżynier.

Wszystkim po kolei wyjaśniłem, że jest to tytuł rozprawy doktorskiej mgr inż. Jana Wieczyńskiego, który tę rozprawę przygotował i miał ją bronić w Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej.

— Byłoby dobrze, gdyby ten inżynier przyjechał do Łodzi i zbadał latem temperatury w łódzkich domach towarowych, w „Centralu" i „Uniwersalu" i gdyby z tego był jakiś pożytek — powiedział mój kolega. — Ostatnio widziałem w telewizji jak uczeni prowadzą badania nad obuwiem, aby były wygodne i trwałe, ale w sklepie dobrych butów nie uświadczysz. Nie mam większego zaufania do tego typu prac naukowych.

Jest to opinia mego kolegi, z którą można zgodzić się lub nie. Domy towarowe „Centrum" w Łodzi ogłosiły natomiast anons następującej treści:

„Jesień zaprasza do domów towarowych „Centrum" — DH „Uniwersal" — Pl. Niepodległości 4 — Handlowy Dom Dziecka — ul. Piotrkowska 60".

Wolałbym — mówiąc szczerze — aby mnie do domów towarowych „Centrum" w Łodzi zapraszała nie jesień, a dyrekcja, która by przy okazji zatroszczyła się o to, aby schody ruchome przestały być nieruchome. Pisałem już o tym kilka razy, ale bez większego skutku. We wrześniu, gdy znów — wiedziony ciekawością — zawędrowałem do „Uniwersalu", przekonałem się, że tamtejsze schody ruchome bywają nadal nieruchome.

Pod adresem niektórych pracowników naukowych mam zatem konkretną propozycję: napisania rozprawy doktorskiej na następujący temat: „Nieruchomość schodów ruchomych w łódzkich domach towarowych i ich wpływ na obroty i frekwencję". Napisanie takiej rozprawy nie powinno nastręczać żadnych trudności, a jej praktyczne znaczenie będzie nijakie, jak zresztą w większości podobnych prac.

Każdy, kto chce orientować się w naszym życiu handlowym powinien koniecznie czytać ogłoszenia. Kiedy na przykład z lektury ogłoszeń dowiaduję się, że margaryna jest zdrowsza, to już wiem, że rzeka mleka popłynęła nie w tym kierunku, co trzeba i będą kłopoty z kupnem masła. Jeśli ostatnio czytam, że Spółdzielnia Pracy Usług Pralniczych i Porządkowych „Praca Kobiet" w Warszawie, Osiedlowa Spółdzielnia Pracy „Ursynów" też w Warszawie oraz Spółdzielnia Pracy „Czystość" i Łódzkie Przedsiębiorstwo Usług Pralniczych i Łazienniczych zapraszają uprzejmie klientów do swoich salonów, a nawet fundują im — jak to robi „Czystość" — nagrody za przynoszenie bielizny do prania w większych ilościach, to wiem, że już jesień i mniej ludzi niż latem korzysta z pralni. Wiem też, że to wcale nie wpływa na czas prania bielizny. Pralnie trochę się zmodernizowały, można już nawet zamówić sobie pranie telefonicznie, ale czekać się na to będzie tak samo długo.

Pralnie wymyśliły więc znakomite wyjście: oto na Retkini — Wschód powstanie duża pralnia samoobsługowa. Upierz sobie sam! — to hasło na najbliższe lata. Wydaje mi się jednak, że najlepszym sposobem rozwijania usług tego typu jest ich różnorodność i dostępność. Odbieranie prania z domu na telefoniczne zlecenie będzie niewątpliwie kulało, jako że dla nikogo nie jest tajemnicą, iż w Łodzi telefonów mamy mało i nic nie wskazuje, że będziemy ich mieli więcej. Ale to też nie powód, aby z tego udogodnienia rezygnować i aby nie wymyślać dalszych.

MARCIN RODAK

BRZYTWĄ PO OCZACH

Wokół osoby byłego kapitana piłkarskiej reprezentacji — Kazimierza Deyny, zrobiło się ostatnio tyle szumu, że nawet moi redakcyjni koledzy zaangażowali się w ogólnopolską dyskusję. Większość z nich prywatnie, Marcin Rodak publicznie, choć przestrzegałam go, że wystawia się na cios, bo w każdej chwili może go spotkać zarzut: **„niefachowiec, więc czego się czepia, lepiej niech się zajmie aferami w innych kręgach towarzyskich"**. Rodak się jednak zaparł, jego sprawa. I tak nie napisał wszystkiego, co myśli, a co podejrzewa również spora część sympatyków piłki nożnej.

Nie mam więc zamiaru dokładać swoch trzech groszy do całej masy komentarzy na temat „sprawy Deyny". W obliczu ogólnonarodowej mobilizacji przed meczem z Holandią, proponuję inny, niemal relaksowy temat z trzema przykładami, ale bez chronologii.

Przykład pierwszy. **„Kultura"** wysłała na mecz Polska — Holandia do Chorzowa trzy reporterki. Panie napisały tekst **„Godzina radochy"**. Po paru dniach, w katowickim **„Sporcie"** ukazała się niewielka wzmianka, w której anonimowy autor doniósł Czytelnikom, że panie nie orientowały się, kto jest trenerem Holendrów i nie znały twarzy oraz sylwetki zawodnika Neeskensa, po czym niezbyt elegancko pouczył je, że przed podejściem do tak skomplikowanego tematu potrzebne jest odpowiednie przygotowanie. Nie będę wdawała się w spory z anonimem ze **„Sportu"**, czy panie musiały znać Neeskensa, czy nie. Zrobił to zresztą w **„Kulturze" Maciej Wierzyński**, który wyjaśnił dokładnie o co chodziło szefom redakcji i trzem reporterkom wysłanym na ten mecz, a przy okazji wyłożył swoje poglądy na temat pisania o sporcie.

Przykład drugi. **„Przegląd Sportowy"** opublikował list dwu bokserów ukaranych czasową dyskwalifikacją. List opatrzono redakcyjnym komentarzem. **Daniel Passent w „Polityce"** skomentował tekst z **„Przeglądu Sportowego"**, a zrobił to w stylu sobie właściwym, czyli przewrotnym, nie uciekając jednak od problemów merytorycznych. Odpowiedź **„Przeglądu Sportowego"** na felieton **Daniela Passenta** nosiła również znamiona dyskusji merytorycznej, choć polemiści rozeszli się akurat w zupełnie inne strony. I nie przytaczałabym tego przykładu, gdyby nie ostatnie stwierdzenie **Krzysztofa Szweda** z **„Przeglądu Sportowego"**:

„Aby w doborze reprezentacji nie popełnić jakiegoś faux pas proponuję władzom sportowym Daniela Passenta jako konsultanta".

W tym zręcznym zdaniu wystarczy zastąpić nazwisko **Daniela Passenta** jakimkolwiek innym i sprawa jest załatwiona. Niefachowiec i po diabła wtrąca się do sportu.

Przykład trzeci. Cytat pochodzi ze 160 numeru **„Przeglądu Sportowego"**. Tytuł notatki: **„Dowcipy „Sportowca" z Nicei"**:

„Sprawozdawca „Sportowca" red. Jerzy Iwaszkiewicz musiał się dobrze opalić, co można wywnioskować z jego relacji, w której finał pucharu Europy opisał z plaży Lazurowego Wybrzeża. Więcej z tej korespondencji można się dowiedzieć o tym, co w wolnym czasie robili dziennikarze (i czego nie robili), niż o samej imprezie i zmaganiach sportowców. W jednej z jego refleksji znalazłem co prawda stwierdzenie, że... „nie skakałem do fontanny, nie chodziłem na filmy szwedzkie, ale widziałem co się działo na stadionie". Ośmielę się mieć inne zdanie w tej sprawie, ponieważ red. Iwaszkiewicz siedział podczas zawodów na miejscach prasowych obok mnie i wielu rzeczy nie widział lub nie rozumiał, jako że co chwila, albo sięgał po moje notatki, albo na odmianę indagował mnie i zamęczał pytaniami, których mógłbym oczekiwać od dziecka, ale nie od wysłannika na imprezę sportową. Pisać dowcipne anegdotki można, ale nieładnie jest „donosić", robiąc z siebie bohatera, kiedy nim się nie było..."

Notatkę podpisał **M. B.**, a jest to kolejny przyczynek do naszych polemik prasowych i to niekoniecznie tylko sportowych. Krytykowanego wymienia się z imienia i nazwiska. Krytykujący ukrywa się pod inicjałami lub w ogóle nie podpisuje notatki. Gdyby **M. B.** przeczytał uważnie swoją notatkę, to by stwierdził, że jest to taki sam **„donos"**, jaki według niego napisał **Jerzy Iwaszkiewicz**, z tą drobną różnicą, że **„donos"** nie podpisany imieniem i nazwiskiem. A fe, gdzie fair play?

Klasycy dziennikarstwa twierdzą, że nic tak nie ożywia gazety, jak trup i polemika. Z trupami kłopotów nie ma, gorzej z polemiką. Polemiki zdarzają się bowiem nader rzadko i chyba z tego powodu, jak już ktoś staje w polemiczne szranki, to zamiast argumentów łapie brzytwę i po oczach, po oczach...

Sport jest tą dziedziną życia społecznego, którą interesują się niemal wszyscy, i która przez to podlega tym ostrzejszym ocenom. Ale dyskusje wokół sportu są stosunkowo bezpieczne. Tu się można wyżyć. Nie powinno zwalniać to jednak polemistów od posługiwania się rzeczowymi argumentami. Podpora w postaci inwektyw i insynuacji podanych choćby w najbardziej wyszukanej formie, nie ma nic wspólnego z polemiką, a z polemiką „sportową" tym bardziej. Brzytwy i żyletki lepiej zostawić w łazience.

BOGDA MADEJ

POLSKA

FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA

MAGAZYN
ODGŁOSY

MIEJSCE PRACY

— Jajecznicę proszę odebrać! Ruskie pierogi! Pomidorowa! Ruskie pierogi odebrać proszę! No, czyje to pierogi?! Ach, to pani. Tyle pani krzyczała, że prędko, prędko, a teraz pani mi pracę obciąga. Pani myśli, że placówka tylko na panią jest nastawiona. Tu nie wyścigi, tylko bar mleczny. Na drugi raz z pani pierogami będzie latała po kuchni sama Irena Szewińska, to będzie prędzej.

— Grzybowa proszę odebrać! Proszę, grzybowa. — Czego pan tak szuka w tej zupie, brylantowego pierścionka? — Gdzie są grzyby? Grzyby są w lesie. — W lesie, w lesie, co pan się tak dziwi, a pan myślał, że na Placu Unii? — Co proszę? Bo nie dosłyszałam. Kwadrans pan czekał na tę zupę i dostał pan zimną? A pan by chciał, żeby po kwadransie zupa była jeszcze ciepła?! Co za ludzie, jak Boga kocham. Każdy czegoś chce, każdy głowę zawraca, każdy przeszkadza. Nikt nie pomyśli, że ja tu jestem w pracy.

— Co pani dać? — Nóż? Nóż w smarowaniu. — Łyżeczka w mieszaniu.

— Jaka jajecznicę? — Nie może być jajecznica z trzech jaj. Z dwóch albo z czterech. — Jezus Maria dlaczego i dlaczego. Dlatego, że tak skalkulowano. — Oj, proszę pana, kasjerka nie będzie obliczać pańskiej jajecznicy, kasjerka tu jest w pracy.

Czasami naprawdę się zastanawiam: co za ludzie? To mu daj nóż, to mu daj łyżeczkę, jajecznicę z trzech jaj wymyśl, bo tak mu jest wygodnie. Nie rozumie, że wszedł do miejsca pracy. Łyżka mu tłusta, kubek mu nadtłuczony, rozpiera się w barze mlecznym jak ordynat Michorowski. Państwo i rząd miejsce pracy dla mnie ufundowali, i ja mam takie pasożyty obsługiwać?

— Nic panu nie będzie kucharka odgrzewała, niech panu żona w domu odgrzewa, kucharka tu jest w pracy, a nie dla pana przyjemności.

Gazety wciąż: „człowiek pracy" i „człowiek pracy", ale czy ten nasz naród to rozumie? Stosunku nie mają. Proszę nie myśleć, że to tylko akurat w barach mlecznych. Ja już kilku zawodów próbowałam i wszędzie to samo. Byłam sprzedawczynią, to znów od rana do wieczora mi się klienci do sklepu pakowali i przeszkadzali pracować. Jeszcze przedtem byłam konduktorką w tramwaju. Ładny zawód, owszem, podobał mi się — gdyby nie ludzie: nie ma na nich siły. Ciągle jeżdżą!

To już koniec monologu. Nie podobał się państwu? Trudno. Nie pisze dla państwa przyjemności. Ja jestem autorka, to jest moje miejsce pracy i cześć.

3 × STEFANIA GRODZIEŃSKA

ROCZNICA ŚLUBU

— Panie! Mógłby pan uważać trochę!

— A bo co?

— A bo ile razy tramwaj potrząśnie, to pan mi łokciem uderza w uczesanie.

— Muszę się przytrzymywać w czasie jazdy. Nie moja wina, że łokieć mi wpada akurat w pani uczesanie. Muszę się przecież czegoś trzymać.

— Wcale pan nie musi. Ja na przykład niczego się nie trzymam.

— Toteż ile razy tramwaj potrząśnie, to pani mi tym wysokim obcasem depce po nodze.

— Chyba pan nie żąda, żebym na własną rocznicę ślubu jechała w butach na niskich obcasach.

— Ja w ogóle nic od pani nie żądam, to pani zaczęła o to uczesanie.

— Bo specjalnie byłam u fryzjera. Na własną rocznicę ślubu nie mogę przecież jechać nieuczesana. Mama poradziła, żeby w tym roku obchodzić u niej. W zeszłym roku, jako młodzi małżonkowie, postanowiliśmy pierwszą rocznicę ślubu spędzić w domu we dwoje, ale już o godzinie dwudziestej zero zero cały szampan był wypity jako zakąska do wódki, co mnie rozgoryczyło, bo na skutek tego Tadzio usnął przy stole, będąc sam na sam ze mną.

— Pan Tadzio małżonkiem jest zapewne, bo któż by usnął, będąc sam na sam z panią, jeśli nie byłby to małżonek.

— Jasne. Więc w tym roku obchodzimy u mamy. Mama upiekła kaczkę, gdyż twierdzi, że tłusto zakąszając, Tadzio dłużej utrzyma się na jawie.

— Szanowny małżonek, którym jest z jadących panów, jeśli wolno spytać?

— On w ogóle nie jedzie.

— Na własną rocznicę ślubu, jeżeli dokładnie zrozumiałem, nie jedzie?

— No, tak. Bo kiedy stał się ten wypadek, powiedział, że to palec boży i został w domu.

— Wypadek? Uległ mu małżonek?

— Tak. Trzy godziny temu. O mało nie zemdlałam, cała łazienka we krwi i do tego w tomacie. Pełna „Trzecia część nocy". Uparł się, że te skumbrie otworzy, co miałam z nich zrobić pastę i zawieźć do mamy. Byłam zdania, że jeżeli młotek, siekiera i inne narzędzia upadają, to wyrzuć to pudełko, mówię, raptem osiem złotych kosztowało.

— Jeśli wolno sądzić, to małżonek wtedy walczył już o czysty honor.

— Tak. Krzyczał, że jest mężczyzną. I krzyczał, że gdyby nawet przy tej okazji miał zaszlachtować całą rodzinę, to udowodni. A ja mówię: Tadeuszku, przecież właśnie udowodniłeś, rozbijając przy tej okazji umywalkę, ale on się zamachnął tym młotkiem na mnie i otworzył pudełko. Mimochodem.

— Rozumiem. Takiej zawziętości dostał.

— Potem się zaraz uspokoił, po pierwsze, że jak otworzył te skumbrie i został mężczyzną, to mógł je wreszcie wyrzucić do kubła, po drugie, że nie pojedzie do mamy jako ranny, i po trzecie, że ja pojadę, i wilk będzie cały i owca syta, jak się wyraził.

— Ciekawi mnie wyjątkowo ten wypadek.

— Już raz mu się zdarzył podobny, kiedy mieliśmy jechać do ślubu, tylko że wtedy to był pasztet z drobiu i blacha o wiele cieńsza, więc jednak na ten ślub był w stanie iść. Wysiadam. Do widzenia panu.

— Proszę pani! Proszę pani!!! Jak pani powiada? Skumbrie blachę posiadają grubszą?

— Tak!

— Dziękuję, bardzo dziękuję! I małżonkowi proszę ode mnie podziękować.

— Za co?

— Już on będzie wiedział. Pani mu powie, że za tydzień mam iść do ślubu!

ZAKŁAD ŚWIADCZY USŁUGI DLA LUDNOŚCI

W domu zarzucają mi konserwatyzm i brak nowoczesności. Nie jestem mocna w rachunkach (przy czym najtrudniej przychodzi mi 7 razy 8), ale nie wierzę, żeby cokolwiek w moim życiu miało się zmienić w momencie, kiedy pojawi się w sprzedaży maleńki móżdżek elektronowy do noszenia w torebce. Wszystko jedno, pani sprzedawczyni na Nabiale będzie się myliła o dwa złote na moją niekorzyść i jedna pani kasjerka będzie mi proponowała, żebym 20 groszy odebrała sobie przy okazji.

Postanowiłam więc wykazać się nowoczesnością na innym polu. Otóż dotychczas, kiedy chciałam sobie uszyć spódnicę, przechodziłam na drugą stronę naszej ulicy, niosąc paczuszkę z zakupionym materiałem. Wchodziłam na trzecie piętro bez windy i dzwoniłam do drzwi instytucji zwanej panią Henią. Od lat dwudziestu powstają tam wszystkie wiodące modele, które lansuje w tramwaju nr 31 i w redakcji na ulicy Woronicza. Pani Henia otwierała osobiście drzwi i witała mnie radośnie, zawsze dodając pochlebną uwagę o moim wyglądzie (dawniej mówiła „ślicznie pani wygląda", a od jakiegoś czasu „pani to coraz młodsza"). Potem pani Henia rozpakowywała materiał i zachwycała się nim. Odmawiała zazwyczaj wzięcia miary, mówiąc: „pani przecież ma zawsze tę samą śliczną figurkę", przyjmowała do wiadomości, jaki ma być fason, pytała, czy ma kupić suwak i guziki, czy też może nie mając pełnego zaufania do jej gustu wolę kupić sama i prosiła do miary w przyszły poniedziałek, jeśli spódnica nie jest mi zbyt pilnie potrzebna.

Wszystko to zapachniało mi ostatnio powieściami sprzed pierwszej wojny światowej i postanowiłam się unowocześnić. W tym celu minęłam dom, w którym mieszka pani Henia i pojechałam autobusem do śródmieścia. Tu, nad efektowną wystawą, przybraną barwami narodowymi jeszcze od lipca, widniał napis: ZAKŁAD ŚWIADCZY USŁUGI DLA LUDNOŚCI. Tak, to jest to! To nie jakaś tam pani Henia, która nic nie świadczy i o żadnej ludności nie słyszała. Najwyżej suknie komuś uszyje.

Weszłam dając upust nowoczesności.

Kierowniczka siedziała zamyślona za biurkiem i zignorowała moje przywitanie, nie wspomniała też ani słowem, że jestem coraz młodsza.

Przeczekałam chwilę i powiedziałam śmiało:

— Chciałabym zamówić uszycie spódnicy.

— Nie mamy materiału — odpowiedziała kierowniczka.

— Proszę bardzo, przyniosłam materiał.

Położyłam paczkę na biurku.

— Termin trzy miesiące.

— Proszę bardzo, nie śpieszy mi się. Fason chciałabym rozszerzany.

— Rozszerzany cztery miesiące.

— Dobrze, zgadzam się.

Rozpakowałam materiał.

— Nie możemy przyjąć tej roboty.

— Dlaczego?

— Do takiego materiału muszą być specjalne nici.

Byłam przygotowana. Przeskok do nowoczesności nigdy nie jest łatwy.

— Mam takie nici. Proszę.

— Zabrakło nam szpilek. Kooperant nie przysłał.

— Proszę, oto szpilki.

— Nożyczki w ostrzeniu.

— Mam bardzo ostre nożyczki. Proszę.

— I tak nie uszyjemy. Maszyna uszkodzona, nie ma części zamiennych.

— Wrócę tu za pół godziny.

Złapałam taksówkę, pojechałam do znajomej, pożyczyłam maszynę do szycia, przywiozłam i wepchnęłam do zakładu, żeby mógł świadczyć.

— Krojczyni na chorobie — powiedziała kierowniczka.

— To co ja mam zrobić z tą spódnicą?

— A co mnie to obchodzi? Niech pani sobie sama uszyje.

Rozłożyłam na biurku kierowniczki materiał, skroiłam, po czym usiadłam do maszyny i uszyłam spódnicę.

I po co tyle gadania o nowoczesności! O wiele gorsza ta spódnica niż od pani Heni. W dodatku zapłaciłam zakładowi za usługę podwójnie, bo z dodatkiem za pośpiech.

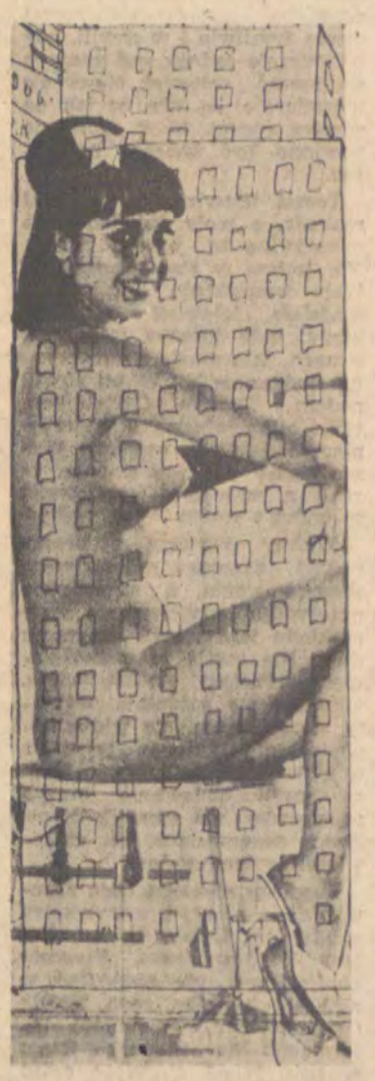

Fot.: A. Gross

I TY MASZ SWÓJ „DZIEŃ ZERO"

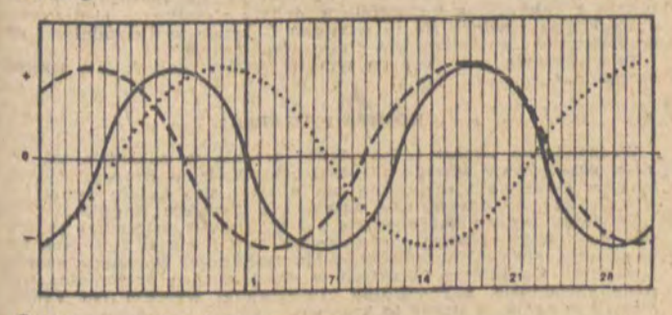

Cykl fizyczny (23 dni) ————
Cykl uczuciowy (28 dni) – – – – –
Cykl intelektualny (33 dni) ·····

Kiedy kierowcy autobusów należących do japońskiego Towarzystwa Kolejowego „Ohmi" przychodzą na swoją zmianę, zawsze paru z nich otrzymuje karty ostrzegające, żeby byli szczególnie baczni, ponieważ przypada właśnie ich „zły dzień". Zdyscyplinowanie społeczeństwa japońskiego sprawia, że kierowcy ci w takim dniu prowadzą wozy szczególnie ostrożnie, zwłaszcza w okręgach znanych z nasilenia katastrof drogowych. System ten wprowadzono w roku '969 i — o dziwo — liczba wypadków spadła wówczas o blisko 50 proc., wykazując stale tendencje zniżkowe.

W jaki sposób firma „Ohmi" potrafi określić feralne dni swych kierowców? Do akcji włączono maszynę cyfrową, dzięki której dyrekcja może śledzić „biorytmy" swych 500 pracowników. Komputer zna wszystkie „wzloty" i „upadki" badanych.

Według teorii biorytmów — czyli okresów życia — wszyscy ludzie od chwili urodzenia żyją w fazach, dających się z góry przewidzieć, a trojakich pod względem swej cykliczności. Cykl „fizyczny" trwa 23 dni, cykl wrażliwości" zwany niekiedy emocjonalnym — 28 dni, „intelektualny" — 33 dni. W każdej z tych trzech faz połowa dni należy do rzędu dodatnich, połowa — do ujemnych.

W 23 dniowym cyklu fizycznym 11 i pół dnia sprzyja np. intensywnemu treningowi sportowemu oraz wszelkim poczynaniom wymagającym sprawności fizycznej. Podczas pozostałych 11,5 dni „minusowych" zaleca się zmniejszenie aktywności życiowej i wszelkich wysiłków. Pierwsze spostrzeżenie, które się tu nasuwa, to skłonność do szybkiego męczenia się w drugiej fazie.

28 dniowy okres wrażliwości odpowiada miesięcowi księżycowemu, wiąże się także z fazami menstruacyjnymi u kobiet. W 14 „dobrych" dniach owego biorytmu zarówno mężczyźni jak i kobiety mają pogodny nastrój, są pełni optymizmu i nastawieni na zgodne współdziałanie z otoczeniem. I na odwrót — 14 dni „minusowych" cechują raczej nastroje melancholijne i postawa negatywna.

W ciągu 16,5 dni pozytywnych cyklu intelektualnego łatwiej przebiegają studia, ludzie pióra mają lepszą wenę pisarską, matematycy rozwiązują z powodzeniem trudne problemy. Intelektualiści w ogóle pracują wydajniej, uczniowie uczą się pilniej, a wiadomości wchłonięte w tym czasie bardziej utrwalają się w pamięci. Pozostałe 16,5 dni negatywnych lepiej poświęcić powtórkom albo ćwiczeniom praktycznym.

Do najbardziej krytycznych należy dzień, w którym przechodzimy z fazy dodatniej w ujemną i — na odwrót. W cyklu fizycznym bywa to często dzień nieszczęśliwych wypadków. Podobnie zresztą zaznacza się „minusowa" skłonność w cyklu uczuciowym: w momencie zwrotnym dochodzi często do „wybuchów emocjonalnych". Podobny dzień w fazie intelektualnej nie jest tak groźny, chyba że zbiegnie się przypadkowo z dniem krytycznym jednej z pozostałych faz, co wzmocni jego „minusowość".

Uczeni badający biorytmy wyjaśniają, że krytyczny dzień dlatego bywa najbardziej niebezpieczny, ponieważ człowiek znajduje się wówczas jakby w stanie bezładu psycho fizycznego. Z teorią biorytmów wiąże się jeszcze inna — o „harmonii ciała ludzkiego", która utrzymuje, że wzloty i upadki ludzkie są stressami, przypominającymi rytmiczne ruchy wahadła. Dzień krytyczny jest krótkim okresem rzekomej równowagi bez działania stressów, ale wtedy właśnie człowiek, jak swego rodzaju odbiornik fal radiowych, ulega łatwo ujemnemu przypominającemu rytmiczne ruchy wahadła. Dzień krytyczny jest krótkim okresem rzekomej równowagi bez działania stressów, ale wtedy właśnie człowiek, jak swego rodzaju odbiornik fal radiowych, ulega łatwo ujemnemu promieniowaniu zewnętrznemu. Teoria biorytmów wyjaśnia dlaczego „Ohmi Company" ostrzega swych kierowców w takich „dniach zerowych". Uczeni japońscy zalecający stosowanie zasad biorytmu w praktyce, podkreślają z naciskiem, że nie mają one nic wspólnego z żadną „wiedzą hermetyczną", z przesądami w rodzaju wiary w feralną trzynastkę czy przysłowiowego pecha. Po prostu w dniu krytycznym człowiek ma osłabiony refleks i rozproszoną uwagę, co przy występującej równocześnie znacznej pobudliwości, powoduje brak opanowania i jego następstwa.

Pod koniec lat trzydziestych bież. stulecia Hans Schwing ze Szwajcarskiego Instytutu Technologii, specjalizujący się w zagadnieniach wpływu czynników zewnętrznych na bodźce psychiczne, porównywał stosunek „dni zerowych" do liczby wypadków i zgonów. Przeprowadził on analizę 1400 wypadków, których opisy uzyskiwał od towarzystw ubezpieczeniowych w Zurychu. Okazało się, że spośród każdych 10 poturbowanych w wypadkach 6 przeżywało właśnie „punkt zerowy" w cyklu fizycznym lub emocjonalnym, albo w obu równocześnie. Wśród zabitych — aż 65 proc. zmarło w zerowym lub podwójnie zerowym dniu.

Z wyliczeń wynika, że „dzień zero", fizyczny albo uczuciowy, przypada mniej więcej raz na 6 dni, natomiast podwójnie zerowy 6 razy, do roku. Najgroźniejszy zbieg punktów „zero", potrójny nie zdarza się nigdy częściej niż raz w roku. Prasa opisywała swego czasu wypadek brutalnego znokautowania pewnego boksera, który w tydzień potem zmarł, właśnie w dniu potrójnie zerowym. Często także wyjątkowo krytycznym staje się dzień, kiedy zachodzi konflikt pomiędzy cyklami życiowymi człowieka, np. gdy na szczyt dobrego samopoczucia fizycznego przypada „zero" emocjonalne i intelektualne. Człowiek łatwo może wówczas stracić poczucie zdrowego rozsądku, powodując nieszczęśliwy wypadek.

Teoria biorytmów nie jest nowa, ale do głębszego jej zbadania zabrano się dopiero ostatnimi czasy, podobnie, jak było z telepatią, hipnozą i innymi zjawiskami z rodzaju tzw. „paranormalnych". Dr Hermann Svoboda, profesor psychologii uniwersytetu wiedeńskiego, już w 1904 roku opublikował dzieło pt. „Okresowość w życiu człowieka", które powstało w rezultacie badań, przeprowadzonych jeszcze w latach 1897—1902. Równocześnie, niezależnie od niego, lekarz niemiecki Wilhelm Fleiss, odkrył istnienie biorytmów, przeprowadzając ankiety wśród swych pacjentów w Berlinie. Zauważył on, że pewne choroby, stany gorączkowe, okresy niepokojów wiążą się ściśle z cyklami życiowymi, które rozpoczynają się od daty urodzenia. Interesujące były także spostrzeżenia prof. politechniki w Innsbrucku (Austria), Alfreda Teltschera, który już w roku 1920 zauważył, że jego słuchacze wykazują okresową zmienność swych zdolności intelektualnych. Wśród nowszych badaczy tych problemów znajdują się psychiatrzy amerykańscy, którzy stwierdzili, że zwłaszcza wśród schizofreników występują silne wahania bioprądów, krążących pomiędzy poszczególnymi częściami mózgu, zależnie od 28-dniowego cyklu.

W ślad za Japonią, wiele firm na Zachodzie, związanych zwłaszcza z komunikacją, opracowuje „biogramy" w celu zmniejszenia liczby nieszczęśliwych wypadków swych pracowników. Szwajcarskie Biuro Systemów Transportowych stale poddaje biorytmicznej analizie wszelkie kraksy drogowe, a wielu lekarzy w tym kraju korzysta z tej teorii przy wyznaczaniu dnia najlepszego dla przeprowadzania zabiegów chirurgicznych. Ale uczeni są ostrożni w definiowaniu ostatecznych wniosków. Potrzeba jeszcze kilku dobrych lat naukowego opracowywania statystyk wypadków, przy użyciu komputerów, aby teoria biorytmów została potwierdzona lub obalona.

„Magazyn Polski" — za „Science Digest".

Jak obliczać biorytmy

Aby obliczyć przebieg trzech biocykli w danym miesiącu, należy zsumować ogólną liczbę dni od daty urodzenia, aż do pierwszego dnia miesiąca, który nas interesuje (w podanym niżej przykładzie będzie to sierpień). Otrzymaną liczbę dni trzeba podzielić kolejno przez: 23, 28 i 33. Liczby pozostałe z tego podziału ukażą nam położenie każdego z biorytmów w stosunku do pierwszego dnia rozpatrywanego miesiąca.

DLA PRZYKŁADU WYBIERAMY OSOBĘ, KTÓRA URODZIŁA SIĘ 9 CZERWCA 1933 ROKU:

40 lat po 365 dni	14 600 dni
Dodatkowe dni w latach przestępnych	10 dni
Dni od 9 czerwca 1973 do dnia 1 sierpnia 1973 r.	54 dni

TERAZ PRZEPROWADZAMY DZIAŁANIA DZIELĄCE:

14.664 : 23 = 647 całych cykliów i resztówka 13 dni
14.664 : 28 = 523 i reszta 20 dni
14.664 : 33 = 444 i reszta 12 dni

Z wyliczenia wynika, że dana osoba rozpoczyna w sierpniu następujące cykle: fizyczny — 13, uczuciowy — 20 oraz intelektualny — 12 dnia miesiąca. Dni te rozpoczynają „dodatnią" fazę danego cyklu. Jeżelibyśmy chcieli przedstawić to na wykresie, wyglądałby on, jak na zamieszczonym rysunku (uwidoczniono na nim również część przebiegu cykli w miesiącu poprzedzającym, tj. w lipcu).

Szczególnie dobrym dniem dla owej osoby jest 17 sierpnia, kiedy zarówno jej fizyczny, jak i uczuciowy cykl znajdują się u „szczytu". Ale 23 to dzień feralny — wszystkie trzy cykle wykazują dzień zerowy.

MAGAZYN ODGŁOSY

JACEK FEDOROWICZ

Jak oglądać telewizję i nie denerwować się

Już w samym tytule zawarty jest oczywisty paradoks i wielu z Was, Drodzy Czytelnicy, zawoła od razu, że oglądanie programu telewizji polskiej bez wszechpotężnego zdenerwowania jest niemożliwe. Ja na to zawołam: chwileczkę! Od momentu gdy zobaczy się telewizję od kuchni, zasiada się przed telewizorem w stanie wybaczliwym, ba, zasiada się nawet wręcz życzliwie i w chwili, gdy na ekranie jednak coś zaczyna się ruszać, człowiek cieszy się niezmiernie, bo wie, że tak na zdrowy rozum, to w ogóle nie powinno być żadnego programu.

Temat telewizyjny, to temat rozległy, a moje doświadczenia telewizyjne są bardzo bogate. Nie jestem w stanie przekazać Wam wszystkiego w jednym rozdziale, telewizji poświęcę kiedyś całą książkę (w trzech tomach, informacje o subskrypcji poda prasa). W tej chwili podam Drogim Czytelnikom tylko kilka informacji, które — mam nadzieję — uspokoją Wasze nerwy do tego stopnia, że ręka z wazonem wycelowana w ekran z wolna Wam opadnie.

Weźmy pierwszy z brzegu powód naszego najczęstszego zdenerwowania, a mianowicie notoryczne nietrzymanie się rozkładu jazdy, czyli programu dnia. Nie myślę tu o spóźnieniach. Pociągi się spóźniają, autobusy się spóźniają, wypłaty się spóźniają, nie widzę powodu, dla którego telewizja miałaby być wyjątkiem. Mam na myśli nadawanie innych programów niż zapowiedziane. Rzecz denerwująca, ale całkowicie wytłumaczalna.

Pewnego pięknego dnia zapowiedziano program rozrywkowy z udziałem Karela Gotta i Heleny Vondraczkowej. Program obejrzeliśmy, nie znajdując w nim ani kawałka pana Karela i pani Heleny. Niedbałość informacji? Nic podobnego. Rzecz w tym, że od dłuższego czasu wszystkie programy nadawane są z taśmy magnetycznej. Nagrywa się, powiedzmy, w poniedziałek, a emituje w sobotę. Od poniedziałku do soboty program leży na półce i jest narażony na skasowanie. Bo telewizja nagrywa na taśmę, ale taśmy mamy za mało. Aby można było na jakiejś taśmie nagrywać, należy przedtem skasować to, co było na niej nagrane. Więc kasuje się, przy czym wśród taśm skasowanych coraz częściej znajdują się taśmy jeszcze nie emitowane. Gotta i Vondraczkowej nie było w programie, bo zostali skasowani, a na ich miejsce nagrano coś innego, może nawet znacznie lepszego.

Sam kiedyś brałem udział w powtórnym nagrywaniu programu, który już został nagrany, dekoracje rozebrane, a aktorzy zwolnieni do innych zajęć. Taśma została skasowana przed emisją. Gott i Vondraczkowa też kiedyś zostaną ściągnięci z Czechosłowacji na powtórkę albo i nie, bo dla księgowości ważne jest, że program nagrano, a to, że go nie nadano, nie ma już większego znaczenia.

Jestem jak najdalszy od twierdzenia, że w telewizji panuje bałagan. Po prostu trzeba kasować, bo nie byłoby na czym nagrywać, a nagrywać trzeba. Jeżeli jakiś realizator ma na tyle egoistyczne podejście do życia, że nie chce dać nagrywać innym, musi od momentu nagrania aż do emisji osobiście pilnować taśmy, albo wytresować psa. Innej rady nie ma. Nadając jakiś program zamiast zapowiedzianego, ale niestety skasowanego (co okazuje się zawsze w ostatniej chwili), telewizja nie może wyjaśnić telewidzom dlaczego tak się stało, bo tłumaczenie zajęłoby zbyt wiele czasu. Więc ja to wyjaśniłem — przechodzimy do punktu następnego.

Stwierdziłem, że telewizja nagrywa na taśmę, co może sugerować nowoczesność i wspaniałość telewizyjnego sprzętu, czyli tak zwanego wyposażenia technicznego. Ktoś, kto pomyślałby, że wyposażenie techniczne naszej telewizji dorównuje wyposażeniu innych telewizji na świecie, byłby w kolosalnym błędzie. Nie tylko nie dorównuje, ale nawet nie jest w stanie konkurować z urządzeniami telewizyjnymi stosowanymi gdzie indziej na skrzyżowaniach większych ulic, lub sprzętem używanym przez teleamatorów. Bliżsi jesteśmy pod względem technicznym telewizji używanej w Supersamie do podglądania klientów niż przeciętnym studiom w Europie. A program mamy niewiele gorszy, a czasem nawet lepszy, w co trudno uwierzyć. Więc nie jest tak źle.

Następna sprawa to stawki. Stawki dla ludzi pracujących na zlecenie telewizji zostały ustalone w głębokiej wierze, że nie ma większej przyjemności niż praca dla telewizji.

Zmiana taryfikatora niestety, nie rozwiązywałaby sprawy, ponieważ telewizja i tak nie miałaby czym płacić. Tak. Trzeba to powiedzieć otwarcie: telewizja nie ma pieniędzy, a za pół darmo dobrego programu zrobić się nie da.

Tu już słyszę zgrany chór Czytelników, którzy wyliczają: abonament 40 złotych miesięcznie razy kilka milionów równa się...

Drogi Chórze Matematyczny! Mam tylko jedno pytanie: czy płacąc swój comiesięczny abonament wysyłacie go pod adresem: Telewizja, Warszawa Woronicza 17? Nie? Aha! Nie mam więcej pytań.

Ubóstwo telewizji jest czasem trudne do uwierzenia. Już we wrześniu redaktorzy dokładnie oglądają obsady programów, eliminując co lepszych aktorów, ponieważ zastąpienie lepszego gorszym daje oszczędność kilkuset złotych.

— Czy Hamleta — pytają redaktorzy — musi grać Holoubek?

— Musi — mówi reżyser.

— A nie mógłby Zenończak?

— Na razie nie.

— A czy nie moglibyśmy wykreślić Kobuszewskiego i za te pieniądze wziąć dwóch statystów? I oszczędność byłaby 120 złotych i miałby pan dwie osoby zamiast jednej... Nie moglibyśmy? No to wiecie co, kolego reżyserze? Zróbcie ten program w przyszłym roku.

I tu kolejna ciekawostka. Bywa, że w jednym pokoju redakcyjnym na Woronicza trwa debata, jak by tu zrobić wielki show, angażując jednego aktora, bo na drugiego już nie starczy, i czy nie dałoby się tak zrobić, żeby ten jeden aktor grał, śpiewał i tańczył bez akompaniamentu, bo muzycy też kosztują, a w sąsiednim pokoju naczelny scenograf ze strachem w oczach kombinuje, jakby tu szybko wydać pół miliona złotych przeznaczonych na rekwizyty, bo koniec roku się zbliża i pieniądze wydać trzeba. Potem gania tenże scenograf po mieście i kupuje: a to antyki w Desie, a to srebra u Jubilera, bo to najdroższe i stosunkowo najłatwiej pozbędzie się pieniędzy.

Oczywiście, wydawać by się mogło, że można by zrezygnować z jednego widelca i zafundować sobie pianistę, niestety, tego zrobić nie wolno. Na honoraria zaplanowano tyle a tyle, na rekwizyty tyle a tyle i koniec. Przepisy są oczywiście bardzo słuszne i jestem jak najdalszy od krytykowania. Po prostu wyjaśniam, dlaczego jest tak a nie inaczej, aby moi Drodzy Czytelnicy już od dziś zasiadali przed telewizorami w zupełnie innym nastroju. Aby oglądali świadomie.

Jeżeli oglądamy rewię, w której tańczy sześć tancerek, z których dwie tańczą równo, a cztery bezskutecznie próbują wpaść w rytm układu, nie psioczmy, tylko wyjaśnijmy współtelewidzom, że po prostu były pieniądze na tancerki, nie było natomiast pieniędzy na próby dla tancerek. Kiedy ktoś śpiewa z akompaniamentem bigbandu, a na wizji widzimy dwóch skrzypków i harfistkę, możemy być pewni, że były pieniądze na nagranie, a nie było pieniędzy na występ muzyków na wizji, albo nie było pieniędzy na nic i taśma dźwiękowa jest pożyczona z innego programu sprzed roku. Kiedy oglądamy bardzo nudny spektakl teatralny, przypatrzmy się butom aktorów. Jeżeli są bardzo piękne i skrzypiące nowością, to znaczy, że po prostu były pieniądze na kostiumy, a nie było pieniędzy na autora. I tak dalej.

Fot.: Ryszard Tabaka

POWIĘKSZENIA

SENSACJA!

„Kulisy" donoszą: „Państwo Romuald i Zdzisław M. z Elbląga są frezerami i pracują w jednej fabryce i przy jednej maszynie. Od czasu, kiedy urodził im się synek..."

Rany Julek! Czemu ta wiadomość ukazała się na ostatniej stronie! Jeżeli panowie Romuald i Zdzisław urodzili do spółki synka — jest to przecież sensacja na światową skalę!

BEETHOVEN — BLUES

Kierownik zespołu bluesowego podał w telewizji definicję bluesa: „Jest to zarówno poezja Eliota jak i „Siódma Symfonia Beethovena".

Proponujemy, aby zespół przyjął nazwę „Beethoven Eliot — Blues".

GOŚKA SWANSONÓWNA

Nieoceniony (rog.) z „Przekroju" fantazjuje na temat rodowodów. Niedawno odgrzał starą bzdurę o polskim pochodzeniu Juliusza Verne, ostatnio wpadł na pomysł, że „podobno pochodzenia polskiego" jest Gloria Swanson, amerykańska aktorka z okresu kina niemego.

Maluczko, a okaże się, że polską metrykę (rog.) przypisze Karolowi Czaplińskiemu, znanemu skądinąd pod pseudonimem Charlie Chaplin.

„ŻYCIE" Z NIESPODZIANKĄ

„Życie Warszawy" rozpoczyna na stronie pierwszej „informację własną" o inauguracji Konkursu Chopinowskiego. Tekst kończy się słowami: „dokończenie na str. 2".

Żeby było śmieszniej, na stronie drugiej nie ma dokończenia.

BIEDNY CZOSNEK

Z „Expressu" dowiadujemy się, że przemysł zielarski wyprodukował czosnek bez zapachu. Otóż czosnek się liofilizuje, potem miesza z chlorofiliną i chlorofilem, dodaje olejożywicę pieprzowca, a na koniec powleka się to wszystko ftalonem acetylocelulozy, po odpowiednich „modyfikacjach fizyko-chemicznych".

Tylko pytanie — czy po tym wszystkim czosnek jest jeszcze czosnkiem?

KOMIKS PIŁKARSKI

Wydawnictwo „Sport i Turystyka" wydało w nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy komiks piłkarski „Od Wali do Brazylii". A o tekstów skromnie i przezornie nie ujawnił się. Autora rysunków wywołujemy po nazwisku — nazywa się Grzegorz Rosiński.

Na dobrą sprawę każda strona tej niewielkiej książeczki to powód do sprawy sądowej o ośmieszenie. Pan Rosiński może zna się na sporcie, ale dość opornie idzie mu rysowanie. W efekcie na str. 3 widzimy Kazimierza Górskiego w ciąży. Gmoch przypomina parodię Fernandela, a przystojny Tomaszewski wygląda jak Fantomas... i w ogóle co strona to koszmar.

Żeby zrekompensować krzywdę wyrządzoną piłkarzom przez artystę wydawnictwo opublikowało na okładce fotografię drużyny. Mała to pociecha — fotografia jedna a rysunków — koszmarków kilkadziesiąt.

OGRÓD FRASZEK

JAN BRZECHWA

URZĘDOWANIE

Referent poszedł rano do miasta
do Kierownika, lecz go nie zastał,
bowiem Kierownik poszedł do miasta
do Inspektora, lecz go nie zastał,
bowiem Inspektor poszedł do miasta,
do Naczelnika, lecz go nie zastał,
bowiem Naczelnik poszedł do miasta,
do Dyrektora, lecz go nie zastał,
bowiem Dyrektor poszedł do miasta
do Kontrolera, lecz go nie zastał,
bowiem Kontroler poszedł do miasta
do Referenta, lecz go nie zastał.
Wieczorem wszyscy wrócili z miasta,
bo nikt nikogo nigdzie nie zastał.

JAN CZARNY

BIBLIOFILKA

Do zachwytów literackich
taka była skora,
że nie brała do poduszki
książki bez autora.

TADEUSZ GICGIER

CURRICULUM VITAE

Przez pierwszą połowę życia
wszystko robił dla przytycia;
przez tę drugą był, gdy przytył,
w odchudzaniu niespożyty;
jedno szło, a drugie nie szło —
i tak mu życie zeszło.

RYSZARD MAREK GROŃSKI

SZCZĘŚCIE

mała ręka naciska klamkę
w skrzypie drzwi
widać słońce jak piłka skaczące po schodach
rozsypany w ogrodzie
śmiech dziecięcy brzmi
w domu sierot imienia Heroda.

BENEDYKT HERTZ

UROKI STAROŚCI

Chwalcie uroki starości, piewce!
Niech zniknie przed nią bezmyślna trema.
Zęby nie bolą, bo ich człek nie ma;
żona nie zdradza, bo jej nikt nie chce.

JAN HUSZCZA

NAGROBEK WZOROWEGO OBYWATELA

Zmarł przedwcześnie Kowalski,
chwalmy Kowalskiego,
gdyż państwo już nie musi
dopłacać do niego!

STANISŁAW JERZY LEC

ON I JA

Gonimy się tak przez dzieje,
już jeden drugiego nie złapie.
Ja mam w sercu ideę,
on ma znaczek w klapie.

ZBIGNIEW LENGREN

TIME IS MONEY

Jeżeli czas to pieniądz, czy pieniądz jest czasem?
Niestety, brak mi czasu na takie problema.
Mam większy kłopot — już zima za pasem...
Pieniądz jest czasem, lecz częściej go nie ma.

LEON PASTERNAK

PRZED PIERWSZYM

Ruch uliczny w Polsce, pod koniec miesiąca,
dorównuje każdej światowej stolicy.
Wszystkich nas ogarnia ta sama gorączka:
tu oddać sto złotych, tam dwieście pożyczyć.

JAN SZTAUDYNGER

ŻYCIE

Zanim się opamiętasz,
kołyska, ołtarz, cmentarz.
I robisz smutne odkrycie,
że to już całe życie.

ZBIGNIEW ZIOMECKI

PODRYWACZE

Wśród podrywaczy
na pierwszej linii
są najgorliwsi
ci od opinii.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-10? telefony 852 44 817-98 oraz 293 00 wew. 29 39 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 2058. U-10. Nr indeksu 37006/26762.